

Dzieci pod specjalnym nadzorem str.4
Uzdrowiciele widzą inaczej str.7
Z Mandżurii do Polski str.4
Seks w starożytnych Indiach str.11



Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NR 19 (1676)

ROK XXXIII

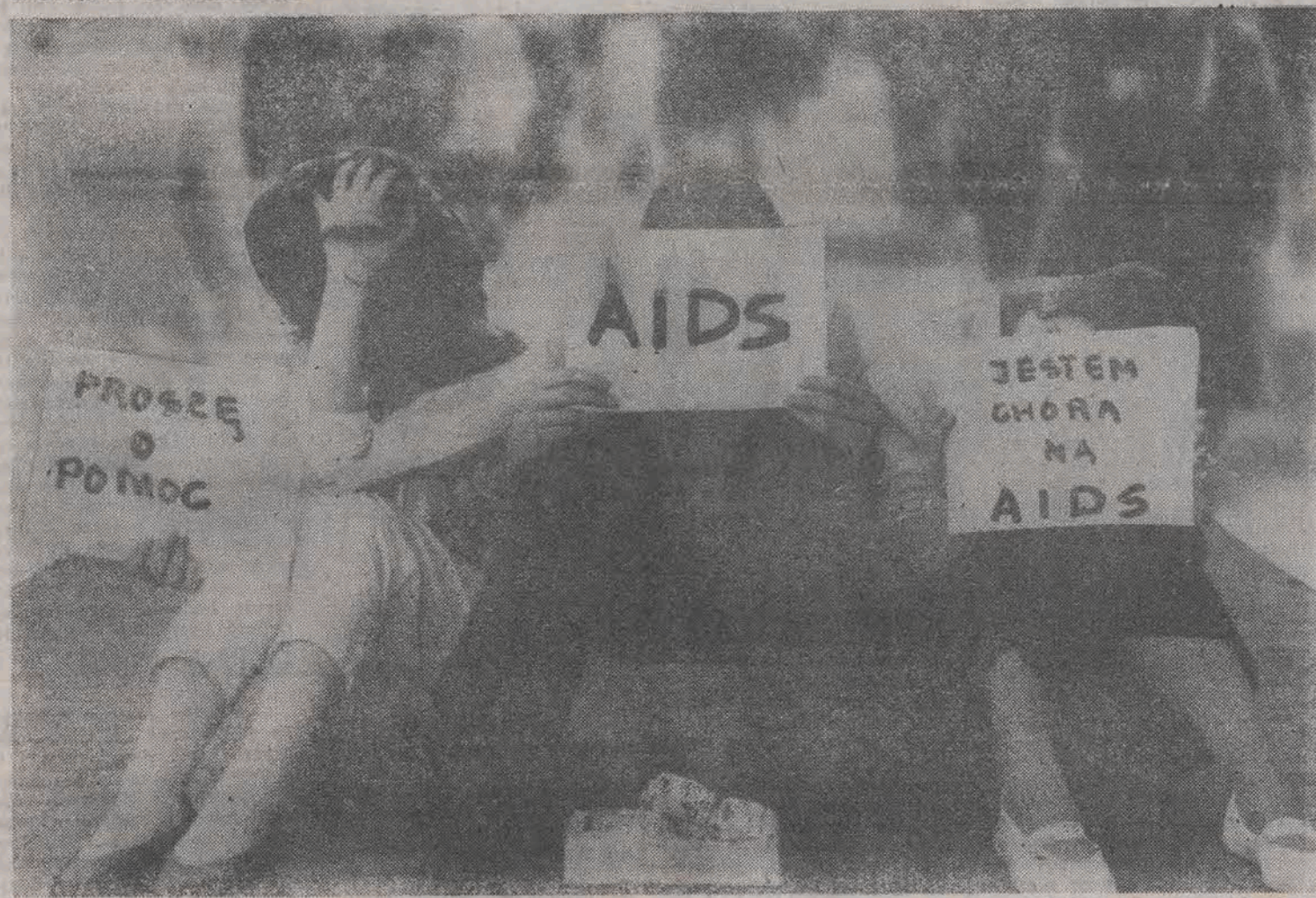
13 MAJA 1990 ROKU

CENA 1000 ZŁ

Niedaleko od Warszawy, daleko od współczesności.

Skandal w cieniu uzdrowiska

KONRAD FREJDLICH



Collage: Grzegorz Gałuski

Tę miejscowość upodobał sobie prominentni przedstawiciele kultury polskiej: Wacław Gąsiorowski, autor głośnych „Królobójców” i patriotycznych powieści historycznych, a także Stefan Żeromski, którego przedstawiać nie trzeba. Są do dziś legendą podwarszawskiego uzdrowiska. Tutaj osiedlił się także wielki samotnik, literat i rzeźbiarz Leopold Buczkowski, a do tej plejady dołączył osamotniony ostatnio Roman Bratny, postać znana na tyle, że również nie wymaga prezentacji. Potwierdzeniem literackiej tradycji jest Dom Pracy Twórczej „Zalksu”, w którym spotyka się, bez przesady, cała znacząca kulturalnie Polska.

Rzeczka Jeziorna, bury potok o nieokreślonej klasie czystości i podejrzany zapach, omija kilka samodzielnych jeszcze kilkadziesiąt lat temu miejscowości, tworzących obecnie jeden administracyjny kompleks. W najczystszej części jest nazwa Konstancin — część tej dziwnej aglomeracji najbardziej reprezentacyjna. W zwartym sosnowym lesie, poprzecinany prostokątami ulic stoją okazałe wille. Wiele z nich nosi ślady okaleczeń i nic dziwnego: budowane były przeważnie na początku naszego wieku. Osypująca się sztuka jest tylko potwierdzeniem faktu, że dziś nie mają prawdziwych właścicieli. Z pewnymi wyjątkami. Najlepiej utrzymana jest biała rezydencja ambasadora Związku Radzieckiego, pilnowana przez chłopców z Biura Ochrony Rządu. Aby nie było wątpliwości: przedstawiciele Moskwy mieszkają tu od przedwojny. Widocznie upodobał sobie to miejsce, gdyż niedaleko mieści się także sowiecka misja handlowa.

W ich ślady poszedł Bolesław Bierut: w latach pięćdziesiątych milicja w ciągu jednej nocy wygrodziła sporą część konstancin-skiego lasu, zwaną Górą Królewską. Na kłoci bruk łączący Jeziorną ze Skolimowem wylano asfaltowy dywanik; jest to dzisiejsza Aleja Zjednoczenia. Schedę po Bolesławie Krwawym przejął Władysław Gomułka, ale przekazał później na rzecz miasta. Toteż po kolejnym zakręceniu historii następcą towa-

rzysza Wiesława — Edward Gierek, miał już do wyboru tylko przylegający do Konstancina Klarysew — tutaj wzniesiono rezydencję i sekretarza, noszącą eufemistyczną nazwę „służbowego mieszkania”.

ostatnio Konstancinem zainteresowała się pani Małgorzata Niezabitowska i Mrs Barbara Piasecka-Johnson. Pierwsza nabyła na ulicy Stefana Batorego okazałą willę z kolumnadą; właśnie trwa prowadzony z rozmachem remont. Polsko-amerykańska milionerka pertraktuje w sprawie sąsiedniej parceli, na której stoi pseudoklasykistyczna budowla, znajdująca się w kompletnej ruinie. Podobno zamierza uratować jeszcze jedną starą willę i jej pełnomocnicy robią rozeznanie w tej sprawie u miejscowych władz. Zapewne nie będzie to dom należący od dziesięcioleci do rodziny Landsbergisów, chociaż kłówie... W Konstancinie mówi się ze złośliwą satysfakcją, że przedstawicielstwo Litwy ma już przynajmniej miejsce na swojej rezydencji.

Konstancin ma opinię cichej, jakby uśpionej miejscowości. Na ulicy widać często wózki inwalidzkie: tutaj zlokalizowano Stołeczne Centrum Rehabilitacji, w którym leczy się cała Polska. Największym zakładem pracy jest dwustuletnia papiernia, przeniesiona do Jeziornej z Mirkowa na Kielecczyźnie. Wytwarza kartony, pape, pergamin i karbowane rolki artykułu, który znajduje zastosowanie w intymności toalety. Jeśli nie liczyć paru bloków mieszkalnych w pobliżu Zakładów Papierniczych i małego osiedla bliźniaków przy ul. Jana Sobieskiego, jedyną inwestycją ostatnich lat o przeznaczeniu publicznym jest konstancin-ski pensjonat „Biała dalia” o wyraznie ekskluzywnym charakterze: parkują przed nią głównie samochody z zagraniczną rejestracją, niemiecką lub francuską. Pierwsza to jaskółka kapitału prywatnego, chociaż pewnie nie ostatnia.

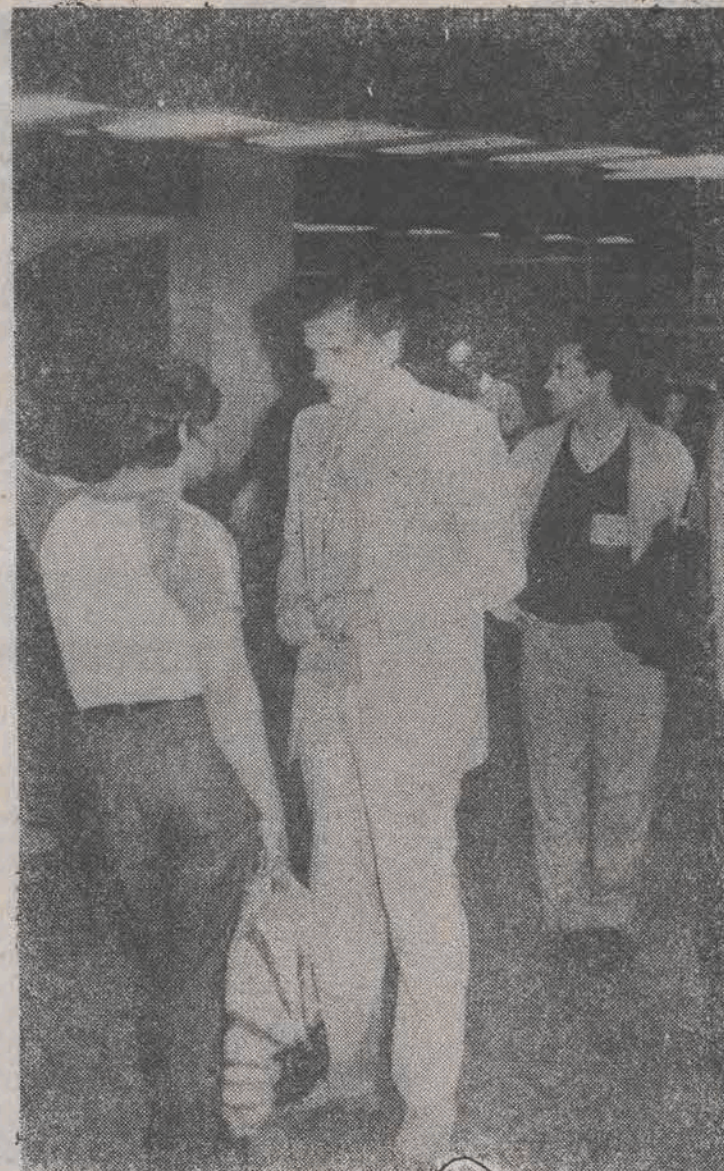


Foto: Marek Juśkiewicz

Zbigniew Bujak, Jerzy Kropiwnicki, Jan Rulewski, Andrzej Słowik w Hali „Olivii” odpowiadają na pytania reportera „Odgłosów”.

Mniej o prezydencie, więcej o ludziach

25 kwietnia 1990 roku zakończył się II Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”.

Różnego rodzaju oceny pojawiały się już w trakcie obrad — w programach telewizyjnych, radiowych, w prasie. Oceniano poszczególne dni, poszczególne tematy, pojedyncze wypowiedzi. Jednak na ocenę całego Zjazdu, jego zwycięstw i porażek, jest jeszcze za wcześnie. Warto natomiast zapoznać się z wypowiedziami osób, które miały wpływ na jego przebieg, były najbardziej aktywne na sali obrad, a poza nią najbardziej obiegane przez dziennikarzy.

Niżej przytoczone rozmowy odbyły się w trakcie obrad — w kulisach Zjazdu, w czasie dyskusji i minikonferencji prasowych organizowanych ad hoc w szatni, korytarzu, bufecie. Warto zastanowić się nad tym, co mają do powiedzenia ludzie, którzy kształtowali związek w pierwszym etapie jego działalności i mają konkretną wizję drogi, którą powinien podążać.

JERZY KROPIWNICKI: — delegat NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej.

— Jaka jest pańska ocena tego, co dzieje się na Zjeździe? Co można powiedzieć o przygotowaniu delegatów?

— Moja ocena jest coraz lepsza. Widzę, że w miarę, jak Zjazd trwa, narasta zrozumienie tego, czym ma być zwią-

zek. Kiedy mówiło się ogólnie, dyskutując różne projekty, padło wiele słów w pięknej formie. Ale to było nieczytelne. W momencie, kiedy przychodziło do podjęcia decyzji i są konkretne zapisy, okazuje się, że delegaci są nadspodziewanie dobrze przygotowani do tego, żeby podejmować decyzje. Czym innym jest okłaskiwanie pięknych słów, a czym innym decydowanie o sprawach zasadniczej wagi dla przyszłego działania. Jestem pod tym względem o wiele bardziej zadowolony niż dwie godziny temu.

— Czy poprzednie dni nie były stratą czasu na spory proceduralne?

— Nie. Bez tych kilku dni nie byłoby tego efektu, który widzimy w końcówce. Spotkaliśmy się tu po dziesięciu latach, w dodatku z pewnymi zaskočeniami, urazami, z nalepkami i ocenami, które pojawiły się niezależnie od nas. Bardzo wiele nieporozumień upadło w toku obrad. Od nowa się poznajemy i zaczynamy się wzajemnie oceniać według tego, co tutaj naprawdę reprezentujemy, a nie według tego, co nam kto na czoło albo na plecach przykleił.

— Czy organizacja Zjazdu była właściwa? Bardziej słuszne mogłoby się wydawać podzielenie go na dwie tury.

— Rzeczywiście. Sądzę, że byłoby to lepsze. Dawałoby między tymi turami więcej czasu na wzajemne poznanie się w komisjach roboczych i na bardziej staranne przygotowanie poszczególnych uchwał, łącznie z uchwałami zasadniczymi — programową, finansową i statutową. Związek

Adres redakcji:

90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99, publicyści: 36 77 70, 32 89 70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski,

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Problematyka kulturalna:

Marian Zdrojewski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Doroszyński,

Andrzej Gębarowski,

Konrad Frejdlach,

Jacek Indelak,

Eugeniusz Iwanicki,

Marek Koprowski,

Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Bogumił A. Makowski

Paweł Tomaszewski,

Graficy: Dariusz

Romanowicz, Janusz

Szymański-Glanc,

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński,

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk,

Stale współpracują:

Marek Brzeziński,

(Paryż — Londyn),

Magdalena Grochowalska,

Anna Gronczewska,

Andrzej Grun, Janusz

Janyst Marek Juśkiewicz,

Andrzej Karolczak,

Witold Kasperkiewicz,

Andrzej Kempa,

Włodzimierz Krzemieński,

Mirosław Kulś,

Jerzy Kwieciński,

Monika Matuszak,

Zenon J. Michalski,

Marzena Mróz, Adam

Ochocki, Henryk

Pustkowski, Maciej

Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch” 01-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skróto.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli i miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumeratę w wyznaczonych punktach, sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztowa obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumeratę.

Przegląd prasy

Związek Radziecki jest kolosem państwowym — prawie 72 razy większym od Polski — obejmującym 22 mln 403 tys. km kw. powierzchnię i 285 mln ludności. W tym czasie azjatycka stanowi 75 proc. obszaru i 28 proc. ludności. Na życzenie czytelników podajemy najważniejsze dane o wielkości i strukturze narodowej poszczególnych republik związkowych.

1. Armenia. Stolica — Erewan. Powierzchnia — 29,8 tys. km kw., ludność — 3 mln 459 tysięcy. Skład narodowościowy: Ormianie — 89,7 proc., Azerowie — 5,3 proc., Rosjanie — 2,3 proc., Kurdowie — 1,7 proc., inni — 1,0 procent

2. Azerbejdżan. Stolica — Baku. Powierzchnia — 86,6 tys. km kw., ludność — 6 mln 921 tysięcy. Skład narodowościowy: Azerowie — 78,1 proc., Ormianie i Rosjanie — po 7,9 proc., narody Dagestanu — 3,4 proc., Żydzi — 0,6 proc., Tatarzy — 0,5 proc., inni — 1,6 procent

3. Białoruś. Stolica — Mińsk. Powierzchnia — 207,6 tys. km kw., ludność — 10 mln 141 tysięcy. Skład narodowościowy: Białorusini — 78,4 proc., Rosjanie — 11,9 proc., Polacy — 4,2 proc., Ukraińcy — 2,4 proc., Żydzi — 1,4 proc., inni — 0,7 procent

4. Estonia. Stolica — Tallin. Powierzchnia — 45,1 tys. km kw., ludność — 1 mln 571 tysięcy. Skład narodowościowy: Estończycy — 64,7 proc., Rosjanie — 27,9 proc., Ukraińcy — 2,5 proc., Białorusini — 1,6 proc., Żydzi — 0,3 proc., inni — 3,0 procent

5. Gruzja. Stolica — Tbilisi. Powierzchnia — 69,7 tys. km kw., ludność — 5 mln 297 tysięcy. Skład narodowościowy: Gruzini — 68,8 proc., Ormianie — 9,0 proc., Rosjanie — 7,4 proc., Azerowie — 5,1 proc., Osetyjczycy — 3,2 proc., Grecy — 1,9 proc., Abchazi — 1,7 proc., Ukraińcy — 0,9 proc., Żydzi — 0,6 proc., Kurdowie — 0,5 proc., inni — 0,9 procent

6. Kazachstan. Stolica — Alma Ata. Powierzchnia — 2 mln 717 tys. km kw., ludność — 16 mln 470 tysięcy. Skład narodowościowy: Rosjanie — 40,8 proc., Kazachowie — 38,6 proc., Ukraińcy — 6,1 proc., Tatarzy — 2,1 proc., Uzbeki — 1,8 proc., Białorusini — 1,2 proc., Ujgury — 1,0 proc., Koreańczycy — 0,6 proc., Azerowie — 0,5 proc., Dungan — 0,2 proc., inni — 9,7 procent

7. Kirgizja. Stolica — Frunze. Powierzchnia — 198,5 tys. km kw., ludność — 4 mln 238 tysięcy. Skład narodowościowy: Kirgizi — 47,9 proc., Rosjanie — 25,9 proc., Uzbeki — 12,1 proc., Ukraińcy — 3,1 proc., Tatarzy — 2,0 proc., Ujgury i Kazachowie — po 0,8 proc., Tadżycy — 0,7 proc., inni — 6,7 procent

8. Litwa. Stolica — Wilno. Powierzchnia — 65,2 tys. km kw., ludność — 3 mln 682 tysiące. Skład narodowościowy: Litwini — 80,0 proc., Rosjanie — 8,9 proc., Polacy — 7,3 proc., Białorusini — 1,7 proc., Ukraińcy — 0,9 proc., Żydzi — 0,4 proc., inni — 0,8 procent

9. Łotwa. Stolica — Ryga. Powierzchnia — 64,5 tys. km kw., ludność — 2 mln 673 tysiące. Skład narodowościowy: Łotysze — 53,7 proc., Rosjanie — 32,8 proc., Białorusini — 4,5 proc., Ukraińcy — 2,7 proc., Polacy — 2,5 proc., Litwini — 1,5 proc., Żydzi — 1,1 proc., inni — 1,2 procent

10. Mołdawia. Stolica — Kiszyniów. Powierzchnia — 33,7 tys. km kw., ludność — 4 mln 224 tysiące. Skład narodowościowy: Mołdawianie — 63,9 proc., Ukraińcy — 14,2 proc., Rosjanie — 12,3 proc., Gagauzi — 3,5 proc., Bułgarzy i Żydzi — po 2,0 proc., Białorusini — 0,4 proc., inni — 1,2 procent

11. Rosja. Stolica — Moskwa. Powierzchnia — 17 mln 75 tys. km kw., ludność — 146 mln 450 tysięcy. Skład narodowościowy: Rosjanie — 82,6 proc., Tatarzy — 3,6 proc., Ukraińcy — 2,7 proc., Czuiwaszy — 1,2 proc., narody Dagestanu — 1,0 proc., Baszkirzy — 0,9 proc., Mordwinów i Białorusini — po 0,8 proc., Czecheni, Żydzi i Udmurci — po 0,3 proc., Maryj-

czy i Kazachowie — po 0,4 proc., inni — 4,1 procent

12. Tadżykistan. Stolica — Duszanbe. Powierzchnia — 143,1 tys. km kw., ludność — 4 mln 969 tysięcy. Skład narodowościowy: Tadżycy — 58,8 proc., Uzbeki — 22,9 proc., Rosjanie — 10,4 proc., Tatarzy — 2,1 proc., Kirgizi — 1,3 proc., Ukraińcy — 0,9 proc., Żydzi i Turkmeni — po 0,4 proc., inni — 2,8 procent

13. Turkmenia. Stolica — Aszchabad. Powierzchnia — 488,1 tys. km kw., ludność — 3 mln 455 tysięcy. Skład narodowościowy: Turkmeni — 68,4 proc., Rosjanie — 12,6 proc., Uzbeki — 8,5 proc., Kazachowie — 2,9 proc., Tatarzy — 1,5 proc., Ukraińcy — 1,3 proc., Ormianie — 1,0 proc., Azerowie — 0,9 proc., inni — 2,9 procent

14. Ukraina. Stolica — Kijów. Powierzchnia — 603,7 tys. km kw., ludność — 51 mln 377 tysięcy. Skład narodowościowy: Ukraińcy — 73,6 proc., Rosjanie — 21,1 proc., Żydzi — 1,3 proc., Białorusini — 0,8 proc., Mołdawianie — 0,6 proc., Polacy i Bułgarzy — po 0,5 proc., inni — 1,6 procent

15. Uzbekistan. Stolica — Taszkent. Powierzchnia — 447,4 tys. km kw., ludność — 19 mln 589 tysięcy. Skład narodowościowy: Uzbeki — 68,7 proc., Rosjanie — 10,8 proc., Tatarzy — 4,2 proc., Kazachowie — 4,0 proc., Tadżycy — 3,9 proc., Karakalpaczy — 1,9 proc., Koreańczycy — 1,1 proc., Ukraińcy — 0,9 proc., Kirgizi — 0,7 proc., Żydzi i Turkmeni — po 0,6 proc., inni — 2,6 procent

Związek Radziecki zamieszkuje ponad 100 narodowości. W tym 22 liczące ponad milion osób, 30 liczących od 100 tysięcy do miliona, 24 liczące od 10 tysięcy do 100 tysięcy.

GROŹBA NOWEGO TOTALITARYZMU

Największym zagrożeniem dla spójności imperium radzieckiego są ruchy nacjonalistyczne i szowinistyczne. Pisze o tym w sobotnio-niedzielnym wydaniu „GAZETY WYBORCZEJ” (nr 98) Leon Bójko. Streszcza on m.in. założenia ideologii panturkizmu:

„Chrześcijaństwo przegrana, przychodzi czas na triumf i ofensywę islamu w świecie, a już na pewno w ZSRR. Wyznawcy tej ideologii są zdecydowanymi zwolennikami odłączenia się republik bałtyckich, ponieważ zmieni to układ sił między chrześcijaństwem a islamem na korzyść islamu. Blok narodów tureckich, od Azerbejdżanu przez Azję Środkową do Jakuji, zaplanuje nad całym Związkiem Radzieckim, Słowianie staną się niewolnikami muzułmanów. W Europie skończyła się konfrontacja Wschód-Zachód. Wschód, czyli Związek Radziecki — przegrał. Teraz Zachód próbuje wciągnąć ZSRR do sojuszu, ponieważ przychodzi czas konfrontacji Północ-Południe, czyli islamu z chrześcijaństwem. Chrześcijaństwo oczywiście nie ma żadnych szans...”

Wśród wielu narodów Związku Radzieckiego jest i mln 800 tys. Żydów. Stanowią oni 0,6 proc. ogółu ludności. Natomiast w życiu politycznym i kulturalnym — według Michaiła Gorbaczowa — reprezentowani są co najmniej w 10-20 proc. Mieli więc niezłe warunki rozwoju i awansu. Ostatnio jednak nasiliła się występowanie antysemickie. Leon Bójko pisze:

„Ten obłąd ciągle jeszcze nie ogarnął społeczeństwa rosyjskiego, to ciągle jest margines — agresywny, krzykliwy, bezczelny, ale jednak margines. Mimo to być dzisiaj Żydem w Rosji — to los często nie do wytrzymania. Rok temu w Leningradzie znajomy Rosjanin, Igor, prosił mnie o radę: musi emigrować. Jest — okazało się — Żydem. Wykladowca w jednej z uczelni artystycznych, odnosi sukcesy zawodowe, ma piękne mieszkanie w historycznym centrum miasta. I musi wyjechać. Sam by to wytrzymał, ale jego córki kilka razy wracały z miasta z płaczem, bo mówiono do nich: «Długo nie będziecie zaimeć naszego miasta, jęwejskie mordy». Pytał mnie Igor, czy wyjazd z Rosji w tym czasie to nie technizm, czy słusznie robi. Sam nie zna żadnego innego języka, jego kultura, jego cały świat — to Rosja. Na Za-

chodzie będzie pariasem, może utrzymać go starsza córka. (...) Sprośdzanie rosyjskiego antysemityzmu do nawrotu choroby, szczególnie groźnej właśnie w środowisku pisarzy, intelektualistów, artystów — byłoby jednak zbyt proste. W Rosji toczy się bardzo poważna i bardzo niebezpieczna gra. Gra o przyszłość tego kraju i losy jego sąsiadów”.

W warunkach wielopartyjności Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego poniesie klęskę. Wtedy — zdaniem Leona Bójki — na miejsce totalitaryzmu komunistycznego może przyjść totalitaryzm nacjonalistyczny, szowinistyczny, faszystowski. Na szczęście w ostatnich wyborach do rad miejskich zwyciężali kandydaci bloku demokratycznego, a znani nacjonaliści przegrywali

KRYTYKA ALTRUIZMU PREMIERA

W skomplikowanej sytuacji wewnętrznej, Żydzi radzieccy masowo emigrują do Izraela i osiedlani są na terytoriach okupowanych. Rodzi to protesty w krajach arabskich i stwarza niebezpieczeństwo dla obywateli państw tranzytowych. Podczas pobytu w Stambule Zjednoczonych premier Tadeusz Mazowiecki obiecał, że Polska ułatwi Żydom radzieckim przelot do Izraela. Posunięcie to skrytykował na łamach „EXPRESSU ILLUSTRowanego” (nr 79) Jarosław Szymański z Ruchu Narodowo-Liberalnego. Pyta on i odpowiada:

„Czy premier miał prawo, wiedząc o groźbach terrorystów arabskich, wystąpić na niebezpieczeństwo utraty życia bądź zdrowia 11 tysięcy Polaków zatrudnionych w krajach arabskich? Nie. Nie miał takiego prawa przynajmniej dopóty, dopóki nie zapewniono tam naszym obywatelom należytej ochrony. Wyniki krótko- i długoterminowego postępowania nie kazaly długo na siebie czekać. Zamach na Bejrucie był tego potwierdzeniem. Wiadome jest obecnie, że ani strona polska, ani rządy państw arabskich nie są w stanie zapewnić właściwej ochrony naszym obywatelom. W tej sytuacji będziemy musieli wycofać tych pracowników. Ludzie stracą dobrą pracę. W imię czego?”

Zapewne dla równowagi, a może to jednak przypadek, rząd premiera Mazowieckiego udzielił azylu nielegalnym emigrantom z państwa arabskich, którzy zostali deportowani ze Szwecji. Pod naszym adresem pospytały się pochwały, których nie szczędził szczególnie Szwedzi. Humanitarny rząd Mazowieckiego, chociaż w kraju bieda, wspinałomyślnie wysygnął z budżetu państwa 10 mld złotych na utrzymanie tych ludzi, zamiast odesłać ich do kraju. Nie chodzi ostatecznie o tych kilkaset osób, ale o pewien określony sposób myślenia obecnej elity władzy, która nastawiona kosmopolitycznie nie zawsze postępuje zgodnie z interesem narodowym i polską racją stanu.

Czy jednak naprawdę jest się czemu dziwić, skoro na decyzje rządu mają wpływ tacy ludzie jak Adam Michnik. Przecież to „Europejczyk”, nie „Polak Roku”.

I jeszcze jedno. Część z przedstawionych posunięć rządu byłaby w normalnym demokratycznym kraju powodzeniem potężnej krytyki, a być może nawet jego dymisji. U nas wszystko nadal w porządku. Zatem, panie premierze. Proszę chcieć przede wszystkim podobać się swoim”.

ILE ZARABIAMY?

Według obszernego komunikatu GUS o sytuacji gospodarczej w I kwartale br. — opublikowanego w dzienniku „RZECZPOSPOLITA” (nr 98) — przeciętne wynagrodzenie miesięczne w podstawowych działach gospodarki społecznej wyniosło w marcu 968 tys. zł (w tym wypłaty z zysku stanowiły 252 tys. zł). Najwięcej zarobiono w przemyśle wydobywczym (1 mln 267 tys. zł), a najmniej w handlu (669 tys. zł).

Najwyższe średnie płace z zyskiem w marcu w przemyśle społecznym odnotowano w następujących województwach: pockim — 1592 tys. zł, legnickim — 1385 tys. zł, szczecińskim — 1312 tys. zł, piotrkowskim — 1244 tys. zł, bydgoskim — 1187 tys. zł, gdańskim — 1171 tys. zł. A najniższe płace były w przemyśle województw: białostockim — 674 tys. zł, zamojskim — 736 tys. zł, nowosądeckim — 775 tys. zł, króśnińskim — 782 tys. zł, suwalskim — 790 tys. zł.

Badania wykazują, że w naszym kraju kobiety zarabiają o 30 proc. mniej od mężczyzn.

E. L.

E. L.

E. L.

E. L.

E. L.

E. L.

Adam Michnik mówił w związku z tym:

„Ja znam ten język. Wysoka Izba. To jest język komunistycznego egalitaryzmu. To jest ten język, który pozwala mi być szlachetnym, jeżeli rozdaje cudze, i chce powiedzieć, Wysoka Izba, że w niektórych głosach — niestety, także moich kolegów z OKP — z przeżeniem ustąpiłem ten ton, który słyszałem w prokuratorskich przemówieniach wtedy, kiedy sam siedziałem na ławie oskarżonych. Znam ten ton bardzo dobrze, bardzo się go boję, i wiem czego się boję”.

Słuchając tych głosów cały czas zastanawiam się, czy prawdą jest to, co przez tyle lat o nas mówili komuniści — że podstawowym celem naszej politycznej aktywności jest zlikwidowanie przeciwnika. Ja wierzę, wierzę i będę wierzył, że jest to nieprawda, że myślimy się nie po to angażowali. Ja wierzę i wierzę, że w tej nowej rzeczywistości, której budowa została zapoczątkowana na zasadzie kompromisu politycznego — a wszyscy, którzy w tej sali jesteśmy, ten kompromis aprobujemy — odtąd jest miejsce dla wszystkich.

Idzie mi tutaj o zasady. Przeproszę za osobiste wyznaczenie: 25 lat temu zostałem po raz pierwszy aresztowany przez komunistyczną policję. Wtedy miałem 18 lat. Od tego czasu byłem aresztowany i zatrzymywany wiele razy. Mnie nie trzeba tłumaczyć, że komunizm to nie dobre i mnie nie trzeba przeciwko komunistom agitować.

Ale właśnie z tej perspektywy chcę powiedzieć, że w niektórych głosach, o czym mówię z bólem, usłyszałem coś, co bym nazwał antykomunizmem jaskiniowym. Ja jestem antykomunistą i jako antykomunistę tej jaskiniowości się boję.

I chcę powiedzieć, że dziś z popisywaniem się tymi deklaracjami, gdzie się PZPR miesza z błotem, porównuję do katyńskich morderców, mówi się, że gorsi byli niż Hitler — ja nie wspólnego nie mam i nie chcę mieć.

I chcę do tego jeszcze dodać, że w stanie wojennym, po 13 grudnia i siedząc w kryminale, ja nie byłem aż tak ostrożny, żebym dzisiaj musiał być aż tak ostrożny. I chcę powiedzieć jeszcze, że nie jestem i nie chcę być adwokatem PZPR i tego, co z PZPR zostało. W tym co mówię, popierając w pełni z całą odpowiedzialnością stanowisko ministra Halla, idzie mi o etykę polityczną. Idzie mi o etykę dlatego, że słyszałem wczoraj i dziś głosy nasycone nienawiścią. I tą bronią walczymy nie będzie”.

Tekst cytowanego wyżej przemówienia Adama Michnika w Sejmie opublikowała „GAZETA WYBORCZA” (nr 100). W burzliwej dyskusji sejmowej tego dnia ktoś nazwał jednego z posłów „cwoikiem”, a ktoś inny sugerował, że PZPR zdobyła władzę dzięki ofiarom Katynia.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Areszt śledczy w Łodzi. Było o nim głośno w 1989 roku w związku z buntiem więźniów. Prasa rozpisywała się o złym traktowaniu więźniów przez służbę więzienną, krytykowano warunki w jakich przebywają osadzeni. A jak jest dzisiaj? „Nasi więźniowie mają telewizory — mówi zastępca naczelnika miar Janusz Kwiecień. Dostarczają im je rodziny, a my nie robimy żadnych trudności, chyba że więzień jest bardzo agresywny, wszczynają bójki ze współwięźniami, sprawia trudności wychowawcze. Brak zgody na posiadanie telewizora jest obecnie jedyną karą jaką stosujemy, gdyż wszystkie inne zostały zniesione”. — reportaż MAGDALENY GROCHOWALSKIEJ.

— Z imieniem Semiramidy związane są pierwsze ogrody wiszące. Są to ogrody miłośnicy założone przez Nebokadnezara II w pałacu królewskim w Babilonie. Były one położone na kilkupoziomych tarasach i stanowiły jeden z siedmiu cudów świata starożytnego. Według tradycji przekazywanej przez Greków ogrody założyła Semiramida. W ogrodach tych miała przyjmować kochanków. Po spędzonych z nimi upojnych nocach, kazała ich rano zabijać, aby nie mogli mieć żadnej innej kobiety po niej. Semiramida była tak piękna, że nawet gdy wieść o tym stała się publiczną tajemnicą, znajdowało się wielu ochotników, którzy świadomie oddawali życie, aby spędzić z nią noc. Ponieważ wszyscy kochankowie podczas stosunków seksualnych mieli świadomość tego, że zginą lub zostaną wykastrowani, wzbujało to u nich szczególne napięcie emocjonalne wzmacniające rozkosz u Semiramidy — fragment najnowszej książki KAZIMIERZA IMIELNISKIEGO pt. „Intymne niedyskrecje” przygotowanej do druku przez wydawnictwo Res Polona.

— Dziś lewica znaczy co innego, niż przed kilku laty, niż rok temu. Na lewicy, również w Łodzi, jest kilka partii. Jedną z nich jest SdRP. Socjaldemokracja to partia pragmatyczna. Ruch sytuujący się w centrum lewicy demokratycznej. W gronie kandydatów na radnych zarejestrowanych na liście SdRP przeważają ludzie w wieku czterdziestu lat. Ludzie dojrzały, a jednocześnie jeszcze nie zmęczeni życiem w ciękawych czasach. Duża ich część legitymuje się wyższym wykształceniem. Ich autem jest także spore doświadczenie życiowe, społeczna dojrzałość i wysoka kultura polityczna — pisze KAROL J. STRYJSKI.

— Książka Janusza Rolkego i Edwarda Gierka jest czymś kuriozalnym. Jest to opowieść egocentryczna, który nie przywołuje do wiadomości swojej bardzo zasadniczej przesłany politycznej i konstruuje dzieje ostatnich lat w taki sposób, że po prostu wszystko, co w Polsce się zdarzyło, jest efektem spisku personalnego dokonującego się w wąskim gronie, mającego na celu pozabawienie go władzy. Mamy do czynienia z jakimś teatrem marionetek. Stanisław Kania, Edward Babuch, Stanisław Kowalczyk. Niekiedy nazwiska, których jak Kowalczyk, nie pamięta już nikt poza Gierkiem. Swoimi mafijnymi poczynaniami osoby te — zdaniem Edwarda Gierka — spowodowały ów zryw społeczny zwany Sierpniem 80 roku. Tyle że wydarzenia ich przerosły i w końcu sami stracili władzę. Ta koncepcja spiskowa jest tak naiwna, że zęby boją i groza przejmują, że przez dziesięć lat rządził Polską człowiek o tego rodzaju skali wyobraźni politycznej — mówi JERZY URBAN w wywiadzie udzielonym AGNIESZCE LESIAK.

1.

Zaczęły się już maj, do samorządowych wyborów coraz bliżej, ale kampania wyborcza nie nabiera rozpędu. Nie tak to sobie wyobrażaliśmy, pamiętając kampanię sprzed 4 czerwca 1989 roku. Różnica między tamtymi wyborami a obecnymi jest duża i oczywista. Wtedy wystarczyło oddać głos, zadokumentować swoją niechęć do komunistów i wybrać tych posłów, których rekomendował Lech Wałęsa. O resztę to już oni sami mieli się martwić i martwić się, siedząc w Sejmie RP. Wyborca może się tylko dziwić, że posłom nie starcza cierpliwości i ławy poselskie świecą pustkami, jak to miało miejsce pod koniec poprzedniego tygodnia, kiedy to nie można było podjąć żadnej uchwały, bowiem nie było quorum.

Teraz rzecz wygląda zupełnie inaczej. Wybrać trzeba samorząd, od pracy którego będzie zależał nasz bezpośredni los. Samorząd ten ma bowiem decydować przez najbliższe lata o rozwoju każdej z gmin, a więc i Łodzi. Powszechnie się mówi, że jak wybieramy samorząd, to się wszystko zaraz zmieni. No, bo ten samorząd ma decydować o tym, jak się zmieni, jaki ma być zakres tych zmian i jaki będzie ich kierunek. Wybrać trzeba nie tych, którzy zasiadają w ławach w budynku przy ulicy Piotrkowskiej i w innych gminach. Wybrać trzeba tych, których się zna, za działania których bierze się odpowiedzialność. Jest to wybór znacznie trudniejszy i bardziej odpowiedzialny. Skutki tego wyboru odczujemy silniej niż skutki podejmowanych w Warszawie ustaw.

Polacy boją się odpowiedzialności. Nauczyli się przez poprzednie lata, że ONI rządzą, ONI decydują, a MY nie mamy nic do powiedzenia. Teraz ma być inaczej. Wpływ obywatela RP na lokalne decyzje ma być większy i bezpośredni. Mamy sami się rządzić i sami ponosić za te decyzje odpowiedzialność. Kłopot z tym będzie nie lada, a Polacy bardzo nie lubią kłopotów. W tym właśnie upatruję mniejsze zainteresowanie samorządowymi wyborami.

2.

Oczekiwałem większej przebojowości ze strony małych i średnich partii, które teraz przed samorządowymi wyborami mają wreszcie okazję pokazać się i zaprezentować swoich programów. Tylko Janusz Korwin-Mikke — prezes Unii Polityki Realnej — jak zwykle pełen pomysłów i wszędzie niemal obecny. Unia Polityki Realnej posiada własne pismo „Najwyższy Czas”, ale Janusz Korwin-Mikke korzysta z każdej okazji, aby się wypowiedzieć. Pod koniec kwietnia 1990 roku wypowiedział się na łamach „Życia Warszawy”. Jego zdaniem do samorządów powinni wejść „ludzie uczciwi, mądrzy i znający problematykę swego terenu”. Taki program każdy zaakceptuje. Janusz Korwin-Mikke powiada, że „przynależność partyjna nie ma większego znaczenia”, wszakże chodzi mu o to, aby wybrani ludzie opowiedzieli się za pełną reprivatyzacją. Proponuje sprzedaż w prywatne ręce mienia komunalnego, podejmowanie przez samorządy wszelkiej działalności gospodarczej tylko w drodze publicznych przetargów. Gminy powinny same się utrzymywać. Budżet centralny nie może im odbierać pieniędzy, aby dać innym. Budżet centralny powinien mieć pieniądze jedynie na utrzymanie wojska, części aparatu sprawiedliwości, urzędu prezydenta, parlamentu, Sądu Najwyższego i sądu I instancji. Gminy muszą się utrzymywać same. „Tylko sprzedaż i kupno tylko licytacja i przetarg, są sprawiedliwą formą rozdzielania dóbr” — stwierdza Janusz Korwin-Mikke i dodaje, że jest to program prosty, ale „niezawadzony przez potencjalnych złodziei”, którzy bezustannie rozkradają Polskę. Jest to program nie tyle realny, co radykalny.

3.

Wielu ludzi ulega politycznym złudzeniom. Te złudzenia mają swój rodowód w minionej

epoce, kiedy wszystkim się wydawało, że wystarczy zmienić ekipę, a już na ziemi zaraz nastanie prawie raj. Ekipy — jak wiemy — zmieniały się, a do raju było coraz dalej. Wraz z wygranymi wyborami w czerwcu 1989 roku zmieniła się nadzwyczaj radykalnie rządząca ekipa i ludzie sobie po tej zmianie wiele obiecywali. Ulegli kolejnemu złudzeniu, że wystarczy tylko zmienić ludzi, dać władzę ludziom całkowicie innej orientacji politycznej, a zaraz raj się przybliży i wszystko będzie pięknie. A tak się nie stało, bo stać się nie mogło. Przebudowa gospodarki to nie jest łatwa rzecz, to poważne przedsięwzięcie, które wymaga czasu, cierpliwości i — jak się okazało — poświęceń i wyrzeczeń. Niecierpliwość

Z tej ziemi.

Dlaczego i komu potrzebna jest opozycja?

jest z tym doradcą. Stąd może coraz więcej spotykam ludzi rozczarowanych, którzy do niedawna byli niepoprawnymi entuzjastami. Ludzie oczekują, żeby rzeczywistość zmieniła się za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki — zaraz, natychmiast i oczywiście na lepsze. A to jest niezdrowe marzenie. Stąd później rozczarowania.

4.

Nasila się krytyka. W programie wyborczym Polskiego Stronnictwa Narodowego czytamy:

„Władza ogranicza demokrację, samorządność i pluralizm, utrudnia funkcjonowanie systemu wielopartyjnego, monopolizuje środki masowego przekazu, wprowadza niedemokratyczną ordynację wyborczą do samorządu terytorialnego. Niezasadnymi ograniczeniami budżetowymi niszczy się służbę zdrowia, oświatę, naukę i sztukę, obniża się poziom życia i wykształcenia Narodu (...). Program Rządu niszczy polskie rzemiosło, handel, usługi, przemysł, i rolnictwo. Zagroźa wszystkim formom rodzi-

mej przedsiębiorczości, umożliwiając opanowanie Polski przez obcą gospodarkę”.

Tak naprawdę to słyszę raczej narzekania na brak obcych kapitałów, których spodziewano się mrowie, a które miały pomóc w przebudowie polskiej gospodarki. Boję się, że liczenie na obcą pomoc jest kolejnym złudzeniem naszych polityków, podobnie jak politycy litewscy w swojej walce o niepodległość założyli, że im lni pomogą i srode się na tym zawiedli. Życie daje nam zewsząd do zrozumienia, że przede wszystkim i tylko powinniśmy liczyć na nasze własne siły. Dlatego tak istotna jest ta, obecna kampania wyborcza. Ale znów nie ulegajmy złudzeniu, że dokonamy wyboru i zaraz się wszystko zmieni.

Polskie Stronnictwo Narodowe domaga się, aby zostały obniżone „bezzasadnie wysokie czynsze, ceny energii, paliw, maszyn i innych środków produkcji rolniczej”, a przez to, aby zostały obniżone ceny żywności. Bardzo to atrakcyjne, tyle tylko, że nierealne. Inną sprawą jest „obniżenie podatków i wprowadzenie taniego kredytu dla rzemiosła, handlu, usług, przemysłu i rolnictwa chronionego przed importem żywności”. Wicepremier Leszek Balcerowicz — autor tego całego narzekania i niezadowolonia — zapowiada, że nadchodzi moment, kiedy trzeba będzie wprowadzić pewne ulgi, gdyż inaczej można będzie zniweczyć cały dotychczasowy wysiłek. Ba! Oby tylko tego momentu nie przegapiono!

Polskie Stronnictwo Narodowe domaga się poza tym „podniesienia płac i siły nabywczej ludności do poziomu uzasadnionego ekonomicznie”. Dla realizacji tego programu deklaruje współpracę z Polskim Związkiem Współmocy Narodowej, Stronnictwem Narodowym, Polskim Stronnictwem Ludowym, Polskim Stronnictwem Ludowym „Odrodzenie”, Stronnictwem Demokratycznym i innymi proponując tym utworzenie bloku „narodowo-

-ludowo-demokratycznego”. Domaga się też wolnych wyborów prezydenta, Sejmu i Senatu już w październiku 1990 roku.

5.

Stronnictwo Demokratyczne stwierdza, że jego program — „to program centrowy, demokratyczny, liberalny, patriotyczny, przeciwstawiający się programom klasowym, które w istocie są antynarodowym socjalizmem”. Zdaniem Stronnictwa Demokratycznego samorząd ma „sprawnie rozwiązywać problemy mieszkaniowe, gospodarki komunalnej, ochrony zdrowia i środowiska przyrodniczego, oświaty, kultury, handlu i usług”. SD uznaje własność za „wartość najwyższą i nienaruszalną”, która „musi być bezwzględnie chroniona przez prawo”, a własność komunalna „ma służyć dobru mieszkańców”. Natomiast „nadmierne obciążenia finansowe, w tym podatki — to hamowanie inicjatyw gospodarczych i wysokie ceny”.

Krytycznie ocenia rzeczywistość Polski 1990 Centralny Komitet Wykonawczy SdRP w liście adresowanym do byłych członków byłej PZPR. Píše się tam:

„Polsce grozi: ubóstwo milionów obywateli, rosnące bezrobocie, krach budownictwa, lekceważenie potrzeb młodego pokolenia, poniżenie kobiet, nędza rencistów i emerytów, upadek kultury i oświaty, poddanych bezwzględny prawom rynku i obyczajowo-politycznej kontroli państwa”.

Nie wolno dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń. Chodzi nie tylko o pokój polityczny, ale i bezpieczeństwo naszych granic. Polska zwaśniona, marnotrawiąca energię w wewnętrznych konfliktach nie będzie miała przyjaciół ani na Wschodzie, ani na Zachodzie.

Należy zatem rozumieć, że SdRP wypowiada walkę tym negatywnym zjawiskom i wzywa swoich sympatyków do poparcia socjaldemokracji w nadchodzących wyborach.

6.

Polsce potrzebna jest opozycja z prawdziwego zdarzenia. Nie tworzy jej socjaldemokracja, słaba, dopiero się kształtująca, uwikłana w polityczne spiski postkomunistycznego piętna. Nie tworzą jej partie i stronnictwa prawicowe, narodowe i chrześcijańskie demokracji, gdyż — po pierwsze — są słabe, po drugie — nie mają swoich reprezentantów w parlamencie. Nie tworzy takiej opozycji pozaparlamentarna lewica, która jest słaba i podzielona. W parlamencie natomiast posłowie byłej PZPR nie są w stanie stworzyć opozycji, gdyż część z nich przeszła do socjaldemokracji, a część pozostała bez przydziału. Słaby i podzielony jest ruch ludowy NSZZ „Solidarność” znajdujący się natomiast w sytuacji, kiedy jako siła polityczna wspiera i firmuje rząd Tadeusza Mazowieckiego, a jako ruch związkowy powinna występować w obronę zagrożonych interesów ludzi pracy. Ta dwiistość nie zapewnia jej „spokojnej” i jednoznacznej przyszłości.

W tej skomplikowanej i złożonej sytuacji politycznej mającej się odbyć wybory samorządowe nabierają dodatkowego znaczenia. Mogą stać się szansą ukształtowania się rzeczywistej opozycji, która utworzona na szczeblu samorządowym w niedalekiej przyszłości może odegrać wale niebagatelną rolę w wolnych wyborach do parlamentu. Nie wyobrażam sobie bowiem takiej sytuacji, jaka panuje teraz w Senacie, gdzie brak opozycji nie pozwala na rzeczowe i krytyczne rozważania o naszych powszednich problemach. Opozycja jest niezbędna między innymi i dlatego, aby rząd — jaki by on nie był — miał świadomość krytycznego wypomnienia mu jego niedociągnięć i błędów, a także aby mogły powstawać alternatywne propozycje, programy i plany. Bez opozycji każdy łatwo może popaść w samozadowolenie i bezkrytycyzm, a jak to się później kończy, mogliśmy się niedawno przekonać.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. Zmieniła się nieco sytuacja na politycznej mapie Polski. Zjednoczył się ruch ludowy. Powstało Polskie Stronnictwo Ludowe, które skupia większość chłopskich organizacji. Nie jest ono jeszcze na tyle silne, aby stanowiło zdecydowaną opozycję w Polsce. Ale czas ruchu chłopskiego dopiero nadchodzi. L.W.



Konfrontacje

Koniec rozdziału

W poniedziałek, 30 kwietnia 1990 roku dobiegła końca epoka rad narodowych. Odbyły się ostatnie ich sesje, pożegnane, a Sztandar Rady Narodowej Miasta Łodzi i insygnium przewodniczącego zostały przekazane do Muzeum Historii Miasta Łodzi 27 maja 1990 roku odbędzie się wybory do rady miejskiej. Będzie to już zupełnie coś innego.

Kadencja rad narodowych była niepełna. Przez ostatni rok — a nawet dłużej — przyglądał się uważnie pracy RNML. Chciałabym teraz — na zakończenie działalności RNML — podzielić się kilkoma spostrzeżeniami. Myślę, że warto oddać sprawiedliwość ludziom, którzy chcieli coś zrobić dla dobra wszystkich łodzian, starali się, choć było to trudne i skomplikowane. Trzeba też powiedzieć, że byli wśród radnych ludzie całkowicie przypadkowi, którzy nie bardzo wiedzieli po co tam są. Wytykałam RNML brak cierpliwości i niekonsekwencji. Wielu radnych tak było mało zainteresowanych tym, co dzieje się na sesjach, że brało diety... i szło do domu.

Nie mam zamiaru bronić RNML, ale warto pokazać, już z perspektywy historii, co RNML mogła, a czego nie mogła.

1. Gdy odszedł Jarosław Pietrzyk w niektórych gazetach pisano, że doprowadził do łódzkiego posiedzenia Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów (KERM), a mimo to przegrał. Teraz dziennikarze często pytają prezydenta Waldemara Bohdanowicza, czy zamierza wyegzekwować postanowienia KERMa? Takie pytanie dowodzi niezrozumienia sytuacji.

Rada Narodowa Miasta Łodzi przez część swej kadencji pracowała w warunkach, gdy decyzje zapadały w budynku przy alei Tadeusza Kościuszki, a niektóre w Warszawie. Dlatego wówczas ważne było łódzkie posiedzenie KERMa, ale i jego decyzje — pozytywne dla łodzian — nie mogły wiele zmienić. RNML była ubezwłasnowolniona przede wszystkim przez to, że 80 procent powstających w Łodzi pieniędzy szło do Warszawy, a z Warszawy niebawem było trudno cokol-

wiek odzyskać. Przykładem tego jest choćby ciągnąca się ponad miarę budowa Grupywiej Oczyszczalni Ścieków — tak przecież potrzebna nie tylko dla Łodzi. Przykładem tego może być też ciągnąca się latami budowa Centrum Klinicznego-Dydaktycznego Akademii Medycznej w Łodzi. RNML mogła uchylać, postulować, a jak przyszło do dzielenia budżetu — to nie bardzo było co dzielić. I ten fakt znakomicie ograniczał możliwości rady, nie tylko w Łodzi.

2. Radni czuli jednak, że nie są w porządku wobec swoich wyborców — przynajmniej niektórych — to czuli, bo innym było wszystko jedno. Występowali więc krytycznie na sesjach RNML oraz zgłaszali interpelacje. Jakość zgłaszanych interpelacji była różna: od drobnych gwałtów do spraw zasadniczych. Z czasem radni nauczyli się, że drobiazgi nie ma co wszystkim głowy zawracać, pozostały więc sprawy poważniejsze. Ale interpelacje, choć w pewien sposób wpływały na sprawność funkcjonowania służb miejskich, nie mogły zmienić rzeczywistości Łodzi w sposób oczekiwany i pożądany.

Przed 1 maja 1990 roku zabrakło w Łodzi chleba. Tak samo jak z „dawnych czasów”. Tłumaczono się, że nie potrafiono przewidzieć. Tłumaczenie humorystyczne. Urzędnik, który czegoś nie może przewidzieć, powinien natychmiast zło-

żyć rezygnację. Przecież to już nie pierwszy raz coś takiego się zdarza. Zresztą przed 1 maja 1990 roku brakowało w sklepach mięsa, wiele sklepów było niespodziewanie zamkniętych, a kasy MPK nie sprządały majowych znaczków do biletów miesięcznych, bo kasjerki miały dzień wolny. Odrzucali więc ten poniedziałek w poprzednią wolną sobotę. Tylko klientom MPK nikt o tym nie poinformował. Stali w kolejce i czekali na zmłówanie MPK. Jak z dawnych czasów.

W sprawie MPK było wiele interpelacji. Radni też są łodzianami i korzystają z komunikacji MPK. Wiedzą więc najlepiej, jak to komunikacja. Krytykowali więc, postulaty zgłaszali, domagali się i... MPK pracowało nadal tak jak pracowało. Nic się nie zmieniło.

Podobnie było z oczyszczaniem miasta. MPO krytykowane, MPO kajało się i usprawiedliwiała, a miasto nadal zarastało brudem i zarsa. Na Tramwajowej pod wiaduktem kolejowym ktoś zrobił sobie wysypisko śmieci i przejechał tam nie można, bo trzeba po kostki brodzić w śmieciach. Cuchnie poza tym. I nikt o tym nie obchodził, nikt się tym nie interesuje, choć pod tym wiaduktem „ziennie przejeżdża kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset samochodów i przechodzi setki ludzi. Takich obrazków można przytoczyć wiele. Ale dla czystości w mieście nie ma to

żadnego znaczenia. Nikt” się tym nie interesuje.

Interpelacje są oczywiście ważnym sposobem pracy radnych, ale są one mało skuteczne, choć powinny przecież służyć doskonaleniu pracy służb miejskich. I być może w systemie samorządowym, który dopiero musimy poznać i którego lepiej spełniać swoją rolę. W systemie ubezwłasnowolnionych rad narodowych były tylko sposobem podtrzymywania dobrego samopoczucia radnych, że przecież coś robia, zgłaszają, postulują, szukają.

3. Pamiętam, jak nas wszystkich obserwujących prace RNML zaskoczyło wotum nieufności dla prezydenta Jarosława Pietrzyka. Było to coś zupełnie nieoczekiwanego. Mało kto się tego spodziewał. Czy rzeczywiście?

Zastanawiam się teraz nad tym, czy był to „wypadek przy pracy”, czy zamierzona, z góry założona gra, która się nie udała. Chodziły słuchy, że była to zamierzona gra. Chodziło o zmianę na stołcu prezydenckim dokonaną rękoma radnych, którzy sami nie bardzo się w tej grze orientowali. Gdy się zorientowali, mieli już do wyboru dwóch kandydatów z zupełnie innego ugrupowania politycznego. Nie dziwi się im, że początkowo stanęli dęba i nikt o nich nie wybrał. Dopiero druga tura głosowania dała pozytywny rezultat. To już wpraw-

dzie historia, ale ciągle intrygująca dla tych, którzy chcieliby wiedzieć, jak to naprawdę było z wotum nieufności dla Jarosława Pietrzyka. To, że on sam był tym faktem najbardziej zaskoczony — nie ulega dla mnie wątpliwości. Byłam przy tym i widziałam. Zresztą w życiu już tak jest, że zainteresowani dowiadują się o intrydze przeciwko nim ostatni.

4. Byłam na ostatniej sesji RNML. Wrecono listy z podziękowaniem, niektórym przypięto Honorowe Odznaki Miasta Łodzi. Byli radni, którzy odetchnęli z ulgą, że już się to skończyło. Inni przyjęli to z zalem, bo jakiś rozdział z ich życia minął bezpowrotnie. Byli nawet izy. Przewodniczącą Andrzej F. Grabski wszystkim podziękował, po czym złożył stosowne oświadczenie dla telewizji. Prezydent Waldemar Bohdanowicz powiedział dla tejże telewizji, że pracowało mu się z radą dobrze. Rozdział się zamknął. Epoka minęła. Koniec.

27 maja 1990 roku otwiera się nowa. Zobaczymy jaką będzie. Nadzieję są znaczne. Jakie będą możliwości?

BOGDA MADEJ

W 1936 r. Józef Bykowski został powołany do wojska. Skierowano go do pułku budowlanego, do batalionu transportowego w miejscowości Czyta. Część żołnierzy pracowała przy budowie kolei, część przy rozwoju żywności. Któregoś dnia Józef zgodnie z rozkazem dostarczył żywność do obozu więziennego. Na bramie wisiała tablica z napisem: „Obcym wstęp wzbroniony”. Józef pokazał przepustkę. Pozwolono mu wejść. Po rozładunku żywności Józef wyszedł z obozu. Dostrzegł przy bramie starszego człowieka w łachmanach, zbierającego o jałmużnę. Rzucił mu kawałek suchego chleba. Rozległ się gwizdek. Wyskoczył wartownik.

— Co mu rzuciłeś? — wrzasnął.
— Chleb.
— Jeśli jeszcze raz to zrobisz, to zostaniesz tutaj!

Batalion Józefa został wysłany do Mongolii. 25 marca 1937 r. przekroczył granicę radziecko-mongolską. Mongolia sprawiła na Józefie przerażające wrażenie. Step i nie wieści. Brak dróg. Tylko coś w rodzaju szerokiej ścieżki wysypanej żwirami. Na żwirze oddzieliły się opon samochodowych. Brak mostów. Wielkie strumyki żołnierze przejeżdżali w bród. Nie było w ogóle śniegu. Gdyby nie wiatr, byłoby bardzo ciepło. Dotarli do strefy przyfrontowej. Tylko 50 km dzieliło ich od Mandżurii, gdzie byli Japończycy. Pułkownik objaśnił, że przyjechali budować kolej żelazną. Marzec i kwiecień to miesiące, które przynoszą z sobą burze piaskowe. Żołnierze często

— Sierżancie Bykowski, mianuję was kierownikiem warsztatu polowego batalionu! Chciałbym, abyście uruchomili kursy samochodowe dla żołnierzy.

— Czy mogę o coś zapytać?

— Proszę.

— Zrozumiałem, że jestem waszym zastępcą do spraw samochodowych. Chciałbym przypomnieć, że jestem Polakiem i do tego bezpartyjnym. Dlatego jestem tylko w randze sierżanta. Czy na takie odpowiedzialne stanowisko to nie za mało?

Dowódca zmieszany się lekko, szybko jednak odparł:

— Czytałem waszą opinię ze służby czynnej oraz opinie z pracy. Szkoliliście kierowców zawodowych. Z opinii wynika, że pomysłów wam nie brakuje. Potrzeba mi takich ludzi. Daję wam 3 dni na uruchomienie warsztatu!

Sytuacja na froncie nie wyglądała wesoło. Pociągi z żołnierzami nie docierały na front. Były bombardowane przez Niemców. Sztab armii zażądał, aby samochody pracowały na dwie zmiany. Żołnierze padali ze zmęczenia. Rannych przybywało coraz więcej.

11.

Front znajdował się wówczas na olbrzymiej przestrzeni między morzem Barentsa a Morzem Czarnym. Długie frontu wahała się w granicach 1000 kilometrów. Leningrad był obleżony. Przybywało rannych. Wszystkie wolne budynki zamieniano na szpitale. Batalion Józefa został przeniesiony do Kazania, a następ-

Trudna droga Józefa Bykowskiego do Polski (2)

Z Mandżurii do ojczyzny

MAGDALENA GROCHOWAŁSKA

przejeżdżali przez pustynię Gobi. Józef wspomina te przejazdy jako ciężką harówkę. Co prawda przez pustynię od wschodu do zachodu przebiegała żwirówka, ale podczas burz piaskowych była zasypywana, a czasem nawet tworzyła się na niej zaspy. Trzeba było ręcznie odgarniać piach. Między punktami kontrolnymi odległość wynosiła 100 km. Na pustyni pełno było węży.

W niedzielę Józef wraz z kolegami lubił chodzić nad rzekę i łowić ryby. Ta przyjemność była zabroniona przez miejscowych mullahów. Jeśli któryś z żołnierzy był akurat nad rzeką sami mullahowie wymierzali mu sprawiedliwość za cały batalion. Pobić żołnierza łowiącego ryby przez mullahów nie odróżniało tych pierwszych od takiego sposobu spędzania wolnego czasu.

Józefa przerażał makabryczny sposób chowania zmarłych. Zamiast cmentarzy w Mongolii były „doliny śmierci”. Zmarłego kładziono na wózek dwukółkowy przywiązany do konia. Młody chłopak, dobrze jeżdżący konno wsiał na konia i pędził go po wertepach. Tam, gdzie wypadł nieboszczyk, tam był jego grób. Chłopak zostawiał trupa, a psy rozszarpały zwłoki.

Któregoś dnia Józef przejeżdżał wraz z batalionem przez „dolinę śmierci”. Jechał pierwszy w kolumnie. Między kolumnami spostrzegł leżącą trzyletnią dziewczynkę. Zatrzymał samochód. Nie mógł zrozumieć, skąd dziecko wzięło się w „dolinie śmierci”. Próbował wciągnąć ją na ręce i dopiero wtedy zorientował się, że jest martwa. Okazało się, że dziewczynkę pochowano zimą. Mróz zakonserwował zwłoki, a psy nie chciały ich rozszarpać.

Józef został kierownikiem warsztatu samochodowego. W kilka dni później został wysłany do szkoły podoficerskiej. W szkole stosowano straszliwą musztę. Wykończony psychicznie i fizycznie Józef napisał podanie o zwolnienie. Zrobiono z tego wielką awanturę. Oficer polityczny wezwał Józefa.

— Co to ma znaczyć? To dezercja! Jesteś wrogiem ludu!

Józefa oddelgowano karnie do ciężkiej pracy fizycznej.

Wrócił dowódca Józefa.

— Co ty tu robisz? Samochody trzeba naprawiać! Dwa dni paki!

Po odsiedzie Józef wrócił do warsztatu. Po pół roku otrzymał stopień sierżanta.

10.

Po odbyciu służby wojskowej Józef odzyskał nadzieję na powrót do Polski. Nadzieję tę przetrwała wojna. Z kraju zaczęły napływać niepokojące wieści: siostra Leontyna wraz z mężem zginęła podczas bombardowania, mąż drugiej siostry — Jani wyruszył walczyć z Niemcami i wszelki ślad po nim zaginął.

Wybuchła wojna niemiecko-radziecka i Józef znów został powołany w szeregi Armii Czerwonej. Młody kapitan wyznaczył Józefa na kierownika transportu. Pułk transportowy dopiero się organizował. Nie był przystosowany do warunków wojennych. Brakowało kierowców, samochodów, narzędzi. Żołnierze zabierali stare, nie zawsze nadające się do użytku samochody z kołchozów. Remontowano je. Radio podawało, że Niemcy zbliżają się do Moskwy. Żołnierze pracowali dzień i noc. Na wyremontowanych samochodach przewożono fabryki z terenów zagrożonych daleko na wschód. Produkcja nie mogła ustać. Zaczęły przybywać pociągi z pierwszymi rannymi. Szpitale były przeładowane. Ze Sztabu Głównego przyszedł rozkaz, który mówił, że każdy pojazd musi być natychmiast naprawiony. Za niewykonanie rozkazu odpowiadał dowódca jednostki.

Józef dostał wezwanie do sztabu batalionu. Dowódca przywitał go grzecznie.

4 ODGŁOSY

To są dzieci bezbronne i nie chciane.

Metodą sznurka i pigułki

MAREK BRUK

W Łodzi mamy kilka ośrodków przeznaczonych dla ludzi niesprawnych, bądź mało sprawnych, wśród nich Dom Opieki Społecznej przy ul. Spadkowej 4/6 i jego filię, — Ośrodek Adaptacyjny przy ul. Rojnej 18b. Obie placówki zarządzane są przez jedną dyrekcję; podlegają Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej UML i w całości są dotowane.

Z pozoru obie placówki funkcjonują na tych samych zasadach, w założeniu różnią się bowiem jedynie tym, że w ośrodku przy ul. Spadkowej pensjonariusze przebywają cały czas, zaś na ul. Rojnej jedynie w ciągu dnia, po czym wracają do swoich domów. W rzeczywistości jednak różnice są... przeobrażające, jakby przeznaczone były dla lepszych i gorszych. „Obraz obu ośrodków jest całkowicie różny — stwierdziła komisja społeczna, która dwukrotnie wizytowała obie placówki w marcu 1990 r.” — 160 dzieci na ul. Spadkowej żyje w warunkach przerażających, bez zachowania podstawowych wymogów higieny, w ciasnocie, bez należytej opieki, natomiast 40 dzieci na ul. Rojnej spędza czas do godz. 17 (często krócej) w luksusowych niemal warunkach, by potem wrócić do swoich domów.

Czyżby więc to, że posiadają rodziny, domy, do których wracają decydowało o warunkach, w jakich przebywają w ciągu dnia? A może decydują o tym koszty ponoszone przez rodziców? Otóż odpłatność wnoszona przez rodziców za pobyt dziecka jest w obu placówkach symboliczna, waha się w granicach 5 — 20 tys. złotych. W odniesieniu do pensjonariuszy z ul. Spadkowej niska odpłatność wydaje się, jeśli nie zaśmieszna to co najmniej żenująca, w szczególności dla sieroty lub dziecka, co do których rodzice pozbawieni zostali praw rodzicielskich. Natomiast całkowicie nieuzasadniona wydaje się w przypadku dzieci z ośrodka przy ul. Rojnej. Posiadają one rodziców, najczęściej zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin, pobierających dodatki pielęgnacyjne, choć bywa też, że jedno z rodziców przebywa na pełnym urlopie z tytułu opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem.

Różnice, w jakich przyszło żyć jednej i drugiej grupie są zatrważające i to pod każdym względem — warunków życia, opieki, szans na ewentualną poprawę. Dzieci z ul. Rojnej już o godz. 17 — zdarza się, że wcześniej! — każdego dnia wracają do własnych domów, w domu na Spadkowej skazane są na pobyt stały w warunkach urągających często ludzkiej egzystencji.

Oto Dom Opieki Społecznej przy ul. Spadkowej. W dwupiętrowym budynku usytuowana jest — poza pomieszczeniami dla chłopców, w tym chłopców leżących! — administracja i kuchnia. Budynek od kilku lat znajduje się w remoncie. Jest w nim „brudno, zaduch, dziurawa podłoga, rozkute ściany — czytamy w raporcie komisji — całkowity brak higieny oraz podstawowych warunków do życia. W budynku tym spędza czas połowa pensjonariuszy ośrodka, z których większość nie wychodzi nigdy lub bardzo rzadko na powietrze. Pomieszczenia dziennego pobytu są małe, bez sprzętów, obskurne; dzieci często spędzają czas na korytarzu siedząc pod ścianą. Jadalnia nieestetyczna, brudna, łazienki nie spełniają podstawowych wymogów sanitarnych — dwa brudne ręczniki wiszące w łazience stanowią jedyny ślad realizacji zaleceń SANEPID-u... Na oddziale dzieci leżących czysto, jednak wiele dzieci PRZYWIĄZANYCH DO ŁOŻEK (podkr. M. Z.), karmionych nieprawidłowo — możliwość zakrzuszenia. Ogólne wrażenie braku jakiegokolwiek organizacji życia pensjonariuszy, nie są widoczne żadne ślady troski lub choćby rozrywkowej działalności dzieci...”

Wnętrza sąsiedniego pawilonu sprawiają nieco lepsze wrażenie — jest tu czystość, widać szeregowe ślady jakiejś organizacji życia pensjonariuszy, a raczej pensjonariuszek, gdyż mieszczą się tu sala dziennego pobytu oraz szpitalnie prze-

znaczone są dla dziewczynki. Za to zarówno w budynku głównym, jak i tu dzieci traktowane są podobnie. Znacząco wyrażnie po PRZYWIĄZANIU ich NA WIELE GODZIN w ubikacji, gdzie są nawet karmione. Dlaczego przywiązane? Bo się... moczą!

Różnice w opiece nad dziećmi niesprawnymi umysłowo brutalnie ujawniają się w samej strukturze i obsadzie personalnej obu placówek. W Domu Opieki Społecznej przy ul. Spadkowej przebywa 160 dzieci, 10 tutejszych wychowawców opiekują się dziećmi w 16—18 osobowych grupach, do których doboru jest przypadkowy. Na ogólną liczbę dzieci — o różnym stopniu upośledzenia — przypada, dla przykładu, jeden rehabilitant zatrudniony na pół etatu. W filii domu przy ul. Rojnej przebywa natomiast 40 dzieci, którymi opiekuje się... 18 wychowawców, zaś do 6—7

ga na ordynowaniu leków, często psychotropowych, nagminnie uspokajających, aplikowanych jedynie w oparciu o obserwacje wychowawców.

Rehabilitant — to człowiek bliżej nieznany reszcie personelu, nie można więc mówić o jakiegokolwiek opiece rehabilitacyjnej, jakiej niezbędnej, a w wielu przypadkach nieodzownej dla dalszego rozwoju dzieci. Właśnie jedno z dzieci (starsze, niemniej z zewnątrz) zostało niedawno zoperowane w Klinice Ortopedycznej, jednak niepodjęcie już na terenie ośrodka dalszej rehabilitacji uniemożliwiło osiągnięcie spodziewanego rezultatu.

I wreszcie psycholog. O niewystarczającej opiece w tym zakresie świadczy brak jakiegokolwiek widocznej współpracy między psychologiem a wychowawcami, co więcej — brak jakiegokolwiek, ogólnego chociażby i bodaj częściowego pro-



Rys. Dariusz Romanowicz

osobowych (a czasem 4-osobowych) grup kieruje się dzieci po odpowiedniej selekcji, pod kątem stopnia upośledzenia. Ta 40-osobowa gromadka opiekuje się 3 rehabilitantów zatrudnionych na pełnym etacie...

W Domu Opieki Społecznej zatrudnionych jest 120 osób, 45 osób to pracownicy administracji, wśród których znajdziemy dwie pracownice działu kadr, dwie tzw. socjalne, czterech pracowników ekonomicznych, ba! nawet dietetyczkę i 7 kucharek. Tyle że cztery posilki, które dzieci otrzymują w ciągu dnia pozostawiają wiele do życzenia, nie ze względów estetycznych, po prostu — niesmaczne, mało urozmaicone, pozbawione jarzyn i owoców.

A propos personelu. Jak na tego rodzaju placówkę przystało, zatrudnieni są tutaj także specjaliści: dwóch lekarzy internistów (na ciwiec i na pół etatu), dwóch psychiatrów (po pół etatu), jeden stomatolog na podobnych warunkach, no i wspomniany już rehabilitant. W praktyce oznacza to, że lekarze internista i psychiatry obecni są na terenie ośrodka raz w tygodniu, natomiast rehabilitant i stomatolog pojawiają się na tyle rzadko, że nie sposób określić częstotliwości ich kontaktów z pacjentami. Jedynym lekarzem zatrudnionym na pełnym etacie jest lekarz zakładowy dla... personelu, nie zajmujący się pensjonariuszami.

Jak więc wygląda opieka medyczna? Oto uwagi komisji społecznej na ten temat: Internista — brak widocznych śladów opieki internistycznej, nie udostępniono kart chorób dzieci, brak ich także na łóżkach osób leżących. Stomatolog — zdecydowany brak opieki. Przykład: jeden z chłopców, przebywający tu od osmiu lat, ma podwójny rząd zębów, co uniemożliwia dziecku prawidłowe przyjmowanie pokarmów. Dopiero starania osoby z zewnątrz spowodowały, że obecnie dziecko jest w trakcie leczenia. Psychiatry — „pomimo specyfiki ośrodka także nieobecni w dniu wizyty”. Z relacji wychowawców wynika, że dzieci nie są konsultowane psychiatrycznie, a praca tych lekarzy pole-

gramu rewalidacji poszczególnych pacjentów, zaś fakt, że badania dziecka, przeprowadzone poza ośrodkiem wykazały rażącą powierzchowność zawartą w orzeczeniu sporządzonym w ośrodku — mówi sam za siebie.

„Wobec tego, że dzieci przybywające do ośrodka często nie posiadają orzeczeń psychologicznych określających ich stan upośledzenia, dalsze zaniechania w tym zakresie powodują, że te spośród nich, które są upośledzone w stopniu umiarkowanym nie podlegają okresowej kontroli, są przetrzymywane w ośrodku bezprawnie. Dopiero w ostatnich trzech latach 6 dzieci zostało przeniesione do Szkoły Życia na ul. Tracką przez osobę z zewnątrz. Dyrekcja ośrodka patrzyła na to niechętnie — czytamy w raporcie — sama nie podejmując w tym kierunku żadnej inicjatywy. Niestety w ośrodku przebywa wiele jeszcze dzieci, którym podobnie niedopatrznie dyrekcyi na stałe zamknięto możliwości ukończenia szkoły...”

Równie smutne refleksje muszą budzić kwestie opiekuńczo-wychowawcze. W tej sferze zadani pracuje tu 28 osób, przy czym zatrudnieni są całkowicie przypadkowo, przy braku jakiegokolwiek kryteriów kwalifikacyjnych. Można by sądzić więc, że obowiązuje tu przynajmniej jakiś system dokształcania, szkolenia, podnoszenia kwalifikacji. Nic z tych rzeczy. Tutaj nikt się z nikim nie spotyka, aby przedyskutować jakiś problem np. wychowawczy, a co dopiero by wymienić poglądy, obserwacje na temat konkretnego przypadku chorobowego. Trudno się nawet temu dziwić skoro nie ma tu żadnego programu rewalidacji dzieci, nie prowadzi się żadnych obserwacji, które by znajdowały trwały wyraz na piśmie. Jedno co się skrupulatnie notuje w raportach to liczba podopiecznych, „stan zdrowia”, incydenty zaistniałe w czasie dyskursu.

Spośród personelu opiekuńczo-wychowawczego tylko jeden wychowawca ukończył szkołę resocjalizacji, a w ogóle niewielu posiada wyższe studia. Główny wysiłek opiekunów

Skandal w cieniu uzdrowiska

ze str. 1

sprowadza się więc do tłumaczenia energii pensjonariuszy pozostawionych samym sobie, bez jakichkolwiek zajęć rehabilitacyjnych czy choćby ruchowych, nawet spacerów. Po prostu: pensjonariusze siedzą beczynnie pod ścianami, sąsiedzi są jak w klatce, a w najlepszym razie oglądają telewizję. To prawda, pojawiają się też w ośrodku osoby z zewnątrz, które umożliwiają niewielkie grupie pensjonariuszy wyjście na powietrze, aczkolwiek nie są to osoby — może nie wszystkie — mile widziane. Prawda jest też, że życie ośrodka dezorganizowane jest trwającymi od sześciu lat remontami. Jednakże najokrutniejszą prawdą kryje los tych dzieci — bezbronnych, samotnych i... niechciany. Do radości i miłości dzieci posłuszne rodziców bądź bliskich, tak jak jeszcze rzadziej bywają odwiedzane. W przeciwnieństwie do tych, które przebywają w placówce przy ul. Rojnej, placówce — przynajmniej to — zorganizowanej i zarządzanej w dużym stopniu dzięki wysiłkowi i staraniom rodziców. (Może więc sład błora się tak drastyczne różnice w funkcjonowaniu obu placówek?)

Teoretycznie pewien procent pensjonariuszy ma szansę na poprawę swojego stanu zdrowia. Przy Domu Opieki Społecznej przy ul. Spadkowej działa Szkoła Życia, działająca na zasadzie dwóch poziomów kształcenia. Uczęszcza do niej 13 osób, a stanowi ona filię Szkoły Podstawowej nr 201, podlegającej Ministerstwu Edukacji.

Szkoła mieści się w dwóch małych salkach baraku, a ich wyposażenie w niczym przypomina charakteru prowadzonych tu zajęć. Zresztą, sami nauczyciele utrzymują, że nie posiadają żadnego i koniecznego zaplecza do prowadzenia zajęć. W Szkole Życia zatrudnionych jest 5 nauczycieli — jeden na pełnym etacie, dwóch na pół etatu, logopeda mający prowadzić zajęcia 5 godz. tygodniowo (nie przebywa na urlopie bez zastępstwa) i nauczyciel reedukacji — 6 godz. zajęć tygodniowo. Choć program szkoły obejmuje także rewalidację, nie ma tu jednak nawet instruktora gimnastyki korekcyjnej. Powtarza się więc — choć w nieco innej skali i formie — sytuacja panująca w sąsiednim ośrodku. Według oceny nauczycieli nie ma tu żadnej współpracy z psychologiem czy wychowawcą z ośrodka. „Rezultatem tego — jak czytamy w raporcie — musi być rzecz jasna fikcyjny program zajęć nie oparty o faktyczny stan rozwoju dziecka, a również nie znajdujący kontynuacji pracy na terenie internatu. Bezsensowność działalności szkoły wg. relacji nauczycieli była często dyskutowana w poszerzonym gronie o dyrektora ośrodka a nawet zapisana w protokole wizytatora...”. Pewnie pikantniej przydałby się fakt, iż ostatnia miała miejsce w listopadzie 1989 r., a przeprowadziła ją osoba zatrudniona w szkole jako logopeda...

W porównaniu z warunkami panującymi na ul. Spadkowej sytuacja w jakiej funkcjonuje filia przy ul. Rojnej jest krańcowo różna. Na Rojnej także działa oddział Szkoły Życia z trzema nauczycielami i jednym nauczycielem. Nadto pracuje tu 3 rehabilitantów i psycholog i 1 logopeda — wszyscy na pełnych etatach wychowawców pobierających 40 proc. dodatków za pracę w trudnych warunkach! Choć zajęcia w samym ośrodku bywały nieporównywalne (może stąd bierze się brak — może — chętnych do pracy w placówce na ul. Spadkowej?). Miedzy godz. 7.00 a 9.00 dzieci schodzą się w następnej godzinie na miejsce śniadania, potem odbywają się dwugodzinne zajęcia, następnie obiad, potem półtoragodzinna cisza, wreszcie o godz. 15.00 ma miejsce odwieczorek i... powrót dzieci do domu. Słowem — efektywna praca wychowawców waha się w granicach 2—2.5 godz. dziennie.

Już bodaj to porównanie wystarczy do komentarza. Choć na koniec jedno pytanie cennie się niedoścignione na usta: kto tu sobie uwił i jakie życie?

O d paru miesięcy o Konstancinie jest jednak głośno w całej Polsce. Uzdrowisko wpisało się w listy wydarzeń, które mają ogólniwa w Głoskowie i Kaweczynie, z tym ostatnim ma nawet bezpośredni związek. W lutym 1990 r. przywieziono tu nosicieli wirusa HIV, którzy koczowali w gmachu Ministerstwa Zdrowia, narażeni na szkodliwych urzędniczych wyrażań dystansujących się od poczyniń podsekretarza stanu, pani Krystyny Sienkiewicz. Mąż jednej z pracownic wystosił nawet list, że jego połowica nie będzie przychodziła do pracy, gdzie jest narażona na śmierć.

Przez Konstancin także przetoczyła się fala strachu, ledwie maskowanego nietolerancją. Ktoś zresztą to leki podsycał, skoro już następnego dnia rozplakowano informację, że wirus HIV przenoszony jest przez owady. Okolica słyne z plantacji malin, a tam gdzie maliny, są zazwyczaj komary.

Naczelnik miasta i gminy pani Helena Zbikowska-Torbus niechętnie wraca do tej sprawy.

Błąd polega na tym, że nie wszyscy wiedzą, co to jest HIV — mówi wymijająco. — Zostałam oskarżona przez mieszkańców, że podjęłam decyzję o umieszczeniu nosicieli wirusa w obiektach przy ulicy Granicznej, a tymczasem osiedlono ich bez rozmów z jednostką podstawową. Ludzi drażniło także, że od pierwszego dnia zaczęły się tu zjeżdżać wycieczki narciarzy z Warszawy. Wobec mieszkańców dzwonił do urzędu z pretensjami, zawiązał się nawet komitet protestacyjny.

Moje pytania zmierzają do tego, aby wyjaśnić, jak doszło do uchwały rady miejskiej, mocą której nosicielem HIV postanowiono ultimatum: mogą przebywać w domu na Granicznej tylko do 27 maja, ale pami naczelnik powtarza tylko: — Była sesja poświęcona tej sprawie. Oburzenie mieszkańców nie wynikało z tego, że tamci są nosicielami. Gdyby to, byli nasi ludzie, nikomu by to nie przeszkadzało.

Wspomniana sesja odbyła się 27 marca, ale pełniejsze informacje o jej przebiegu uzyskuje dopiero od przewodniczącego miejskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” p. Henryka Budrewicza.

Kiedy droga nieoficjalna dotarła do nas wiadomości o pertraktacjach między Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Ministerstwem Zdrowia na temat przekazania obiektu należącego do Biura Ochrony Rządu na ośrodek adaptacyjny dla osób wymagających opieki ze względów społecznych lub medycznych, zwoliliśmy posiedzenie naszego Komitetu. Musieliśmy zająć stanowisko w tej sprawie i w pierwszej chwili raczej były podzielone, ostatecznie jednak zwyciężył pogląd, że nie możemy pójść śladami mieszkańców Kaweczyny. Opowiadaliśmy się wyraźnie po stronie nosicieli. Uznaliśmy, że naszym zadaniem jest przygotować miejscowe społeczeństwo do ich sąsiedztwa przez rzetelną informację medyczną.

Już następnego dnia po przyjeździe nosicieli Komitet Obywatelski opublikował oświadczenie:

„Od dnia 15 lutego br. w naszej społeczności konstancin-skiej znalazły schronienie 4 osoby — nosiciele wirusa HIV — wokół których powstały znaczne emocje. Po wysłuchaniu opinii najwyższych władz medycznych kraju oraz osób troszczących się o zachowanie wartości moralnych i biologicznych naszego środowiska i po wszechstronnej analizie sytuacji Zarząd Konstancin-skiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” oraz przedstawiciele pięciu Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność” uznali, że dla społeczności naszego miasta nie istnieje zagrożenie spowodowane przebywaniem w aktualnych warunkach grupy nosicieli HIV”.

Oczekujemy, że Ministerstwo Zdrowia zagwarantuje w dalszym ciągu uzgodnione warunki bezpiecznego przebywania na naszym terenie zarówno dla społeczności jak i w/w osób. Uznajemy za rzecz pilną i niezbędną przeprowadzenie przez ludzi kompetentnych akcji uświada-

miająco-informacyjnej. Zwracamy się do wszystkich mieszkańców Konstancin z gorącym apelem o rozsądny i ludzki stosunek do powstałego problemu”.

Przeciwnicy tego punktu widzenia nie ogłosili żadnego komunikatu ani apelu. Za to niewidzialne ręce rozplakowały wypisane szablonowymi literami oświadczenie, rzekomo pochodzące od nosicieli wirusa. Jego treść jednoznacznie można określić jako „fałszywkę”, mimo to przytoczę je w całości, bo jest świadectwem wyjątkowego cynizmu organizatorów tej prowokacji:

„Jesteśmy chorzy na AIDS i szukamy dla siebie schronienia, ale wy nie akceptujecie nas”.

Na każdym kroku czujemy waszą nienawiść, a los choroby wciąż was nie obchodzi.

Traktujecie nas jak śmieci i skazywanie na ciągłą poniewierkę. Jesteśmy zrozpaczeni i desperowani waszą postawą, ale nie bójcie się bezpieczeństwa, bo pomożemy naszą krzywdę.

Swoją chorobą chętnie podzielimy się z wami, a ślady naszej krwi znajdziecie na kłódkach i poręczach w waszych domach i urządzeniach”.

Pomijając inne względy, fałszerstwo widoczne jest choćby w tym, że żaden z nosicieli wirusa HIV nie uświadamia się z chorem na AIDS. O tym nie mówią, przygotowując „ostrzeżenie”, mające podminować opinie mieszkańców Konstancin i skierować ich „śluszną” gniew przeciw zagrożeniu, nie wiedząc albo nie pamiętając, że to zresztą było dla niego najważniejsze, chodziło raczej o ugodzenie rykoszetem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, który stanął w obronie wyklętych. W ten sposób wirus HIV znalazł zastosowanie w walce politycznej.

Prezydium Rady Narodowej w Konstancinie miało przed sobą trudne zadanie, ostatecznie jednak nie zajęło żadnego stanowiska, postanawiając tylko zwołać sesję plenarną rady, która miała podjąć decyzję w sprawie nosicieli HIV. Miała ona przebieg dość nieoczekiwany. Pomimo wypracowanego wcześniej konsensusu, do czego przyczyniła się opinia prof. Rudzkiego, naczelnego lekarza uzdrowiska, nastroje na sali zmieniły się gwałtownie, kiedy przewodniczący zebrania przeszedł w ręce p. Milewskiego, (dr Stanisław Kozubski, przewodniczący rady, z jakichś powodów wcześniej opuścił sesję) i teraz wypowiadali się głównie przeciwnicy ugody. Tylko czterej radni mieli odwagę poprzeć Komitet Obywatelski, w którym nastąpił rozłam. Oto jego dotychczasowy doradca, Józef Hertel, wystąpił z gwałtowną filippiką przeciw swoim mocodawcom, przytaczając się do komitetu protestacyjnego zmniejszając ze Skolimowa, p. Kłoszewskiego. I to chyba zadecydowało: rada podjęła uchwałę przedłużającą wprawdzie pobyt nosicieli wirusa HIV do 27 maja 1990 r., ale skazyując ich po tym terminie na dalszą poniewierkę.

Postawę rady narodowej ocenił jednym słowem: hańba, grupa mieszkańców Osiedla Grapa w Konstancinie. Na przystankach autobusowych pojawiło się oświadczenie:

„Wczoraj Rada Narodowa podjęła uchwałę o wyrzuceniu z dn. 27.05. nosicieli HIV z Konstancin, wystawiając nasze miasto na pośmiewisko całego kraju”.

Cały cywilizowany świat akceptuje obecność nosicieli HIV — niesie pomoc chorym na AIDS. Większość mieszkańców naszego miasta myśli podobnie.

Niestety, grupa niedowartościwych ciemniaków swoją beznadziejną decyzją przyniosła nam wszystkim wstyd.

Zapamiętajmy nazwiska agitatorów i tych niedobitków czerwonej władzy, co głosowali za. To ich trzeba izolować w naszym środowisku. Bo głupota jest groźniejsza od AIDS”.

Spróbujmy wczuć się teraz w nastroje grupki nieszczyśliwców, ulokowanych w domu należącego do BOR, którzy z niepokojem czekali na decyzję lokalnej władzy. Mieli za sobą tragiczne przejścia w Kaweczynie, gdzie 31 stycznia 1990 r. nienawistny tłum obiegł dom przy ul. Chelmyńskiej, chcąc go podpalić, widzieli rozjuszo-

nych ludzi uzbrojonych w drąg. Mieli za sobą także osiem nie przespanych nocy, gdyż przed tym zmasowanym atakiem rozbestwionej tłuszczy, spotykały ich groźby i akty nie maskowanej nienawiści — to nakazywało nieustanne czuwanie.

Później wzięli ich pod opiekę panowie wiceminister Krystyna Sienkiewicz, ryzykując swoimi stanowiskiem. Oświadczyła nawet, gdy znaleźli się w Konstancinie po długim koczowaniu w pomieszczeniach wysokiego urzędu:

— Jak mnie wyrzucą z ministerstwa, to przyjdę mieszkać z wami.

U lica Graniczna, leśna, nie utwardzona alejka, rozdziela dwie parafie: konstancin-ską i skolimowską. Na jednym z parkanów po parzystej stronie wisi teraz tabliczka z napisem: Ministerstwo Zdrowia. Furtkę otwiera mi o. Arkadiusz Nowak, kierownik ośrodka adaptacyjnego. Reprezentuje mało znany w Polsce zakon Kamilianów, w dwóch klasztorach na terenie kraju służyło osiemdziesięciu paru braci. Ich służba Bogu polega na poświęceniu się, nawet z narażeniem życia, ludziom chorym.

Z małego ganku wchodzi się wprost do niewielkiego saloniku: skromne sprzęty, zbierana jakichś przypadkowych mebli, wszystko, łącznie z telewizorem, darowane przez ludzi życzliwych. Zapraszają mnie do stołu, przy którym pito właśnie herbatę, dlatego niemal natychmiast otrzymuję kawę, o którą poprosiłem. Rozmowa jednak początkowo się nie kłó. Cóż mam powiedzieć ludziom przyniesionym tak ciężkim brzemieniem?

Mały, czarny kundlek o pieszczotliwym imieniu Romuś jest naturalnym pretekstem do przerwania milczenia.

— To nie kundlek, to pies wielorasowy — informuje pan Janusz, przedstawiając się jednocześnie. — Dala go nam pewna paniąka z Kaweczyny.

Pan Janusz pochodzi z Katowic, zaraził się od żony, wirusa HIV wykryto w jego krwi w 1986 r. Wynik seroposytywny. I wtedy opuścił dom, byle dalej od żony, ale ból mu pozostał, bo ma złamane życie. Jest z zawodu mechanikiem samochodowym, ale musiał iść się różnych zajęć. W Warszawie na przykład pracował jako brukarz w prywatnych firmach i nieźle wyciągał, wynajęcie mieszkania kosztowało sto tysięcy złotych. W sierpniu 1989 r. trafił do szpitala na ul. Wojskiej, zapalenie górnych dróg oddechowych. Zaopteowała się nim pani docent Babuchowa.

Przedstawia teraz swoich kolegów:

— To Piotr, lat 33, pracował w branży budowlanej, pochodzi z północy, a to jest Andrzej, lat 27, zresztą naprawdę nazwiska się inaczej, pracował u prywatnie, pochodzi z południa, Wojtek...

Urywa i dopiero po chwili wyjaśnia, że ich najstarszy kolega przebywa obecnie w szpitalu. A to zachowywanie anonimowości jest niezbędne, żeby nie narażać na przykrość bliskich, którzy żyją gdzieś w Polsce. Choć rodziny się ich wyrzekły, nie odpłacają im niechęcią.

Pan Janusz bierze na siebie cały ciężar prowadzenia rozmowy, inni tylko potakują albo wtracają pojedyncze zdania.

W Kaweczynie uruchomili hydrofor, malowali pokoje, założyli światła. Było strasznie, ze względu na atmosferę, ale mieli zajęcia. Tutaj, gdzie znaleźli wreszcie schronienie po straszliwych przejściach, brak im tego. Przychodzą ludzie dobrej woli, przynoszą kawę, słodycze, pieniądze, ktoś anonimowo ofiarował nawet 200 tysięcy, lecz oni od jałmużny woleliby pracę. Postanowili, że uruchomią produkcję worków foliowych, zakupili już materiały, mają zgrzewarkę, ale nie ma jej gdzie ustawić.

— A garaż? — pytam, przypominając sobie, że o tym zamkniętym na kłódkę pomieszczeniu ludzie opowiadają sobie w Konstancinie jakiejś dziwnej rzeczy, jakby przechowywano tam jakieś skarby.

— Garaż nie został nam przekazany — słyszę w odpowiedzi.

Regulamin ośrodka, podpisany przez podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia panią Krystynę Sienkiewicz, ustanowił kilka zasad, dzięki którym mieszkańcy tego domu mogą tworzyć rodzaj wspólnoty. Zobowiązani są do partnerstwa i szczerości, wykonywania określonych obowiązków przewidzianych w harmonogramie oraz do wspólnego spożywania posiłków, przez nich zresztą przyrządzanych. Obowiązuje tu także abstynencja alkoholowa i narkotyczna, a także zakaz używania leków psychotropowych i palenia w sygnaliach.

Ten regulamin się sprawdza, nikogo nie musieli wykluczyć ze swej społeczności. Przestrzegają pewnych zasad nie tylko wobec siebie, ale także wobec ludzi im wrogich, bo przecież ta niechęć nie może trwać wiecznie.

— Cztery lata cierpię z zębem i nie poszedłem do dentysty — uśmiecha się pan Janusz — bo boję się kogoś zakazić. Mam sumienie. Piotr sam wyrwał sobie ząb obcaszkami.

Początkowo zakupy w Konstancinie robili zakonnicy. Później na ich habitach naszyte są czerwone krzyże, wywołało to zdumienie mieszkańców okolicznych domów.

— To biskupi komunści w pokucie — wyjaśnił komus pan Janusz, kiedy ośmielił się wreszcie samodzielnie pójść do sklepu. Nie spotkał się z wrogością, chociaż tzw. Komitet Wypędzenia zebrał 810 podpisów pod swoją petycją. Co prawda i tu — próbowano ich wykurzyć: pewnej nocy mściwa dłoń wylała benzynę pod ogrodzeniem Ośrodka i podpaliła. Ogień ugazono, sprawcę ujęła milicja. Miejscowy komendant sprzyja Komitetowi Obywatelskiemu.

— Polacy są bardzo szlachetni i zdolni do miłości bliźniego, ale to się ujawnia dopiero w sytuacjach ekstremalnych. Mam tego dowody, choćby w Konstancinie, gdzie widać przejawy szlachetności i ideałów chrześcijańskich w praktyce — podsumowuje o. Arkadiusz.

J akby potwierdzeniem jego słów jest wizyta p. Marii Dziedzic z Komitetu Helsińskiego i dziennikarki z BBC.

— Ja się nie dam, przyrzekłem sobie, że przeżyję jeszcze ze czterdzieści lat — tłumaczy mi pan Janusz, kiedy zbieram się do odejścia po spędzeniu paru godzin wśród nosicieli HIV.

Tego dnia Komitet Obywatelski „Solidarność” zwołał w sali parafialnej zebranie mieszkańców, na którym ma zaprezentować kandydatów do samorządu lokalnego. W poszukiwaniu tej sali zanosilo mnie pod plebanie, gdzie właśnie przechrzątał się ksiądz kanonik Bogdan Jaworek, konstancin-ski duszpasterz. Cieszy się ogromnym autorytetem, ze względu na swą osiemnastoletnią kapłańską służbę i dlatego, że tu się urodził, zna wielu parafian od dziecka. Przechadzamy się chodnikiem prowadzącym z plebanii do kościoła, tam i z powrotem, w ciepłym

wiosennym słońcu. Przepraszam, że oderwałem księdza od lektury, czytał sobie właśnie na powietrzu gazetę.

— To parowski „Słowo Powszechne” — uśmiecha się ksiądz Jaworek. — Tak się przemawiali w krótkim czasie, że mogą uchodzić za świętych.

Gwarząc sobie, wymieniamy uwagi na temat ostatnich wydarzeń politycznych, stopniowo przechodzimy do sprawy Komitetu Wypędzenia. Wiem, co ksiądz powie, bo od początku zaangażował się w obronę nosicieli HIV, ciekaw jestem tylko jego argumentacji.

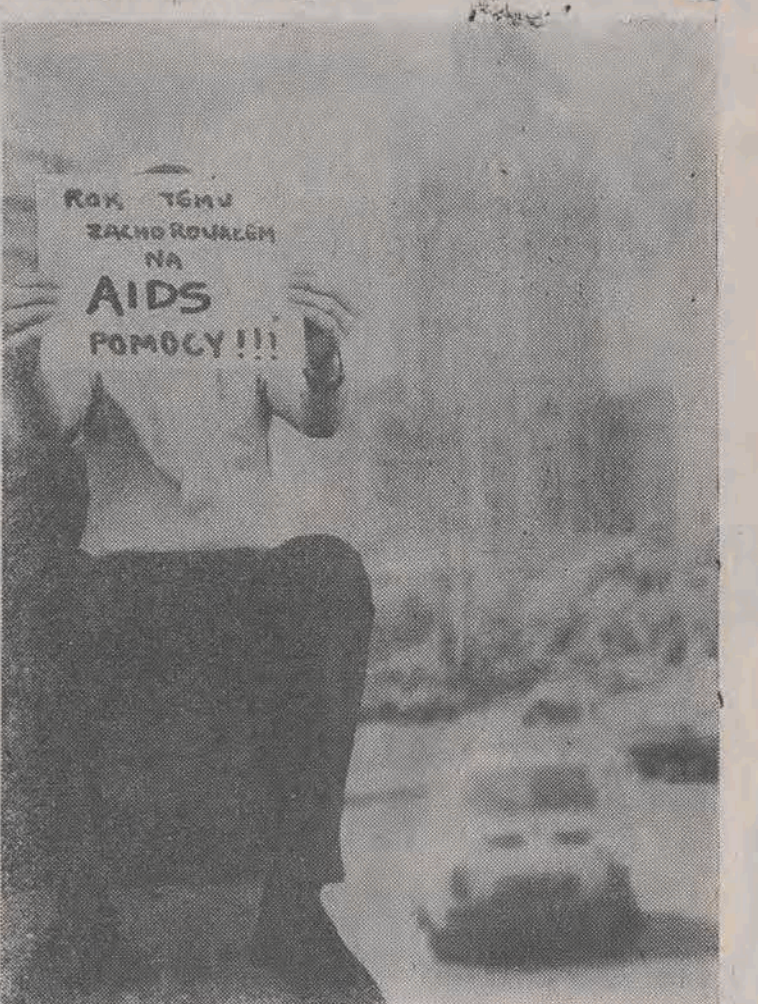
— Pod tą petycją nikt poważny się nie podpisał, choć zwerbowano wielu. Ale norma statystyczna nie może być normą moralną. Gdybym chciał, to mógłbym zebrać pod kościołem ze trzy tysiące podpisów w sprawie wypędzenia na przykład wszystkich pijaków, ale czy to byłoby słuszne? Niekiedy chcę użyć HIV jako argumentu w rozgrywce wyborczej. Wie pan, że mamy już drugi komitet obywatelski?

W tym drugim rzecznikiem prasowym został... Józef Hertel, który redaguje pismo pod nazwą „Więść Gminna”. Na posiedzeniu inauguracyjnym zabierał głos także p. Kłoszewski, ale problem HIV wypłynął nie na tym spotkaniu, tylko w wydanym oświadczeniu.

„Skolimowski Komitet Obywatelski nie jest agendą Konstancin-skiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Nie popieraemy w naszym mieście pobytu nosicieli wirusa HIV, jak również stałej placówki dla chorych tego typu z zewnątrz. Nie jesteśmy także za ich szkodliwym, co zarucają nam nasi przeciwnicy z Konstancin-skiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Nie odpowiadając nam jego poczynania w obronie pozostawienia w naszym mieście nosicieli wirusa HIV, co spowodowało przykre podziały w naszej społeczności skolimowsko-konstancin-skiej, a niekiedy i w rodzinach”.

Na zebraniu Komitetu Konstancin-skiego w sali parafialnej stawilo się ze sto osób. Sprawy nosicieli HIV poświęcono jedno dosłowne zdanie. Mówiono raczej o zaopiekowaniu uzdrowiska, o rozdysponowaniu działek budowlanych przez dawnych prominentów, dochodząc do konkluzji, że gmina jest najbardziej skomplikowanym rodzajem przedsiębiorstwa. 27 maja 1990 r. upływa ultimatum wobec nosicieli HIV. Jest to dzień wyborów do samorządu. Wydaje się jednak, że ultimatum to straciło swoje znaczenie. Przeciwnicy uchwały RM w Konstancinie wypowiedzieli się prof. Maria Łętowska, a biuro Senatu z inicjatywą senatora Romaszewskiego wystąpiło o uchylenie bezprawnej decyzji rady niższego szczebla.

KONRAD FREJDLICH



Collage: Grzegorz Galasiński.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:



Nowi

Są nowa, jak siebie określają, partią bez przeszłości i przyszłości. Ich program zawarty w manifestie to „z ludem w gminie w nowe jutro z lepszym papierem toaletowym: żądamy stolicy Europy w Łodzi”. Z takimi hasłami przemarszerowała od Estrady Łódzkiej, ulicą Potkowską do alei Schillera, „grupa niezidentyfikowana”, gdzie zorganizowała wspólną zabawę z ludźmi.



ze str. 1

wznawia swoją działalność po dziesięciu latach, w zasadniczo zmienionej sytuacji politycznej. To tak, jakbyśmy spotykali się po raz pierwszy i zaczęli wszystko od nowa.

ANDRZEJ SŁOWIK: — przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej.

— Przedstawił pan koncepcję „czystego związku”. Od razu pojawiły się głosy, że przyjęcie tej formuły w obecnej sytuacji musiałoby doprowadzić do natychmiastowego strajku generalnego.

— To powszechnie stawiany zarzut — nie stać nas w tej chwili na związek rewindykacyjny. Ale jeżeli nie rewindykacyjny, to jaki? Nie może być współzależny, bo nie ma takich kompetencji i wchodziłby w kolizję ze strukturami, które mają kompetencje do zarządzania, ale nie do dzielenia się władzą z

plecią, a papier mianuje — jemu się ludzi nie wybiera.

— Czy kandydatura Andrzeja Słowika na przewodniczącego miała być alternatywą dla programu (czy też braku programu) Lecha Wałęsy — czy był to zabieg taktyczny, żeby pokazać przewagę „woda”?

— Andrzej Słowik jest przykładem na to, że związek zmierza w dobrym kierunku. W końcu będziemy musieli powiedzieć, gdzie my bronimy ludzi i czy w ogóle ich bronimy. Za dużo mówimy o tym, kto ma być prezydentem, za mało o zwykłym człowieku i o tym, co związek może mu zaoferować. Jak wiadomo Lech Wałęsa nie ma żadnych programów, co jest jego zaletą i wadą. Andrzej Słowik wystąpił z konkretną propozycją i została ona zauważona. Szkoda tylko, że dyskusja jest przyczyszona.

— Czy nie lepszy byłby nowy przewodniczący? Mówią, że nowa miotła lepiej zamiatła.

— To prawda. Ale ta miotła musi być z solidnego materiału. Przewodniczący jest

ile będziemy popierali rząd. To ludzie wyrwani z tej sali. Jacek Kuroń to wspaniały trybun, ale nigdy nie był ministrem. Pomyślmy, jak ta reforma powinna wyglądać i wreszcie zrobmy ją wszyscy.

ZBIGNIEW BUJAK: — Region Mazowsze NSZZ „Solidarność”.

— Czego można po tym Zjeździe oczekiwać?

— Tego, że zbudujemy wreszcie związek, jakiego nam trzeba. Jeszcze jest słaby i niesprawny organizacyjnie, ale jest. Obserwowałem inne zjazdy — choćby OPZZ i twierdzą, że oni sprawniejsi od nas nie będą, chociaż w niektórych sprawach są lepsi.

— Słabość Zjazdu?

— Nie bardzo jesteśmy przygotowani, żeby fachowo odpowiedzieć na pytania, które przed nami stają. Nie możemy wypracować najważniejszych stanowisk.

— Czy to znaczy, że nie będzie programu, który zadowolonych członków związku?

— To jest oczywiście. Wszyscy chcieliby wiedzieć, kiedy

spadek też jest patologią. Wiem, że często jest tak, że człowiek jest autentycznie chory, ale boi się wziąć zwolnienie lekarskie, żeby przypadkiem nie stracił pracy. Tu jest zadanie dla związku. W takich sytuacjach powinniśmy umieć zareagować, a to nie jest łatwe. Dużo jeszcze musimy się nauczyć.

— Słychać głosy — także tu — na Zjeździe, że dyrektorzy zwalniają członków „Solidarności”. Czy można zaobserwować takie zjawisko?

— Oczywiście, że tak. Tej „Solidarności” jest wszędzie tak dużo, że nie da się uniknąć sytuacji, żeby nie byli zwalniani. Czy my święci jesteśmy, żeby nas nie można było zwalniać? Bez przesady! Może właśnie kiedy trzeba zwalniać, to my jako ci bohaterowie minionego czasu powinniśmy się pierwsi poświęcić. Nie wierzę w świętą ze strony dyrekcji, chociaż w indywidualnych przypadkach może być to prawda. Zawsze powtarzam — skoro byliście słabi, to dobrze wam tak. Ja nie noszę ludzi słabych — w Polsce nie ma dla takich miejsca. Nie stać nas na słabość i jeżeli jakaś mama, to teraz powinniśmy ją w sobie zdusić. W Ameryce człowiek wstydzi się przyznać do niepowodzenia — tam słabość jest wstydlawa. U nas są ludzie, którzy ze swojej słabości i beznadziejności próbują stworzyć swoją siłę. To jest denerwujące i tego nie znoś.

— Czy Andrzej Słowik jest alternatywą dla Lecha Wałęsy?

— Nie można tego tak ujmować.

— Czy kandydatura Andrzeja Słowika na przewodniczącego nie miała pokazać ogromnej przewagi Lecha Wałęsy — personalnej, czy może programowej?

— Nie. Andrzej Słowik jest człowiekiem ambitnym, zawsze chciał być ważny w tym związku i myślę, że nieźle mu to idzie. Jeżeli kandyduje i rywalizuje z Lechem, to na pewno ten fakt zostanie zauważony. Jest taka stara zasada — że, czy dobrze — byle po nazwisku. Im jest się częściej widzianym, słyszany, tym większe ma się szanse powodzenia na przyszłość. Poza tym jest sprawny, operatywny, ma własny punkt widzenia, co tu pokazał. To może zwołować.

— Z sali padł zarzut, że kampania wyborcza do Komisji Krajowej odbywała się „pod stołem” i skład komisji był już wcześniej ustalony.

— To nie jest prawda. Jest drobny błąd w ordynacji — to wszystko. Ale on bierze się z chęci zapewnienia miejsca w Komisji Krajowej przedstawicielom każdego regionu. Ważne jest, aby w momencie odradzania się związku przedstawiciele małych regionów mieli kontakt z władzami krajowymi. To spowodowało, że w związku z tym, że poszczególne regiony mają tylko jednego delegata, to tylko ten jeden mógł zostać kandydatem — nawet nie było z kogo wybierać. To jest błąd, którego nie dało się uniknąć. Myślę, że w przyszłości ordynacja zostanie zmieniona.

Była inna rzecz. Poszczególne grupy w regionach, a także międzyregionalne miały swoje listy preferencyjne. To jest normalny mechanizm demokracji — tworzy się pewna opcja wokół zdania albo osoby. Z tym chodził się i szuka kogoś, kto chce się przyłączyć. Na Pierwszym Zjeździe tego było mało, ale to nie świadczyło o tym, że ludzie byli porządni, a teraz tacy nie są, że teraz manipulują. Kiedyś byli nienauczeni pewnych procedur demokratycznej rywalizacji i walki. Teraz już to stosują. To dobrze — to świadczy, że zmierzamy dobrą drogą.

— Czy to oznacza, że powinno się manipulować?

— Rzecz polega na tym, żeby każdy miał równe prawo do manipulowania. Wygrałbyś — ten kto przeko-ua o słuszności swojego twierdzenia — ten kto będzie lepiej manipulował. Wszyscy uczymy się demokracji, a manipulacja jest jednym z jej elementów.

Rozmawiał:
**MAREK
JUŚKIEWICZ**

(Wypowiedzi nie były autoryzowane).

Mniej o prezydencie, więcej o ludziach

kimkolwiek. Jednak nie można rewindykacyjnego charakteru związku odnosić do przeszłości, kiedy taka formuła związku się kształtowała. Nie ma to być związek anachroniczny, ale dostosowany do obecnej sytuacji. Skoro nie można walczyć o zwiększenie w sposób znaczący wynagrodzeń, trzeba ubiegać się o to, żeby jak najmniej wydawać z kieszeni — choćby na rozrzutnie gospodarujące instytucje, które z założenia miały być usługowe względem społeczeństwa.

Nie możemy zakładać z góry, że stworzymy strukturę, która będzie ten rząd niszczyła, bo takie jest zadanie związku. Można przecieć się uzupełniać. Rząd ma obowiązki realizacji programu, na który wszyscy czekamy. Ale związek nie może patrzeć biernie na to, że z tego programu wynikają także negatywne skutki dla ludzi, których powinniśmy chronić. Rewindykacja w tej formie ma polegać nie na tym, żeby od razu strajkować i oczekiwać od rządu. Możemy tworzyć własne instytucje uzupełniające cały system zabezpieczeń społecznych tak, żeby obok państwowych istniały również związkowe.

— Jan Rulewski zarzucił „Solidarność”, że zapchane zostały kanały demokracji, przez centralizm i „dyktatorskie” dążenia Lecha Wałęsy.

— To nie do końca prawda. Te kanały istnieją i przed Zjazdem zostały udrożnione. Obawiam się tylko, żeby po Zjeździe nie nastąpił od tego odwrót. To jest poważne zagrożenie dla związku. Wałęsa powinien bardziej odpowiedzialnie patrzeć na skutki swojego postępowania dzisiaj i wpływ tego na przyszłość. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że ma ambicje odejść do Belwederu. Związek może wtedy zostać jak cytryna wyciśnięta przez rząd, który popierał, my, przez Lecha Wałęsę, który wykorzystwał związek do walki o prezydencki urząd, tymczasem członkowie naszej organizacji nie odniosą żadnych korzyści z istnienia ich związku, a taka sytuacja jest niedopuszczalna.

JAN RULEWSKI: — przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Bydgoszczy.

— Dużo na tym Zjeździe mówi się o formule „Solidarność” — partia czy związek?

— Może to być związek, który odegra wielką rolę polityczną, a może się nazywać partią i nie zrobić nic politycznego. Nie bawmy się w formułowanie definicji.

— Kto będzie zastępcą Lecha Wałęsy?

— Trzeba zapytać Wałęsę. Przecież głosowaliście na pa-

atakowany z wielu stron. Musi się bronić, wykonywać różne posunięcia. Dochodzi do tego, że zaczyna wokół siebie tworzyć układy — nie walczy sam, ale wysyła w bój kogoś, kto ma być prezydentem, za mało o zwykłym człowieku i o tym, co związek może mu zaoferować. Jak wiadomo Lech Wałęsa nie ma żadnych programów, co jest jego zaletą i wadą. Andrzej Słowik wystąpił z konkretną propozycją i została ona zauważona. Szkoda tylko, że dyskusja jest przyczyszona.

— Czy możemy uzyskać akceptację dla negatywnych zjawisk, towarzyszących reformie — choćby dla bezrobocia?

— Skoro ma być rynek, to musi być też rynek pracy. Bezrobocie jest wszędzie i zawsze będzie istniało. Problem, aby zabezpieczyć ludzi w warunkach przejściowego bezrobocia. Stąd propozycja karty bezrobotnego.

— Na czym ma ona polegać?

— Po pierwsze na waloryzacji zasiłku. Po drugie bezrobotny powinien otrzymać ulgi — na lekarstwa, na komunikację, dostęp do środków socjalnych. Trzeba założyć pewną granicę — bezrobotny nie może być trwale pozbawiony pracy.

— Ulgi, o których mowa, w rzeczywistości zwiększają wartość zasiłku. Czy nie lepiej wypłacić to ludziom?

— Tak nie można. Zostaloby to przeznaczona na konsumpcję, a nie o to chodzi. Chcemy chronić pewne sfery życia bezrobotnego.

— Czy zatem bezrobotny przeżyje?

— Chodzi o to, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Powiedziemy szczerze — to też jest partycypacja w reformach. Jeżeli stworzymy spokój w kraju, to Balcerowicz będzie mógł mocniej wymachiwać pałą, a jeżeli będzie bałagan, to będzie się bał i nie będzie reformował. Dlatego musimy określić granicę bezpieczeństwa, a powyżej niech Balcerowicz wymachiuje.

— Ale są sfery, gdzie takie wymachiwanie trafia w głowę każdego — choćby sprawa mieszkani.

— Jestem realista. Nie będzie pieniędzy, bo jak gospodarować stół, to ślad je wziąć? Ale gdzieś mieszkać musimy. Zredukujmy więc nasze potrzeby mieszkaniowe. Zaproponowałem budownictwo socjalne. Kto chce M-5, niech czeka i płaci, ale pozostałym należy dać pokój z wnąk kuchenną i mikrolazienką. Mogą tam być nawet tanie meble. To ma być poczekalnia. Wielu ludzi to zadowolili. Wiem, że nie wszystkich, ale przynajmniej ci nie będą krzyżeli na ulicy „Rulewski, ty zdrajco”.

„Solidarność” stwarza szansę przez to, że gromadzą się tu ludzie z wszystkich branż i środowisk społecznych. Powinnismy umówić się, na ile będziemy zaciskali pasa, a na

będzie dobrze. Ale to nie takie proste. Ale związek szuka swojego miejsca i to jest dobry objaw. Nie chcemy i nie możemy zajmować się wszystkim.

— Czy może dojść do wybuchu społecznego?

— To są iluzje. Jest ogromny poziom akceptacji społecznej dla programu reform. Leszek Balcerowicz prowadzi sprawę pewną i twardą ręką i chociaż nie do końca rozumiemy to, co mówi, to mam do niego zaufanie. Tutaj nie potrafiliśmy podjąć merytorycznej dyskusji — każdy mówił o swoich odciskach, a wtedy rzeczowa rozmowa jest niemożliwa.

— Gdyby doszło do niezadowolenia społecznego — jakie stanowisko powinien zająć związek?

— Trudno o tym rozmawiać, bo są to sytuacje emocjonalne. Nie chcę stawać na czele tłumy, który idzie linzować. Są granice, kiedy można stanąć na czele, a kiedy nie. Wszystko zależy od formy, jaką to przybiera. Bałbym się deklaracji, gdzie w takiej sytuacji będę.

— Kiedy będzie program socjalny związku?

— Niepředko. Polityka socjalna tworzona jest na wielu poziomach — w Sejmie, Senacie, związkach, stowarzyszeniach. To wszystko dopiero rośnie i rozwija się, a rozwój musi trwać.

— Czy program gospodarczy związku powinien być konkurencyjny dla programu rządowego?

— Nie ma alternatywy dla programu rządu. Wszystkie koncepcje, o których mówi się, że są programami alternatywnymi, w rzeczywistości nigdy nie sprawdziły się na wielką skalę. Sprawdziła się tylko koncepcja gospodarki rynkowej. To najprostsza droga — właśnie ta, którą proponuje Leszek Balcerowicz. Nie kombinujmy, tylko skorzystajmy z tej propozycji. A że ten program nie jest idealny? Żaden nie będzie. To też jest szansa dla nas — włączmy się i poprawmy w nim to, co jest złe.

— Wszyscy boimy się bezrobocia — przytaczano są liczby, katastroficzne prognozy...

— Pokazuje się bezrobocie jako ogromna krzywda. Tymczasem wcale tak być nie musi. Od czasu, kiedy zaczęło się bezrobocie, inaczej traktujemy pracę — wyraźnie zwiększyła się dyscyplina. Powinnismy odczarować wielkie słowa o zagrożeniu. Bezrobocie wprawdzie dotyka jednego pracownika, ale pracę pozostałych czyni sensowniejszą. Jeżeli obok nas pracuje człowiek, który pracować nie chce, to jest to zniechęcające dla innych — tych, którzy pracować chcą.

Patologiczna była sytuacja, kiedy mogliśmy lekceważyć pracę. Przykładem może być liczba zwolnień lekarskich, która od chwili pojawienia się zjawiska bezrobocia z niemal stu procent spadła do zaledwie kilku. Ale taki nagły

Uwieńczenie moich reporterskich poszukiwań — seria spotkań z doktor K., która prosi o zachowanie jej anonimowości:

— Nie chciałabym zburzyć mego prywatnego świata. Chcę pozostać w cieniu, zachować anonimowość. Bioenergoterapię zajmuję się absolutnie prywatnie i całkiem altruistycznie, pomoc więc, jaką świadczę ludziom, ma zasięg dość ograniczony. Nie chcę tego zmieniać, bo musiałoby to się odbyć kosztem życia rodzinnego, zahamowałoby też mój rozwój duchowy, ustawienie doświadczenia, zdobywanie wiedzy i doświadczenia.

Nie dodaje pani doktor, że podjęcie publicznej działalności mogłoby ograniczyć jej bogate doznania i przeżycia o charakterze...

które ukończywszy, zabrał ją do Polski.

Do niezwykłych zjawisk, określanych dziś mianem psychotronicznych — przywykła od dziecka. Dzieciństwo upłynęło jej bowiem w kręgu różnokrzyżowców, szczególnie zaciekawionych w jej kraju, skupiających więc najwierniejszych z wiernych. Kawałowie Bractwa Różnokrzyżowców potajemnie zbierali się na żarliwe modły, podczas których natrząsała się ona — jak dziś opowiada — przeróżnych cudowności, włącznie z lewitacją. Widziała też nieraz niezwykłą jasność, a później — słuchała przepięknej muzyki, niebiańskiego najwyraźniej pochodzenia. Swoją drogą, pogłosy tych cudownych dźwięków odnajduje teraz w muzyce, jaką tworzy Jean Michel Jarre. Od dzieciństwa również, gdy kogoś głowa czy brzuch bolały, uśmierzala ból dotykaniem. Po raz...

nia czy leczenia. Z twarzy, sylwetki, ruchów — nikt by się nie domyślił, że ma ona czworo wnucząt.

Doktor zajęta właśnie pacjentką, uskarżającą się na nerki.

— Nie, to nie nerki, lecz rwa kulszowa — pada diagnoza. Doktor nakłada dłoń na grzbiet chorej. Odrzuca je co jakiś czas, żeby wprawnymi, energicznymi ruchami rozmasować mięśnie. — Skurcz jest tak potężny, że nie mogę się przebić z energią przez blokadę.

Długo to trwa. Pacjentka opowiada o swoich odczuciach: najpierw gorąco, jakby ktoś żalazko przycisnął, potem przenikliwy chłód, który aż gęsia skórę na rękach wywołuje, chociaż w pokoju bardzo ciepło.

Pot na czole pani doktor, bo i blokady bardzo silne, nie u-

by stosowania większych dawek bioenergii.

Nie ulega zatem kwestii, taki wniosek może wyciągnąć z nauk pani doktor, że warunkiem skutecznej terapii jest — jak w medycynie tradycyjnej — właściwa diagnoza.

Światło to fala. Biopole więc świeci, czego dowiodły fotografie kirlianowskie i inne eksperymenty. Tylko ograniczony zakres częstotliwości fal postrzegany jest jako światło przez zwykły wzrok przeciętnego człowieka. Domyślać się zatem można, że bioenergoterapeuci swoim „trzecim okiem” obejmują nieporównanie większy zakres częstotliwości. Niewykluczone jednak, że owe zakreślenie, jak i sposób ich postrzegania są bardzo zindywidualizowane. Naturalną konsekwencją takiego rozumowania jest obawa, że nie każdy bioenergoterapeuta wie, co widzi, nie każdy też jest w stanie to należycie zinterpretować. Niewątpliwie wpływ na to różnicowanie ma poziom intelektualny i etyczny, doświadczenie i wiedza.

Pani doktor zgadza się z moim wnioskowaniem, a kiedy ją proszę, by opisała mi swój sposób diagnozowania, uśmiecha się i patrzy na mnie przez chwilę.

— U każdego człowieka — powiada — można zobaczyć jego aurę.

Moja jest podobno wielobarwna. Precyzowanie kolorów trwa nieco dłużej. Rzecz w tym, żeby nie tylko zobaczyć, ale i dokładnie nazwać. Swoje więc spostrzeżenia dopowiada doktor K. wahadłem uniwersalnym, które przywodzi na myśl astrologów: czarna kula z metalową obrotową, całość pokryta przezroczystymi znaczeniami, nieczytelnymi dla ignorantów. Tak — wahadło kręci się nad moją prawą dłoń — mam aurę w kolorze indygo, pojawia się jednak w niej mniejszami czyste niebieskie i wyraźna czerwień.

Co to znaczy? Odpowiedź mogę sobie znaleźć w notatniku pani doktor, gdzie wymalowana jest paleta barw z dokładnym jej opisem. Co znaczy moje indygo — zostawie dla siebie, dodam tylko, że notatki te, rysunki i wykresy, wyniki studiów i badań, opisy wizji i snów, relacje z doświadczeń — to nieprzebrane bogactwo, które aż się prosi o staranne opracowanie i publikację chociaż części tego unikalnego materiału.

Wracamy do diagnozowania.

— Bywa tak, ale bardzo rzadko — słyszę — że widzę wnętrze całego organizmu, jak na kolorowym monitorze komputera, gdzie obejrzeć można dokładnie każdy narząd, arterię czy żyłę nerkową. W takich przypadkach wyłączenie jest natychmiastowe... Najczęściej jednak muszę się skoncentrować tak, by ujrzeć człowieka w jego, nawiązując do tak, planie energetycznym. Życiowa energia ma kolor czarny, biały natomiast pojawia się tam, gdzie energia w ogóle nie dopływa, jest to już zupełna martwica, zastój, tak jakby w ogóle nie było życia. Czerwony kolor sygnalizuje stan zapalny, zielony pojawia się natomiast wówczas, gdy tkanka lub narząd już się regeneruje, wraca do zdrowia. Gdy przez nakładanie rąk lub oddziaływanie mentalne doprowadzam życiową energię do chorego miejsca, widzę i czuję te przebiegi energii, puszczanie blokad, którym towarzyszy zmiana barwy... Dziś jest to dla mnie proste i oczywiste, z początku jednak miałam spore kłopoty z interpretacją. W miarę jednak zdobywania wiedzy, uczestnictwa w kursach, zjazdach i sympozjach, wymiany doświadczeń z innymi praktykami posiadam sporą biegłość w diagnozowaniu... Pyta pan o nowotwory? To bardzo prosta sprawa. Mam na myśli diagnozę... Otóż, nowotwór intensywnie promieniuje, dając piękne, niestety, wróżenia. Obwódka ma szaroczerwone, centrum zaś żółte, i z tego centrum idą promienie, przez co całość wygląda jak chmurka podświetlona słońcem.

Proszę o zdiagnozowanie mojego organizmu.

— Cała prawa strona niedoenergetyzowana — mówi doktor z zastanowieniem — niedożywiona. Lewa połowa mocniejsza, ale i spore niedożywienie, zwłaszcza sercowego. Nadto bark, zwłaszcza lewy, w fatalnym stanie. Kregostup wymaga dużo pracy... Na lewej ścianie żółdka niska wrzodowa, ale chyba zablizniawiona... I co bardzo istotne: mazaż, prawa i lewa strona jest na plusie...

POZA MISTYKA I METAFIZYKA

Fotografia odgrywa w psychotronice sporą rolę. O. Andrzej Klimuszko i inni jasnowidzowie posługiwali się nią, poszukując zaginionych osób. Bioenergoterapeuci używają zdjęć do diagnozowania i leczenia na odległość. Zdjęciami posługują się też do różnych celów radiesteci.

Przez długi czas sądzono, że udział fotografii w zjawiskach psychotronicznych ogranicza się do nawiazywania na odległość kontaktu psychicznego (a także energetycznego) ze sfotografowaną osobą, a więc do oddziaływań telepatycznych. W ostatnich latach zaobserwowano jednak fakty, wskazujące na to, że emulsja materiałów fotograficznych ma jakiś związek — trudny jeszcze dziś do bliźszego określenia — z wiązką z tymym obiektem, którego obraz został na nich utrwalony.

O niewątpliwym związku tego rodzaju świadczą serie doświadczeń z roślinami, przeprowadzone w amerykańskich laboratoriach. Okazało się bowiem, że naswietlenie fotografii rośliny dostarcza jej światła niezbędnego do fotosyntezy i innych procesów życiowych, które przebiegają wtedy normalnie, mimo że sama roślina umieszczona jest w zaciemnionym miejscu.

Cóż, centralny kanał energetyczny zablokowany...

Przypominam sobie w tym momencie, jak przed paroma laty zaprzyjaźniony radiesteta — Stanisław Kramczyk ustalił, że mam na obu dłoniach ładunki dodatnie, chociaż powiniem na lewej mieć ujemne, taka bowiem jest prawidłowa polaryzacja. Stan ten określił jako destrukcyjny dla całego organizmu, zlekceważyłem jednak jego zastrzeżenia, których przestrzegać miałem dla ratowania zdrowia. A teraz słyszę, że moje blokady i zaburzenia polaryzacji są wynikiem jakiegoś potężnego stresu, przeciżem psychicznych i fizycznych, jakim uległem w przeszłości. I tak mam ponoc wiele szczęścia, że udało mi się jakoś funkcjonować do tej pory.

Doktor K. — bez pytania mnie o zdanie — przysięga do terapii, uważa bowiem, że jej interwencja jest niezbędna. Zaczyna od dotknięcia serca, nałożywszy mi jedną dłoń na mostek, a drugą na grzbiet.

— Miewa pan arytmie.

— Tak przytrafiają mi się napady częstoskurczu.

— Trzeba podregulować biologiczny rozrusznik serca.

Odczuwam, jak pod dłońmi pani doktor narasta ciepło, zdaje mi się, że lada moment zacznie mnie parzyć. Sugestia? Cóż, to odczucie można by jeszcze jej przypisać, ale za chwilę pod drugą dłoń, a może tylko pod palcem odczuwa się chłód tak przenikliwy, jakby ktoś przylżył mi do pleców kostką lodu wyjętą świeżo z zamrażalnika. Relacjonuję na głos swe odczucia. To normalne, słyszę, po prostu puszcza blokadę. Podobnych doznań nie koniecznie, bo oto gdy siadam na krześle i doktor nakłada ręce na czakrę ogonową (muladhara) i czakrę krzaniową (visudha), spłót słoneczny zdaje mi się napełniać łagodnym, kojącym ciepłem. A po chwili puszcza bolesny skurcz jelit i żółdka, do którego przysięgam, że od lat utrzymywałem się całymi tygodniami, od czasu tylko do czasu łagodniejąc lub ustępując. Teraz czuję jak wszystkie te całkiem rozluźnione, jakby mi ktoś nagle wlał w całą miednicę letnią wodę, która rozpływa się wszędzie, co sprawia mi przyjemność.

Raz po raz głęboko oddycham, instynktownie, bezwiednie, za co zostaję pochwalony.

w taki bowiem sposób uatwiam podobno przenikanie życiowej energii tam, gdzie jest mi ona najbardziej potrzebna.

Czerpię więc hinduską „pranę”, napełniam się starożytną „siłą życiową” czy „siłą odczynną” von Reichenbacha, a może „orgonem” Wilhelma Reicha, korzystam z mesmerskiego „magnetyzmu zwierzęcego” czy też bardziej nam współczesnego „biomagnetyzmu”, poddaję się działaniu „bioenergii” lub „bioplazmy”, która dociera do mnie w postaci „mikrostrumienia” lub „bioplazmoidów”, przywracając moją „stereobioenergotę”.

— Oddziałując na organizm energią — komentuje pani doktor i przerywa stan błogiej senności, jaki zaczął mnie ogarniać — przez te dwa punkty uzyskuje się równowagę energetyczną między duszą a ciałem czy ciałem a psychiką, jak kto woli. Znakomity chwyt, nauczyłam się go podczas niedawnej międzynarodowej konferencji bioenergoterapeutycznej, zorganizowanej na Wawnie...

Cóż, włączyć się trzeba uczę, bo przecież w istocie nader tak mało wemy.

Wychodzę z gabinetu rześki i wypoczęty, jeśli to nawet sugestia, bardzo bym chciał, żeby ktoś — chociaż raz na tydzień — zasugerował mi taki stan, który nie przemija od razu.

Przez cztery następne dni mierzę ciśnienie, chwilnie dobiega do tendencji do niedociśnienia, a teraz: 120/70. Spadek do 90/65, który odnotowuje pięć dni, jest najpewniej wynikiem zarwanej nocy po stresującym dniu, ale wystarczy jedna kawa, by go wyrównać. Ciekawe, na jak długo wystarczy mi jedna kawa, by przywrócić równowagę, naruszoną ustawicznie przez życie.

Sprawdzam też od czasu do czasu wahadłem, używanym mi przez początkującego radiestetę, Terenję Wilczyńską, swoją polaryzację. Wahadło pokazuje już niezmiennie: plus na prawej dłoni, minus na lewej.

Wahadło — czyli pendulum — temat sam w sobie. Też z tamtego, intrygującego świata, gdzie dwójka oczu za mało, którego to świata nie zamierzam jeszcze opuszczać, ledwie przecięć weń wspaniały.

A co zobaczę i usłyszę, czego doświadczę — znów opowiem.

W zasięgu trzeciego oka (4)

Uzdrowiająca energia

JACEK INDELAŁ

terze wręcz mistycznym, które warte byłoby równie obszernej publikacji.

Takiej postawy nie mógł w żaden sposób pojąć — jak mi opowiadano — pewien mieszkaniec Toronto, który długo namawiał doktor K. na zrobienie wielkiego biznesu tam, w Kanadzie. Twierdził on, że w Toronto — gdzie działają zawodowo dziesiątki „uzdrowicieli” — doktor nie miałaby konkurencji. Skąd taka propozycja? Kanadyjczyk miał okazję osobiście sprawdzić umiejętności doktora K., o których słyszał wiele, zanim zwrócił się do niej o pomoc. Otóż, jego żona uległa zawałowi niedowładu nóg i zaburzeń krążenia na odległość: doktor posłużyła się jej zdjęciem w Łodzi, podczas gdy ona sama nie ruszyła się z Toronto. Nie wiedząc że poddana została bioenergoterapii, uznała swe nagłe uzdrowienie za cud, dopiero mąż, który przyleciał do Toronto w parę dni później, wyjaśnił całą sytuację.

Doktor K. niechętnie wspomina to czy podobne zdarzenia. Boi się rozgłosu, który w niedawnej przeszłości zmusił ją do przeprowadzki — na dwa lata — na podłózkę działkę z łódzkiego mieszkania, które zaczęło być oblegane dniem i nocą przez różnych znajomych i znaniomych znajomych, szukających u niej pomocy w chorobie. Ze mną zrodziła się teraz spotkać tylko i wyłącznie za namową przyjaciół, którzy przekonali ją, że nikt nie potrafił mnie tak dobrze wprowadzić w tajniki bioenergoterapii jak właśnie ona.

Doktor jest cudzoziemką. Meza poznała na terytorium swego państwa, gdzie studiowała w jednym mieście: ona — weterynaryn, on — włókiennictwo.

pierwszy odczuła, że wyposażona jest w dodatkowy zmysł, że może otworzyć „trzecie oko” podczas wojny, gdy miała dwieście lat: nie wychodząc z piwnicy w czasie nalotu na miasto, „widziała” z najdrobniejszych szczegółami bombardowanie dworca, a jej opowieść znalazła wkrótce dokładne potwierdzenie w relacjach naczynych świadków... Proroce sny, telegnozja, prekognicja.

Relato refera...

Umysł wprowadzić broni się przed tym wszystkim, co w kręgu doktora K. uchodzi za oczywistość, nakażmy mu jednak milczenie, profan musi się zbliżyć do sacrum z pokorą. Reporter zresztą nie przychodzi, żeby komentować czy interpretować rzeczywistość, lecz by ją relacjonować, jeśli nawet rzeczywistość zdaje się być nie-rzeczywista. Notes pęcznieją od notatek, z których tylko znikoma część zostanie teraz wykrzystana. Ale jakże tu nie odnotować — na przykład — barwnej opowieści Jadwigi Sosnowskiej o niezwykłych już udołnieniach ukojanego wnuczka doktora K. — Łukasza, który potrafił się bez trudu... eksterioryzować, babcia nie pozwalała mu jednak na seanse dłuższe niż parę minut.

Wracamy jednak do naszego świata... Spotkanie z doktor K. odbywa się w jej służbowym gabinecie na terenie instytucji, gdzie pracuje od lat. Białe kitle, bursztyn na srebrnym łańcuszku. Mądra i dobra twarz o niepospolitej, nieco egzotycznej urodzie. I oczy, które zdają się zmieniać zależnie od okoliczności: ciepłe w czasie rozmowy, chłodnieją, gdy doktor przystępuje do pracy, do diagnozowa-

stępują. Stosuje tu więc nie tylko manualną i mentalną bioenergoterapię, lecz również elementy akupresury i masażu leczniczego, których umiejętne połączenie daje właściwy rezultat. I powraca znów — niby refren — ostrzeżenie, że parawnormalne udołnienia i umiędzianie bez należytego doświadczenia i niezbędnej wiedzy nie pozwalają na skuteczne wykorzystanie bioenergii. Nie można się nią posługiwać na oślep, bez świadomości tego, co chce się osiągnąć, a co gorsza — bez pojęcia, jakie się wywoła skutki. Bioenergoterapia — mówią obrazowo — nie może przypominać strzelania strzelnicą, której rozstrzał jest ogromny i przypadkowy, tam, gdzie potrzebny jest precyzyjny strzał w bezbłędnie określony cel.

Wymowna bardzo jest opowieść, jak to doktor lecał znanego orientalistę Jacka K., zablokowała mu przez nieświadomość czakrę kraniową (visudha) w porę jednak przyszło opanowanie i czakrę, z trudem, bo z trudem, udało się po jakimś czasie uwolnić od blokady.

Doktor K. uważa zresztą, że medycyna — tak tradycyjna, jak i niekonwencjonalna — nie powinna leczyć choroby, ale człowieka, przywracając mu równowagę, którą traci z momentem zakłócenia obiegu energii.

— Nasz organizm — powiada — co potwierdziły liczne badania, zwłaszcza amerykańskich uczonych, jest skomplikowaną elektroniczną maszyną pracującą na ciekłym kwarcu. W czasie stresu biologicznego podnosi swój potencjał, wzrasta energia i dochodzi do czegoś, co można przyrównać do przepalenia bezpiecznika lub przebiecia tranzystora, w jakimś tam bowiem punkcie kwarc na skutek przeciążenia krystalizuje się i blokuje przepływ energii i informacji, jakaś część organizmu zaczyna niedomagać. Dotykam takiego punktu, który nieznacznie pokrywa się z akupunkturą mapą, używając bioenergii usuwam blokadę i powoduję, że wspomniany krystalizatek wraz z limfą lub krwią trafia do nerek, skąd wydalone zostaje z moczem. Taki mu zresztą kierunek muszę nadać mentalnie, inaczej bowiem krystalizaty odkładałyby się w nerkach w kamienie nerkowe.

Funkcjonowanie organizmu może być jednak zakłócone na różnych polach, co powoduje, że działanie doraźne, mające na celu przywrócenie prawidłowej pracy jakiegokolwiek narządu, nie daje długotrwałych rezultatów, gdyż nie został równocześnie przywrócony prawidłowy obieg energetyczny. Uwagę tę da się przenieść również na inną płaszczyznę: przystępowanie — na przykład — do nastawiania kregosłupa bez uprzedniego rozluźnienia mięśni, mija się z celem, gdyż napięcia mięśniowe przywrócić wcześniej czy później poprzedni stan, przysparzając na domiar pacjenta wiele bólu. Przeciwnie, bywa tak, że zupełnie zniesienie napięcia mięśniowego wywoła samoczynne nastawienie kręgow, czasem nawet bez potrze-

POZA MISTYKA I METAFIZYKA

W. Griszezenko w 1944 roku wspominał po raz pierwszy o możliwości istnienia piątego stanu materii w organizmach żywych, w dwadzieścia lat później nazwał go plazmą biologiczną, czyli bioplazmą. Przypomnijmy, że plazma nazywamy czwartym stanem materii (po ciele stałym, cieple i gazie), czyli gaz, w którym wszystkie elektrony poodrywane są od jąder atomów. Plazma występuje w otaczającym nas świecie, może być również wytwarzana w laboratorium.

Inny radiesteci użyczy — W. Iniuszyn przeprowadził kilkanaście lat temu doświadczenia, mające na celu ustalenie, czy bioplazma istnieje naprawdę? Stwierdził on, że każdy żywy organizm może być określany jako pole biologiczne czyli biopole, które posiada wyraźną formę przestrzenną, a kształtowane jest przez kilka pól fizycznych — elektrostatyczne, elektromagnetyczne, akustyczne, hydrodynamiczne i inne, dotąd niezbadane. Bioplazma stanowi jedno z tych pól, a składa się z jonów, swobodnych elektronów i swobodnych protonów. Eksperymenty dowiodły naddo, że biopole zawdzięcza swą strukturę bioplazmie, ona je stabilizuje. Częste bioplazmy są stale odnawiane poprzez procesy chemiczne zachodzące wewnątrz komórek (głównie w mitochondriach). Niektóre cząsteczki bioplazmy wypróbowywane są w przestrzeni, inne — wchłanianie z otoczenia. W pochłanianiu ładunków ważną rolę odgrywa płuca. Bioplazma jest bardzo dobrym przewodnikiem, który ułatwia akumulowanie i przenoszenie energii wewnątrz organizmu. Przy pomocy bioplazmy znaczna ilość energii wypróbowywana zostaje w przestrzeni w formie „mikrostrumienia” lub „bioplazmoidów”, w taki sposób bioplazma może oddalać się na znaczną odległość od organizmu, co wskazuje na możliwość jej udziału w zjawiskach telepatii czy psychokinezy. Podczas badań stwierdzono również, że oczy są źródłem intensywnego promieniowania, dla którego nawet metalowy ekran nie stanowi przeszkody. Ustalono też, że bioplazma wykazuje szczególną aktywność w końcach palców.





Rys. Sławomir Łuczyński

„Odgłosy” proponują:



Szkoda, że „Bał na dworcu w Koluszkach” Filipa Bajona nie znajduje należytego zainteresowania widzów. Reżyser wykreował w tym filmie polskie piekło, kolejną polską szopkę, która nieodparcie kojarzy się z klasycznym dziełem Wyspiańskiego, tyle że tam rzeczywistość miała wymiar tragedii, tutaj zaś — doprowadzona jest do groteski i zabarwiona komediowo.

W okresie zwątpień

Rozmowa z KRYSTYNĄ JANDĄ.



Foto: Renata Pajchel

Byłam zaproszona do domu Krystyna Jandy. Mimo ostrzeżenia: „Uwaga ostry pies” — zostałam przez pieska potraktowana życzliwie. Przybiegli także kotki. Marysia oglądała telewizję. Najmłodszy z rodzeństwa układał się do snu słuchając muzyki z pozytywki.
— Synek urodził się 14 lipca 1989 roku w 200 rocznicę Rewolucji Francuskiej. Jak pani to przyjęła?

— Dla mnie to była tragedia, bo dziecko urodziło się 3 tygodnie wcześniej. Mój przyjaciel nazwał dziecko „Fetnat” (Fetnationale — święte narodowe).

— Czy wymarzyła sobie pani zawód dla 13-letniej córki Marysi?

— Na pewno nie będzie aktorką. Kiedy przywiozłam Adasia ze szpitala oświadczyła, że chce być lekarzem pediatrią.

— Odnoszę wrażenie, że obecnie najbliższe są pani sprawy rodzinne?

— Między moimi dziećmi jest 13 lat różnicy. 13 lat oszalełego życia zawodowego, opłakanego nerwicami, stresami i przesadnymi histeriami. Narodziny naszego synka — dziecka, na które tak długo czekaliśmy w moim drugim małżeństwie, przywróciły chyba nam obojemu (mężowi i mnie) właściwe proporcje spraw. Z powodu małego dziecka mama właściwie mieszka już ze mną. Daje do zmiany domu, chce zamieszkać z obójkiem rodziców, a właściwie naprawdę mam nadzieję, że im, emerytom, będzie w dzisiejszej sytuacji ekonomicznej łatwiej i będziemy wszyscy szczęśliwi.

— Czy rodzina interesuje się pani pracą zawodową?

— Moja praca nie interesuje specjalnie nikogo i słusznie. Wystarczy moje historie i nerwy, ale jestem otoczona szczeniakiem.

— Wróciła pani do pracy po urlopie macierzyńskim, do Teatru Powszechnego. Gra pani

Doroczni goście i nowa premiera

JERZY KWIECIŃSKI

Zgodnie z nową formułą Dni Kultury ZSRR w Polsce, uświetnianych dotychczas jedynie przez tych artystów, których nam zaoferowano, oglądaliśmy obecnie to, czego życzyła sobie strona polska. Wybór naszej ministerialnej komisji padł w tym roku m.in. na zespół baletowy teatru operowego w Perymle, znany nam zresztą sprzed kilku lat.

Program przedstawiony w Teatrze Wielkim składał się z fragmentów najbardziej znanych baletów Piotra Czajkowskiego, z wyjątkiem — wykonywanej w całości — „Serenady na orkiestrę amatorską”. Mogliśmy przy tym porównać z sobą prace wybitnych choreografów — Felixa Iwanowa, Balanchina i Wajnonen, z których, według mnie, zwłaszcza propozycje Georga Balanchina (właśc. Balanchiwadze, działającego głównie w USA) najbardziej zbliżają się do potrzeb współczesnego nam baletomana, jak np. we wspomnianej „Serenadzie” opracowanej z akademicką powściągliwością i chłodną elegancją, logicznie bardzo i precyzyjnie, a wykonywanej klarownie i z precyzją.

Dzięki zresztą znakomicie wykształconym i utalentowanym solistom (w przeciwieństwie do nie zawsze dość składowych tanecznego corps de ballet) wieczór mógł dostarczyć wielu miłych wrażeń. Z najwyższym uznaniem oceniałbym wzorowo tańczącą parę — Ludmiłę Szypulinę i Wiktora Dikę w pas de deux ze „Śpiącej królowej”, w rolach Aury i Desire, a zwłaszcza za niebywałe miękko i z gracją wykańczanie najtrudniejszych pas. Nie ustępował im technicznie Natalia Achmarowa i Aleksiej Baranow, a stylowość interpretacji Natalia Gusiewa i Witaił Poliszczuk.

Publiczność przyjmowała występ

gości bardzo gorąco, mimo iż chyba wielu widzom mogła chwila przeszkadzać zbyt głośna muzyka, odtwarzana z taśmy.

ZORBA

Ze zrozumiałym zaciekawieniem oczekiwałam polskiej prapremiery baletu Theodorakisa „Grek Zorba”. Niejeden widz wspominał film z niezapomnianą kreacją Anthony Quinna, wielu łodził ma jaszczkę we wdzięcznej pamięci musicalu w Teatrze Wielkim, wreszcie też intrygowała osoba twórcy baletu Lorca Massine (syna słynnego Leonida Massina z „Baletów Rysyjskich” Diagilewa), który w pierwszych łódzkich przedstawieniach tańczy tytułową rolę.

Pierwsze partie muzyki i pierwsze partie baletu ujął, iż utwór adresowany jest do szerszej publiczności i w tej jakby „leiszej” konwencji balet okazał się dziełem „świetnie skrojonym”, z niezawodnym wyczuciem sceny baletowej. Jak w kalejdoskopie przesuwały się to żywe i dynamiczne, to liryczne i szalone, acenry baletowe, jest szumnie i malowniczo, orkiestra z werwą i zapętem towarzyszy poczynaniom tancerzy, stale coś odmiennego, ale zachowany zostaje ład i porządek.

Chyba kilka scen o różnym charakterze ma szansę na utrzymanie się w pamięci — czy to niefrasobliwie frywolny taniec Zorby z kilkoma orientalnie przystrojonymi dziewczętami, czy złowrogie korowód mieszkańców wioski, zakończony samosądem. A co specjalnie wyróżnić — czy nastrojowe, miłosne pas de deux kochanków, czy końcowy, wykonywany jakby w zapamiętaniu, taniec str-

taki Zorby i Johna z całym zespołem, wyzwalający na widowni owację i skłaniający gości do przedłużających się bisów?

Nie obyło się też bez uchybień. Odstawała od głównej akcji cała sekwencja żegnania się z życiem przez M-me Hortense i rozdrapywania jej dobytku przez mieszkańców wioski, czego nie mógłby odczytać ktoś, kto nie zna ani filmu, ani musicalu.

Postaci wykonawców były wyrażenie zindywidualizowane. Zorba w interpretacji MASSINE ma w sobie siłę i urok spontanicznego uczestnictwa w radościach i smutkach życia, co znajduje oparcie w wysokiej jeszcze sprawności i kondycji tancerza. U SŁAWOMIRA WOŹNIAKA natomiast walory czysto taneczne, połączone z mło-

dzieńczą świeżością zdają się dominować nad środkami „ekspresji” w roli Johna. Bardzo harmonijnie zspółżyły się umiejętności taneczne z aktorską interpretacją tajemniczej i namletnej Mariny, odtworzonej przez ANNE KRZYŚKOWĄ. Z powodu niejasności wokół postaci Hortense godne uwagi artystyczne dokonanie ANNY FRONCZEK-LEWANDOWSKIEJ mogło zostać nie całkiem docenione przez widzów. Monotyzm, w dodatku sensie, posiada o dużej sile ekspresji, stworzył JAROSŁAW BIERNACKI jako Torgos.

To udane przedstawienie powinno mieć wiele kompletów, pod warunkiem, iż wytworzona wokół niego atmosfera zainteresowania nie osłabnie wskutek zbyt rzadkich prezentacji we własnej siedzibie.

Mikis Theodorakis „Grek Zorba”. Libretto wg powieści Nikosa Kazantzakisa, choreografia i reżeria — Lorca Massine. Kostiumy — Nikos, współpraca choreograficzna — Ryszard Kaja. Prapremiera polska 28 kwietnia 1990.



„Grek Zorba”: soliści Sławomir Woźniak — John i Lorca Massine — Zorba.

Foto: Chwałista Zieliński

„Przegląd Muzyczny”

Wśród krajowych periodyków związanych z Polihymnią (wymienimy „Muzykę”, „Res Facta”, „Ruch Muzyczny”, „Życie Muzyczne”, „Wychowanie Muzyczne w Szkole”, „Jazz Forum”, „Magazyn Muzyczny”, „Non Stop”) pismem coraz bardziej cenionym staje się wydawany w Łodzi, nakładem Ludowego Instytutu Muzycznego, „Przegląd Muzyczny”. Do końca ubiegłego roku miesięcznik ten zwał się „Poradnikiem Muzycznym”, ale obecnie tytuł ów zastąpił nowym, atrakcyjniejszym. Korzystnej zmianie uległ też profil oraz treść wydawnic-

twa. Gdy w latach powojennych brakowało na rynku wielu podstawowych podręczników muzycznych, naturalnym zadaniem „Poradnika Muzycznego” było z konieczności, przynajmniej częściowe, zastępowanie ich. Teraz już nie jest to potrzebne. Poradnictwo, czyli materiały instruktażowe, metodyczne, a także repertuar dla amatorskiego muzykowania — owszem — mają jeszcze dla siebie w „Przeglądzie” miejsce, jednak w osobnej zakładce. Natomiast w części zasadniczej, potraktowanej magazynowo, pomieszczone zostały wywiady, polemiki,

eseje, sprawozdania, recenzje, artykuły historyczne, fotoreportaże. Obecny redaktor naczelny — EDWARD DULSKI — ma ambicję, aby tworzone przez niego wraz z zespołem współpracowników pismo dostrzegало i odnotowywało wszystko to, co istotnego dzieje się w życiu „muzycznym” Polski, zarówno jeśli idzie o instytucje profesjonalne, jak i społeczny ruch muzyczny (w tej chwili na specjalne zainteresowanie wydają się zasługiwać regionalne towarzystwa kulturalne, borykające się z ogromnymi trudnościami i spowodowanymi wstrzymaniami dotacji). Twierdzi się, że nie ma takiej imprezy i takiego zjawiska z muzyką problemu, które by miesięcznik nie dotyczył. Powyższa, dowodząca merytorycznej wszechstronności deklaracja sprawia, iż potencjalnym

czytelnikiem „Przeglądu Muzycznego” jest właściwie każdy meloman oraz każdy muzyk. Co prawda periodyk, jako niśkonakładowy, nie jest znów wcale tak łatwy do kupienia. Rozprowadzanie odbywa się głównie dzięki prenumeracie i księgarniom muzycznym, ale wydawnictwo osiągalne jest też w kioskach, nie mówiąc już o bibliotekach i czytelnich. Red. Dulski chciałby jak najszybciej zwiększyć nakład. Wszelako koszty druku są tak wysokie, że trudno w tej dziedzinie coś konkretnego planować. W każdym razie w okresie, kiedy wiele tytułów ulega likwidacji, „Przegląd Muzyczny” na razie trzyma się mocno.

J. J.

w „Medel” Eurypidesa i „Pannie Julii” Strindberga. Co dalej?

— Będę grać w „Dwoje na huśtawce” Gibsona z Piotrem Machalicą w reżyserii Andrzeja Wajdy. A w ogóle jestem w okresie „wątpienia” we własną twórczość. Nie chcę żyć jak dotąd. Gdzie ja tak cały czas pedzłam?

— Dzisiaj może zagrać pani w teatrze sprzątaczkę, jutro królową. Czy w związku z tym czuje się pani wybrańcem losu?

— Czy gram sprzątaczkę czy królową, zawsze jestem sobą.

— Czy swoją grą wyraża pani nastroje swojego pokolenia?

— Wiem, że tak o mnie mówią.

— Grała pani w filmach francuskich. Jaka jest sytuacja polskiego aktora we Francji?

— To nie jest chyba jakiś generalny problem chodzi o 4 czy 5 nazwisk i ich sytuację trzeba by zanalizować, ale nie mam na to ochoty. Jedni robią dobrze z punktu widzenia zawodowego wyjeżdżając. Innym będącym tutaj w pierwszej dekadzie, tam z trudem udaje się statystować. Nie ma o czym mówić.

— Widziałabym panią w roli zabójczyni Marat w sztuce Petera Weissa „Marat/Sade”, kiedyś Charlotte Corday grała znakomicie Aleksandra Słaska. Czy pani myślała o sztuce „Głos człowieczy” Jeana Cocteau?

— Kiedy grali sztukę „Marat/Sade” w reżyserii Swinarskiego, miałam 11 lat. Niestety, nie widziałam tego przedstawienia. Raz bardzo chciałam zagrać Rozalindę w „Jak wam się podoba” Szekspira i nie zagrałam. Niech inni wybierają role dla mnie.

— Co pani sądzi o teatrze Brooka?

— Nie wytrzymałabym w takim teatrze. Czy

wyobraża, pani sobie po 12 godzinach grania jeszcze godzinę ćwiczyć oddech i zbiorowo się rozluźnić? Ja — nie.

— Występowała pani w „Wieczniku” Ernesta Brylla. Po kraju krążyły wieści o legendarnych zarobkach aktorów występujących w kościele?

— Mogę mówić o sobie. Jedyną moją zapłatą była kolacja chyba z okazji Świąt Wielkanocnych.

— Widziałam „Białą bluzkę” Agnieszki Osieckiej. Zachwyciła mnie pani w tym monodramie.

— „Biała bluzka” będzie w telewizji. Myślę, że jak odchowam Adasia, będę miała jeszcze występy w kraju. Pojadę tam, gdzie mnie uprzączywie zapraszają.

— Zapomniałam o piosence aktorskiej. Palmę pierwszeństwa przynajmniej „Gumie do żucia” z Opola 77, lubie „Dancing” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i „Satanowskiego, „Ogrzeź mnie”. Są rewelacyjne.

— A ja uważam za najlepszą „Balladę o Janiku Wiśniewskim” z „Człowieka z żelaza” Andrzeja Wajdy.

— Co pani lubi robić poza pracą zawodową?

— Być w domu. Nie lubię wyjeżdżać. Nie lubię zwiedzać. Nigdy zresztą nie miałam na to czasu. Wyjeżdżam. Pracuję i natychmiast wracam, bo mam uczucie, że bez mnie w domu wszystko się zawali. Często płaczę w hotelu po całym dniu zdjęciowym, bo po prostu tęsknię. Nie ma o czym mówić. Chciałabym pojechać na wakacje do Włoch, ale z całą rodziną. Dotąd nigdy nie miałam na to czasu.

Rozmawiała:
ANNA ROBOSZ

„To, co zostanie wymazane, będzie wymazane raz na zawsze”. W czym rzecz? Czy chodzi o jakieś przebaczenie, jakieś wielokrotne zapamiętanie win? Raczej o permanentne zbrodnie, które trzeba pamiętać, i z których należy sobie zdawać sprawę, do najbliższego końca. Idzie o zwierzęta, i nie tylko.

W swoim przeobrażającym egocentryzmie, człowiek pamięta tylko własne śmierć i własne groby, choć i to nie zawsze. Ale najczęściej czyni o nie taki raban i takie lamenty wyprawia, że aż rzygać się chce, gdy się tego nierzadko słucha lub to ogląda. Natomiast inni współlokatorzy owego zadufanego w sobie, aroganckiego i okrutnego asoka obchodzą go o tyle, o ile dostarczają mu żarcia, przyodziewku, sily roboty i rozrywki. Tak było i tak jest i teraz, w przededniu kosmicznych penetracji.

Z okazji Dnia Ziemi pociągamy sobie: w Indiach w 17 rezerwach państwa się reszki tygrysów, na bagnach Florydy ratuje się aligatory z Missisipi. W Kanadzie założono rezerwy dla niedźwiedzi grizzly, w Skandynawii strzeżone pnie rezerwy dla wilków (zostało tylko 110 sztuk). Papugi kakaadu gina, kobry — gina, kondory kalifornijskie — gina, brazylijskie, oceloty — gina, bałtycki leśnik — gina, tygrys syberyjski — gina, tygrys kaukaski z pogranicza Turcji, Iraku i Iranu — wyginął zupełnie, panda — gina, dwubarwny dził wielbłąd z północno-wschodnich Chin — gina, afrykański nosorożec wąskopyś — gina, nosorożec jawański — już tuż przed końcem, żółwie morskie — gina, niedźwiedź azjatycki — gina, wielkie żaby z Bangladeszu — gina, słonie afrykańskie — gina, okapi (odkryte w 1901 r.) — gina... Te wszystkie i wiele innych, ginących gatunków zwierząt i roślin, znalazło się w CZERWONEJ KSIĘDZE. I co z tego?

I co z tego, skoro z 9 milionów km kw. powierzchni lasów tropikalnych, w których — jak się ocenia — żyje 2 mln gatunków zwierząt, co sekunde wypala się lub wycina około hektara. Rezultat: rocznie ulega zagładzie 4 do 6 tys. gatunków zwierząt i roślin. Zniszczono już 45 proc. pierwotnych lasów tropikalnych. Każde śledzie drzewo oznacza ingerencję chirurgiczną w globalny bank genów, amputację gatunków połączonych gęstą siecią wzajemnych zależności. Ewolucja stworzyła bowiem bardzo skomplikowaną strukturę, która przy najmniejszych zmianach rozpada się, niczym domek z kart (Edward Wilson, autor „On Human Nature”).

Słonie gina dla swoich kłóc: dla tych samych powodów kłusownicy masowo mordują, u wybrzeży Alaski i Syberii, morsy. Żaby w Bangladeszu gina dla swoich udek. Niedźwiedź azjatycki (albo wielki) — dlatego, że jego wnętrzności w medycynie i kuchni wschodniej to cenny afrodyzjak: podobnie jak róg nosorożca. Wieloryby i delfiny gina — bo japończy lubią ryby i co tam jeszcze. Delfiny i tuńczyki gina paszli, masowo w wielkich sieciach pasterzywie skonstruowanych przez człowieka. Młode foki wciąż są mordowane dla skór...

Kule bilardowe i biletory (kość słoniowa) szlachetne materiały produkcyjne, futra, skóry, pióra, przemyśle polowania, trofea (cedry, tygrysy, antylopy, aligatory...), wisia w leczniczej właściwości (róg nosorożca — afrodyzjak), wartości smakowe (żaby), atawistyczna niechęć do gatunku (wilki), przemysłowa produkcja taniego jedzenia i karmy dla innych zwierząt oraz przemysł farmaceutyczny (wieloryb, delfiny, kangury...) „różnice interesów” (bawół, krowa, owca, koźlak, koźlak, koźlak) przemyśle posiadania egzotycznego ptaka bądź zwierzęcia — to mniej więcej główne powody nadmiernej eksploatacji świata zwierzęcego i roślinnego, czyli totalnego mordowania, ścinania i wypalania...

Inny to fakt, że do roku 2025 liczba ludności wzrośnie dwukrotnie. Żaden układ o ochronie środowiska naturalnego nie powstrzyma miliardów ludzi, którzy już dziś rywalizują ze zwierzętami o przestrzeń życiową — w krajach rozwijających się o przeżycie walczą 90 proc. dzikich zwierząt... „Obcy dla uchochodów”, jakim stała się parki przyrody i rezerwy — niewiele pomaga... „Mój mój ostateczny” w razie czego zrehabilitować Akropolis lub namalować kopie Mony Lis, ale gatunki zwierząt, które doświadczenia wygina, są nie do odwołania — smutnie stwierdza „Gazeta”. Nogge dyrektor ogrodu zoologicznego w Kolonii... „Skończyć ze zwierzętami, to skończyć z człowiekiem” — mówi ktoś inny...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Podsumowanie: Tygrys do Sionia: — „Może ich AIDS wyduł?” Wtraca się Nosorożec: — „Oby jak najszybciej i raz na zawsze!”

Stawiać na kulturę to stawiać na sukces

— rozmowa z EWEŁINĄ AGACIAK, malarką.

— Sporo czasu upłynęło od wystawy pani dzieł w Klubie Dziennikarza w Łodzi — obrazów niezwykle urzekających zarówno w swojej warstwie treściowej (zagrożony świat przyrody), jak i kolorystycznej, formalnej. Co się wydarzyło od tamtego czasu w pani życiu twórczym?

— No cóż, siedzę w domu i maluję — to najważniejsze. Owszem, miałam w tym czasie wystawę swoich prac w Warszawie, wzięłam udział w międzynarodowym konkursie na prace związane z ochroną przyrody...

— A więc nadal jest pani zafascynowana światem przyrody.

— Jak zawsze. Na konkurs posłałam pracę przedstawiającą mi drzewo, ni kobietę, ale to drzewo-kobieta jest jedynie spośród wszystkich wyciętych drzew... To jest temat, o którym ciągle podświadomie myślę. Przyroda jest dalszym ciągiem nas, tak jak my dalszym ciągiem przyrody. Tego nie można rozdzielić. A ponieważ nie pracuję słowem ani dźwiękiem a tylko kolorem i formą, tak więc w ten sposób staram się przekazać to, co myślę, co czuję. Ktoś powiedział, że ten obraz samotnych pni drzew, które były lasem i to jedno drzewo, które jest jak człowiek jest potwornie przegniebiony. Ale jak inaczej można dzisiaj widzieć świat? To ostatni moment, aby ludzie ocknęli się. Nawet ci, którzy walczą o zdrowe środowisko są przekonani, że jest to tylko kwestia wyciętych drzew brudnych rzek i nie rozumieją, że to sprawa głębsza. Że wplew trzeba zmienić spojrzenie na życie, odwrócić pewne sprawy, z wielu rzeczy zrezygnować... Wszak to całe dzisiejsze zafascynowanie pseudotechniką tym wideo, które stało się przedmiotem pragnień kultu nieomal — to nie są drogi do celu człowieka. Przejawiamy być ludźmi, stajemy się jakimś mutantem dziwnym, dla których samochód i wideo jest bogiem... Rzecz

Bohdan Podaj (tak bezprzecznie dyskredytowany ostatnio w Łodzi na „Warsztatach operowych” przez znanego gwiazdę Bogusława Kaczyńskiego) pisał w jakże interesującym eseju „Muzyka i sacrum”, że głównie w muzyce możliwy jest właśnie ideał pełnej harmonii „estetycznej” z „sakralnym”, piękna ze świętością.

Muzyka i sacrum — dziś

JANUSZ JANYST

Mówienie o szczególnej roli muzyki w kulturze chrześcijańskiej byłoby truizmem. Sztuka dźwięku stanowi integralny składnik liturgii, ale też rozwija się niezależnie od obrządku, jako nurt związany z religią poprzez charakter wyrazowy kompozycji, tytuł, a w utworach połączonych ze słowem — oczywiście — treść. Muzyka religijna, swego czasu będąca nawiązaniem do kierunkiem studiów w konserwatoriach, obejmując historię, białac, dzieła o wyjątkowej ekspresji i głębi. Bo też muzykę tę tworzyli mistrzowie najwięksi, szukając dla niej form najdoskonalszych.

W dzisiejszej epoce, zdominowanej przez kulturę masową, epoce, o której powiada się nie raz, że to pierwsza formacja kulturowa bez „metafizycznego przedłużenia” (przynajmniej tak chyba było do niedawna), monumentalnych utworów religijnych powstaje mniej niż kiedyś (pomijam fakt, że w pewnym okresie uprawianie reli-

gijnej muzyki artystycznej było przez komunistycznych dyktatorów niemal zakazane). Z kolei powszechne gusty ukie-runkowane na rozrywkę wywierają wpływ na styl muzykowania w kościołach, na charakter powstających piosenek religijnych itd. Nie miejsce tu by owa kwestia dokładnie analizować (podejmował ten temat

któryś najwięcej mówił przed występem o swym posłannictwie i miłości do Boga, potem najbardziej się myśli. Laureatów wybrało dziesięć, jednak bez uwzględnienia wy-raznej gracji, gdy Rada Artystyczna, a także prywatni fundatorzy nagród premiowali jedynie poszczególne elementy wykonania i twórczości. Nie będą tu wszystkich laureatów wymieniał, lecz wspomnę o ważnych faworytach spośród nich. W dziedzinie kompozytorskiej, od nierzadko naiwnych pomysłów formalnych oddalił się wyraźnie — mający ciekawą dramaturgię, melodię i bazujący na alterowanej harmonice — song Beaty Żmurkowskiej (szkoda, że przez konferansjerów zapowiedzianej tylko jako pianistka-akompaniorka). Song ów do tekstu Brandstaetera, zatytułowany „Litania do dobroci Jana XXIII”, śpiewała Justyna Lisowska. Za najciekawszą wokalistkę (reprezentującą typ rutynowej piosenkarki) uznałem natomiast Annę Kaczmarek z zespołu Kuźnia przy łódzkim Klasztorze OO. Karmelitów Bosych. Ponadto, razem z tłumnie zgromadzoną w kościelnej sali teatralnej młodzieżą oklaskiwałem m.in. akompaniującego sobie na gitarze Piotra Rutkowskiego — młodzieńczego barda nie tylko z efektowną brodą, ale i skrytykowaną już osobowością muzyczną balladowego piewcy.

Kiedy mowa o twórczości religijnej, przypominam mi się znana anegdota o malarzu Stycie, któremu Pan Bóg zalecił, by ów nie malował Go na kłęczkach, tylko malował dobrze. Charakterystyczne, że np. w trakcie koncertu laureatów ci,

kierunek, z myślami może być kruchy.

Oddajemy więc sympatykom łódzkim i słowu łódzkim ostatni miesiąc. Odszedł prawdziwy był dość chaotyczny, a więc z konieczności i przypadkowy. Nie należy się zatem dopatrywać zasady kalendrzarza łódzkiego. Należy jednak zwrócić uwagę, że starano się trafić przede wszystkim cele łódzkie tak z urodzenia jak z twórczej obecności.

Dla podniesienia strzeleckich kwalifikacji zabiegano o obiekty dysponujące świadectwem otarcia się choćby o sztukę uczenia. Te bardzo użyteczne społecznie działania uprawiało i uprawia nie-mało z łódzkich współtwórców tego albumu, ale nie wszyscy dali się wziąć na cel. Dobrowolność sprawiła trochę kłopotów nawet tak za-radzonym tropicielom jak S. Arabski i R. Gorzel-ski. Przy następnej myśliwskiej wyprawie z pewnością wykorzystają obecne doświadczenia i łup będące ofiarami.

Spisującą tę uwagi zaskoczyła natomiast wysoka absencja CEŁOW damskich. Konieczne są Dorożki (znaczy ustrzelenia) te właśnie cele. Będzie czas na rezon, kiedy przyjdzie sezon. Społegłymi myśliwymi nie poprzestanie na jednej nagonce, wszak nie zaszaga sobie opinii nie u-szczelwizy jeszcze kuny lub walenia.

Wielkie dzięki Krece i Słowu, że nakazały łowcom każdą ustrzeloną Sztukę pobrać i pokazać i czule. Poradziło się sercu nigdy nie zawodzić, więc odwołuje się do serdeczności przyszłych o-choćników celów S.A. i R.G. — nie chowajcie główek w kłębki, w każdym strachu drżenie ziano celu. Dać się ustrzelić, to powinność i wobec potomnych. Zbiorymy konflikt łódzkiego piarstwa będzie świadczyć o jego urodzie i za-sługach, a także o powinnościach łowców i szcerości patronów. Tak naprawdę, to cała nadzieja w potomność — tam nas najpełniej docenia i na-karmia sławą. Dziś miałyby się bardziej dotykal-ne oznaki uznania, lecz nasze dół zapomina, że „Literat dobry i Mierci lihy / Jednąk musza za-siadać do michy”, jak stwierdził w „Ambajach” Feliks Rajczak. Roztropnie mówi ten prawie łódzki fraszkopis i ze znanstwem sprawy. Czyżby miał rację, gdy pytał, retorycznie: „Kto ma bro-nie poezji, jeśli nie satyrycz?”

wia. My myśliwymi formami, kolorami. Nawet w środowisku rozmawiamy monosylabami. Kiedy więc trzeba powiedzieć głośno o sprawach ważnych, aby dotarli do ludzi nami rządzących np. bądź żyjących obok nas, o to już trudniej. Stąd trudniej nam walozyc o swoje racje, interesy. I dlatego jesteśmy często przegrani. Proszę popatrzeć na to, co się teraz dzieje z pracownikami plastyków! Kogo będzie na nie stać, skoro musimy płacić za nie tyle samo ile ci, co uprawiają seryjną produkcję przemysłową czy rzemieślniczą? A przecież nie możemy malować we własnym mieszkaniu posługując się niebezpiecznymi dla zdrowia materiałami.

— I bardzo drogi, uprawia pani jeden z najkosztowniejszych zawodów. Każdy z malarzy musi wplew bardzo dużo zainwestować, aby powstało dzieło...

— Jedna tuba farby kosztuje 20-30 tys. złotych! A wszystko inne — ramy, płótno?

— Jak więc odnajdujcie się w tych warunkach?

— Ano właśnie! W środowisku panuje okropne przynębienie. Owszem, jest parę osób, które potrafią się umazać, ale wcale nie jest powiedziane, że są to najlepsi. Czas weryfikuje wszelkie wielkości. Nie wiem jak się to wszystko skończy, chcieliby to, co się dzieje w środowisku projektantów. Mamy szkołę, która od czasów powojennych przygotowuje projektantów, ludzi doskonale zorientowanych w swojej profesji. Cóż z tego, skoro mają przed sobą nikłe szanse. A przecież nawet w tak krytykowanym czasach stalowych ci ludzie żyli, owszem, w warunkach trudnych, lecz mieli szanse uprawiania swojego zawodu. W tej chwili to się skończyło. Przerznięcie ogarnia mnie na myśl, że taka szkoła może okazać się w ogóle niepotrzebna... Ja tu mówię o plastykach, a przecież inni twórcy nie są w lepszej sytuacji. Jak więc zrobić, aby życie duchowe narodu zostało się i wzbogaciło. Doświadczenia historyczne przekonują nas, że tam, gdzie stawiano na kulturę, tam powstały potęgi. Jeśli więc nie będzie sta-wiało się na kulturę, nie można liczyć na sukcesy...

Za rozmowę podziękował
MARIAN ZDROJEWSKI



Deszczem nagród obsypany został na zakoń-czonych niedawno Opolskich Konfrontacjach Teatralnych — „Klasyka polska” zespół Teatru im. Stefana Jaracza z Łodzi. Nagrodę główną opolskich konfrontacji otrzymał Maciej Prus za wspaniałą, głośną już w kraju, inscenizację „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego. Ponadto Bogdan Hussakowski — reżyser „Snu srebrnego Salomei” Juliusza Słowackiego, drugiego spektaklu zaprezentowanego przez łódz-kich aktorów w Opolu — oraz Maciej Prus uhonorowani zostali nagrodami za podjęcie nowatorskich prób interpretacyjnych w dziedzinie polskiego repertuaru klasycznego. Wśród laureatów nagród aktorskich znalazł się Jerzy Świąt-łoń, kreujący w „Wyzwoleniu” rolę Konrada, zaś we „Snie srebrnym Salomei” — Semenki. Jedno z wyróżnień przypadło też w udziale Ewie Mirowskiej — Muzie w dramacie Wyspiań-skiego. Gratulujemy laureatom i całemu zespołowi teatralnemu z okazji odniesionego tak zna-czącego sukcesu artystycznego! W Muzeum Historii Miasta Łodzi, 30 kwietnia br., otwarta została wielka wystawa historyczna pn. „Nie-społeczna dusza”, poświęcona legendarnemu ma-jorowi Henrykowi Dobrzańskiemu „Hubalowi”. Honorowymi gośćmi byli m.in.: wnuk Henryka Dobrzańskiego, współtwórca i jeden z inicjator-ów tej ciekawej ekspozycji, Henryk Sobierajski oraz jego matka, jedyna córka Hubala, red. Krystyna Sobierajska (dziennikarka „Głosu Porannego”). Wystawa składa się głównie ze zdjęć w większości dotąd nie znanych i nie publikowanych oraz unikatowych pamiątek po Hubalu, pieczołowicie przechowywanych przez rodzinę (m.in. medaliki, który zwrócony został z RFN w 1988 r.). Przyciąga też uwagę zwie-dzających portret jednego z przodków „Hubala” — Łukasza Dobrzańskiego, pędzla samego mi-strza Jana Matejki. Autorami scenariusza tej pięknie skomponowanej i wzruszającej ekspozycji są: Marek Budzimek (ponadto aranżacja całości wystawienniczej), Andrzej Dyszyński i Henryk Sobierajski, którym należą się słowa uznania. Wystawie towarzyszy okazjonalny ka-talog. Czynna będzie ona do końca sierpnia br. Gorąco polecamy! Miejska Biblioteka Publi-czna im. Józefa Piłsudskiego (d. Ludwika Wa-ryńskiego) w Łodzi zorganizowała 4 bm. sesję popularnonaukową pn. „Łosy Polaków w ZSRR — w 50. rocznicę zbrodni katyńskiej”. Dla uczczenia 50. rocznicy zamknięcia getta łódz-kiego — należącego do jednych z największych w kraju ośrodków zagłady — obradował w na-szym mieście 27 kwietnia br. na ogólnopolskiej sesji Zespół Naukowo-Badawczy ds. Ekstermi-nacji Żydów na ziemiach polskich włączonych do III Rzeszy, istniejący przy OKBZII — IPN. Podczas sesji zaprezentowanych zostało kilka referatów. Między innymi Julian Baranowski przedstawił wyniki swoich najnowszych badań nad dziejami getta łódzkiego. W lokalu LK SD przy ul. Piotrkowskiej 99 można obejrzeć przez najbliższe dni interesującą wystawę ponad 100 ekslibrisów różnych autorów, zawierających wizerunek Orła Białego. Pochodzą one z bogatej kolekcji, liczącej ok. 600 tys. unikatowych zna-ków książkowych, Mieczysława Wojalskiego. Ekspozycja ta została przygotowana z okazji Święta Stronnictwa Demokratycznego — obcho-dzonego corocznie w rocznicę uchwalenia Kon-stitucji 3 Maja. Z udziałem prezydenta Łodzi Waldemara Bohdanowicza odbyło się 2 bm. obwarcie i poświęcenie siedziby przedstawiciel-stwa łódzkiego Fundacji Orła Białego przy ul. Moniuszki 2. Jak już informowaliśmy pre-zesem ogólnopolskiej fundacji Orła Białego jest ksiądz prałat Henryk Jankowski, proboszcz pa-rafii św. Brygidy w Gdańsku.

Opracował: JAK

Galeria pisarzy

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA



Rys. Sławomir Arabski

Miał deseru na obiad, zapijanego czerwonym wytrawnym winem, zamawia lody (przy jej chorobliwej dbałości o figurę lody są jedyną koncesją na rzecz kalorii), posiłek wieńczy woda mineralna. Alkohol, owszem, ale nie w ciągu dnia.

Okazuje się popijania w redakcji zdarzają się często. Stanley nie ma nie przeciwko. Jego służbowy barek jest regularnie uzupełniany, rozmawiając z nim przez biurko nie wyczuwa się jednak alkoholu. Miec nie oznacza u niego pić, a pić trzeba umieć. Brytyjczycy są podobno mistrzami w tej sztuce. Tak się przynajmniej uważa, choć statystyka przyczyn wypadków drogowych insynuuje coś innego.

Ja w dalszym ciągu trzymam się z dala od mocniejszych trunków, lubię natomiast patrzeć jak ona pije. Lubie jej nastroje, kiedy sobie wypije. Wszystko w niej, dla mnie skończenie piękne, staje się wtedy jeszcze piękniejsze. Lubie zieleni jej oczu. Uwielbiam jej ostre jak żyłki paznokcie wpijające się wówczas w moje plecy. O adrenalinowo powiększonych źrenicach kota gotującego się do skoku na ofiarę nie mówię. Fascynującym widowiskiem po alkoholu jest moja Cheryl.

Napiszę coś o jej oczach.

Od dziecka miałem smykalkę do rymowania. Wszystkie okazje rodzinne uświęcałem wierszem, matka widziała we mnie poeetę. W gimnazjum koleżanki obwalały mnie drugim Juliuszem Słowackim. Nie powiem, aby nie łechtały tym moją próżność, która odbijała się na moim i tak słabym zapale do nauki; gdyby nie sympatia nauczycielek, wątpliwe, czy doznałbym do matury. Lecz ciagotki do rymowania nie opuszczały mnie nigdy.

Zieleni twoich oczu...
The green, green eyes of yours / Like the stars that shine above...

Oaza spokoju. Wszystkie mutacje niebieskiego, czerwieni, nawet ochry ciemnieją lub jaśnieją od kąpieli padania i sily światła, podczas gdy zieleni jej oczu pozostaje zawsze jednokolorowa, a zmiany dokonują się jedynie w źrenicy. Napiszę o nich. W prezencie na jej urodziny, które obchodzi w en España.

Więcej światła na te oczy! — napiszę. Niech promieniały niczym gwiazdy na niebie!

W najintymniejszej sytuacji nie umie oderwać się myślami od swojej pracy.

Sypialnia mieści się w zachodniej, nasłonecznionej po południu części domu, naprzeciwko schodów wysłanych grubym, twardym krokiem chodnikiem. Od mojej pierwszej wizyty w tym zaskakującym mnie wielkością i wyposażeniem domu, odziedziczonym przez Cheryl po staropanińskiej ciotce, większość czasu przetrwałam tutaj, chyba najprzyjemniejszym z wszystkich pokoi; Laura — zmarła ciotka — musiała spędzać w nim dużo czasu. Utwierdza mnie w tym portret olejny zawieszony nie w salonie, a tu, na wprost szerokiego łóża.

Na portrecie ciotka ma nie więcej niż trzydzieści lat. Była piękna i dobrze się ubierała. W tuiie, modne w jej młodości jedwabie, przejryste szlify, lubiała kolie i kołczyki. Łudząco podobna do Cheryl. Kiedy leżę na wznak i odpoczywam, uśmiecha się do mnie z tolerancyjnym grymasem wyższej znajomości spraw. W pozycji odwrotnej czuję się podglądany z odległości bliższej niż ściana, z której się nam przypatruje. Podglądany — to nie byłoby najgorsze; czuję jej dionie na sobie. Jak z pleców ześlizguje się między pośladki, jak dobiera się do mnie, nie sobie nie robiąc z mojej udręki. Dekoncentrująca to. Gdybym miał więcej odwagi, zaproponowałbym wyniesienie portretu do salonu. Nie; wyrzucenie go z domu w ogóle. Na dobrą sprawę za ileś lat nikt nie powie, że to nie własny portret.

Słońce pada na łóżko przez nie do końca zaciągnięte aksamitne zasłony, ożywia jej podobieństwo. Oczy ciepłej koteczki żyjącej jedynie mną, bezgranicznie mi oddanej; nigdy nie mogłem napatrzyć się w nie do syta. Nie są to oczy bezmyślne, jak na przykład tej cieleco natywnej Maigorzaty. Kiedy wpatrują się we mnie przenikliwie jak teraz, oczekują zawsze jakieś niespodzianki. Nie czuję się z tym najlepiej, Ta nieosiągalna dla mnie umiejętności przechodzenia w rozkopany łóżko w świat chłodnych realiów. Nigdy nie wiem, z czym ona wyskoczy.

Z głosu Cheryl przebiegała nieklamana duma. — Ja, początkująca dziennikarka, ekspertem politycznym... Zaproteściwałam oczywiście, co ja mogę o Polsce, ale Stanley jest innego zdania. Możesz, powiedział. Wiesz na pewno więcej o tym kraju, o jego ludziach, co myśla, jak widzą wydarzenia, jak się do nich ustosunkowują, o tysiącu rzeczy wiesz lepiej niż ktokolwiek z nas. Nie słuchał rzeczywiście zaprzeczeń. Przez twego przyjaciela, który przecież jest nie byle kim, masz dostęp do żywego człowieka stamtąd, do jego punktu widzenia, do — inaczej mówiąc — materiału źródłowego, a to się liczy. Masz wreszcie. Rozchmurz się, Adam. „Żywy człowiek stamtąd”. Już widziałem reakcje na taki artykuł w Polsce.

Szanse, przynasz, mam chyba wielką. Według Stanleya, życiowa, kto wie, powiedział, czy nie wyrosłaby ze mnie konkurentka dla Anny Forrest. Z twoją oczywiście pomocą, bo co tam ja. — Podciągnęła się na łokciach w górę łóżka i siadła na wprost mnie z rozchylonym krocem.

Krocem — brzydkie słowo, pobrzmiwa rynsztokiem, nie pasuje do niej i jednocześnie, kiedy widzę ją tak rozłożoną, innego nie znajduję. Ona lubi nagość. Jest pewna swojej seksualnej urody. Wie, że poza tą kruszą może opory. To dla niej najważniejsze: łamać moją wolę, podporządkowywać mnie sobie; świadomość tego ładuje ją nowymi zasobami energii.

Uładziła palcem moje krzakaste brwi. Lubi bawić się nimi. Ile się nasłuchiłam o ich rzekomo magnetycznym działaniu na nią. Z nasłuchanymi wyglądam podobno jak prawdziwy Rosjanin, już Diana to powiedziała. Czy to prawda, zapytywała, że Rosjanie gwałcą kobiety?

Moja matka odpowiedziałaby na to jednym słowem.

Gwałcą czy nie? Tak bardzo chciałaby być zgwałcona. Ale ze wszystkimi szukaniami, z zagrożeniem życia włącznie. Wszystkie z wyobraznia chcą, tylko nie przynajmniej się do tego.

Miała masochistka jest ta moja Cheryl, ale to jej nie umi. Zsunęła się z wezgłowia i nogami przygarbiona mieła do siebie. Podciągnęłam się lekko ku górze. „Kuszeniem szatana” nazwałbym tę scenę.

— Uśmiechasz się, kochany. Dlaczego?

Szukałem słów. Nie chciałem angażować się w otwartą kampanię prasową przeciwko krajowi. Nie mam złudzeń. Zgraja bezideowych, piekielnie egoistycznych cwaniaków siedzi u koryta, nigdy nie myślałem inaczej, ale co innego myśleć pokatnie, na swój prywatny użytek, a co innego wychodzić na barykady. Nie na moje to siły.

— Dlaczego się uśmiechasz?

Czuając zapach jej rozgrzanego wnętrza myślę tylko o jednym.

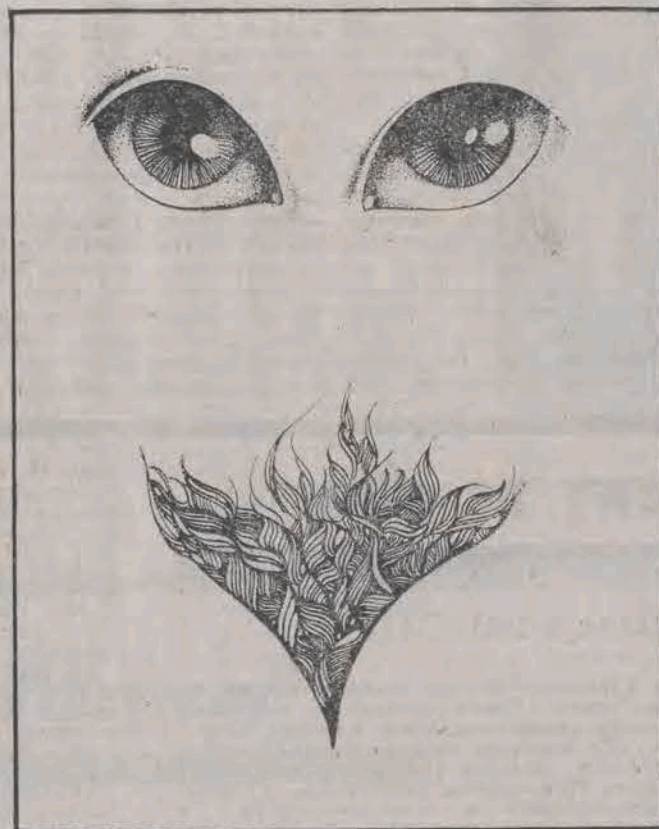
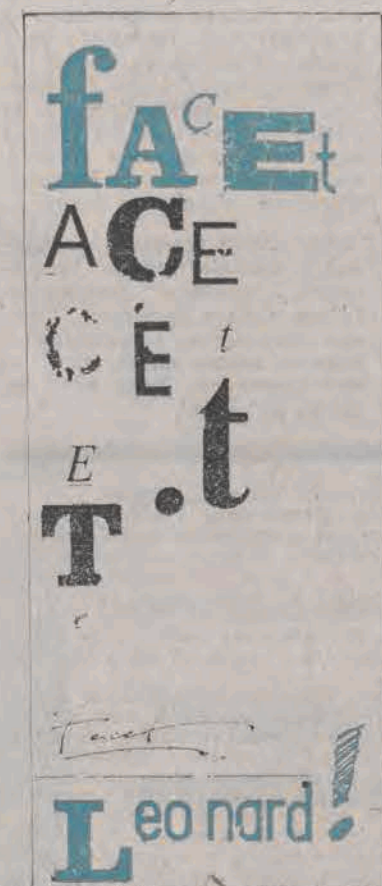
— Intencje tego Stanleya są dobre — zdobyłem się na maksymalnie rzeczowy ton. — Z waszego punktu widzenia prawidłowe, tylko że... Uwolniła mnie ze swoich kleszczy.

— Co?

— Proponuję ci skok w przepaść bez spadochronu. Nie mogę. Ty też nie zgadzasz się z linią polityczną pani Thatcher, ale nie mobilizujesz przeciwko sobie królowej i jej sił zbrojnych. Ty...

— To nie to samo! — przerwała mi. — Sam przecież mówiłeś, że ta cała partia to zgraja łobuzów, że nigdy się z nimi nie solidaryzowałeś. Thatcher i oni to nie to samo. Thatcher sprawuje władzę z wolnej woli większości narodu, podczas gdy ci tam to uzurpatorzy; masz nie tylko prawo, lecz obowiązek wystąpić przeciwko nim z otwartą przyłbicą. Powiedz sam, czy nie?

(5)



Rys. Dariusz Romanowicz

Rozmowa z nią na tematy polityczne w łóżku wiodła zawsze donikąd. Cheryl ma tysiąc argumentów na poparcie każdej swojej tezy. Brytyjskich argumentów. Ona rzeczywiście ma dziennikarski ząb. Pokręciłem głową na nie. Chciałem skończyć ten temat.

— Ależ dlaczego?

— Bo... — szukałem kontrargumentów — brak mi odwagi.

Z głową odchyloną do tyłu wyszczerzyła zęby.

— Nigdy w to nie uwierzę! Tobie? Który jesteś dla mnie uosobieniem męskości i bohaterstwa? — Z kruczoczarzami włosami rozsypanymi na poduszce wyglądała przesłanniczo. Od pierwszego spotkania byłem zasłuchany w każde jej słowo, od pierwszego pocałunku, porwania smakiem jej ust, od ujrzenia jej nagiej, zafascynowanej nią. Tak w każdym szczególe pięknie zbudowanej kobiety, tak ponętnej jak ona nie widziałem. Niemożliwe, aby mogła być tylko moja.

Za ścianami sypialni toczyło się wrogie życie, ludzie o byle co skakali sobie do gardel, nie panowali nad swymi emocjami, podczas gdy ja przeżywałem takie szczęście. Jakim głupcem musi być mój stary, jeżeli myśli, że byłbym gotowy zrezygnować z niej w imię oszczędzania jego brudnej skóry.

— Obiecuję ci powrócić do tego tematu — powiedziałem dla zdobycia czasu do namysłu.

— To kwestia godzin.

W sprawach ważnych ona wypowiada więcej sobą niż słowami. Dźwignęła się na kolana i siadła na mnie.

— Kocham cię! Zrobię wszystko możliwe, aby nasze szczęście było pełne. — Mówiła usta w usta. Każde jej słowo technologicznym, na jakie stać tylko kobiety bezgranicznie zakochaną, zdolną do największych poświęceń. Przyłgnęła do mnie całym ciałem. — Nie zawiesz się na mnie, Adam. Wierzyć mi, prawda?

Powinienem być kleknać i przeprosić ją za zmuszenie do zadania tego pytania. A raczej podziękować. Wszystkie moje wahania uleciały, droga nasza wspólna. Czy wierzę jej? A czy można nie wierzyć prawdziwemu światu słońca?

Praca w redakcji może być ciekawa, dziennikarka zachodnia w ogóle. Angielskim władam, polot mam, kwestia tylko, do jakiego działu bym nie wcielił. Jako początkujący wielkiego wyboru nie będę miał. Cheryl ma rację: najlepiej dostać się od razu do zagranicznych.

Albo do filmu.

Rok w szkole filmowej nie spłynął po mnie bez śladu. Niepotrzebnie upierałem się przy reżyserce. Trzeba było po kolei. Skończyć obojętnie co, nalykać się sposobów, potem by się zobaczyło. Teatr dla mnie jest zbyt statyczny, nie na mój temperament. Nie odpowiadają mi przede wszystkim obowiązująca na scenie dyscyplina, dyspozycyjność aktora. I wieczne wai-

kowanie tego samego. Monotonia. Nie mówiąc o braku perspektyw w kraju. Aktor/teatr w Suwałkach... Przy skąpości naszego repertuaru, jak nie oklepane „Słuby panienskie” to „Zemsta” albo „Moralność pani Dulskiej” — zdecydowanie można. Co innego film, ewentualnie telewizja. Ale konkurencja tam bezpardonowa. Dziewczyna, jeżeli ma wszystko na miejscu i zda łóżkowy egzamin, u wszystkich po kolei popychał reżyserskiego wózka — a po drodze nie zedrze się na szmatę — ma szansę na pokazanie się na planie, choćby na otarcie lez; chłopak musi mieć życiorys albo talent. Gangurena zdeprawowanego systemu nie ominęła i tej dziedzinie sztuki, stad tyle na naszych ekranach piękności, że pozał się Panie. Tutaj chody tatusia nie znaczą: wymagają aktorskiego talentu, głosu, umiejętności tańczenia — przez diablo gęste sito trzeba się przecisnąć o własnych siłach.

Cheryl nie wyklucza możliwości zahaczenia się. Przy mojej praktyce w kraju... A w ogóle, pyta, dlaczego rzuciłem film? Natura stworzyła mnie wprost do tego zawodu.

I na swój praktyczny sposób podpowiada, że żadna praca nie hańbi. Ona też zaczynała w redakcji od gońca tutaj to normalne. Muszę to przemysleć. Oprócz angielskiego, władam także rosyjskim, a to też kapitał. Teraz zaś, powiada ona, do przodu i tylko nie bać się. Bo pewnych rzeczy w tym kraju nikt za nas nie zrobi.

Sprawa, dla której się tu fatygowałam, dotyczyła jego pryncypałów, pryncypałów jego pryncypałów, w rydwan swój wprzęgała jego osobiste, Zająca, klucz do jej tajemnego kodu spoczywał w moich rękach; tylko w tym celu mnie, kompletnego laika w handlu zagranicznym, desygnowała na stanowisko sekretarza.

Wstydliwy to temat. W obecnej sytuacji w kraju — wybuchowy.

Intencja była w zasadzie chwalebna. Przyjeżdżają na Zachód ludzie wielkiego autoramentu, z pustą kieszenią. Z mężczyzmi to jeszcze pół biedy, gorzej kiedy przybywają z małżonkami, tragedia, gdy sprowadzają swoje konkubiny, którym chcą zaopiekować. Memu starenu wpadł do głowy pomysł zorganizowania w Londynie tajnego banku dyspozycyjnego dla tych panów, a ponieważ lebskich facetów u nas nie brak, pieniądze znalazły się. Mnie powierzono funkcję skarbnika i jednoosobowego dyspozytora tego nigdzie nie księgowanego konta złożonego z „provizji” placówek cichem gotówką przez kontrahentów. Ja łapówki odbierałem i krajowym oddelegowanym — według ustalonego klucza — w zamkniętych kopertach wypłacałem. Bez pokwitowania odbioru, żadnego śladu, stał Północniemni ufający sobie m się wo.

Na olimpiadzie w Monachium zafundowanej mi wielkodusznie przez niego za zaliczenie pierwszego roku mnie też było przyjemnie odebrać od przedstawiciela jego centrali kopertę z dwoma tysiącami Dmarek.

— Według moich wliczeń powinno być jeszcze jakieś dwanaście tysięcy funtów. Słyszysz mnie, dwanaście tysięcy!

Według moich wliczeń... Śmiesz się mnie jego nadęta mina. Chciałem jak najlepiej. W jego własnym interesie chciałem. To miał być mój wielki dzień, a że nie wyszedł... Po wydatkach na bransoletę dla Cheryl, na wspólne weekendy w Rzymie, Paryżu, Hamburgu, jeśli miałem odbudować bank, musiałem iść na całego; on na moim miejscu zrobiłby to samo, więc w czym rzecz?

Cheryl. Gdyby ona wiedziała, jakim źródłem siły jest dla mnie w tej chwili.

Zebrałem się w sobie.

— Powinno być, ale nie ma — odpowiedziałem spokojnie; nie chciałem awantury.

Odwrocił się gwałtownie od okna.

— Bez głupich żartów, Adam!

Pierwszy krok miałem za sobą. Teraz jeszcze pchnięcie docelowe i związać żagle zanim otrząśnie się z szoku.

— Nie mam ani funta, mówię poważnie. Zgralem się na koniach. Z kreteśsem się zgrałem. Na kilkanaście tysięcy...

— Ty złodzieju! — rzucił się na mnie. Chwycił mnie za kłapy marynarki. — Malwersancie pnieńszy państwowych, ja cię...

Matka utrzymuje, że jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Myli się matka: jego pięści są dwa razy większe od moich, ale co zabawne, nie balem się ich. Wzruszyłem ramionami. — Nie gorszy od ciebie i twojej zgrai — odparałem. — Te pieniądze były i tak kradzione.

Nie bałem się go. W domu, odkąd siegam pamięcią, jego niepoohamowana gwałtowność, zmienność nastroju paraliżowała domowników, z matką włącznie, dusiła w zarodku wszelką myśl sprzeciwienia się temu władcy naszych dusz, ostatecznej instancji, praw świętych dla całej rodziny, od których nie było odwołania. Nie bił nas. Nikogo nie uderzył, lecz mimo to matka czy ja, nie wylaczając jego ukochania, Renaty, nie byliśmy przy nim nigdy na luzie.

I nagle to wyzwolenie od strachu przed nim. Ogładeam lwa młotającego się w klatce. Lwa bez kłów i pazurów.

Śmieszna jest bezsilność. W Warszawie jednym słowem jest w stanie zrobić z przeciwnika galarete, swoich zwierzchników łasych na pohulanie za granicą ugnił w ulegie sobie ciasno. Wszystkie wysokie wrota przed nim otwarły. Wszystkie nieprzyjazne geby pozatykały.

— Nazwałś mnie złodziejem. Nie dbam o ładne słowa. Jestem złodziejem — syćłem się swoją bezkarnością. — Złodziejem kradzionego, a to nawet nobilituje. Z waszego prywatnego banku kradłem, w jaki ty i tobie podobni przekształciliście kraj, jak nie własną zachłannością, to głupotą. Bezdenna głupota.

— Każę ciś odwołać do kraju i postawię przed sądem! Koniec używania, ty...

Dobre sobie — on jest zdenerwowany. To bydlę, którego strach innych, napawał poczuciem siły, straciło pewność siebie. Rozpięła mnie radość. A jednak „Co to jest sprawiedliwość, ojciec?”. „Nie baw się ze mną w filozofię, za młodyś na to”. „Co to jest sprawiedliwość, ojciec?”. „Cholera jasna z tobą! Sprawiedliwość jest bzdura. Jest wzdychaniem głupich do księżycy, w naturze nie ma czegoś takiego. Sarna, której jagnię rozszarpał wilk, nie skarży się na niesprawiedliwość. Sprawiedliwa jest tylko siła. Siła, rozumiesz?”

Zaniosłem się śmiechem.

— Łajdaku, chciałeś powiedzieć, tak? Nie omyliłbyś się, jestem łajdakiem — syćłem się przewagą nad nim. — Jeżeli chcesz zasiać na ławie oskarżonych razem ze mną, proszę odwołać mnie. Nie zatailibym żadnego twojego świństwa, a znam wszystkie.

Przestało mnie to bawić. Wiem, co go tu przynęcało. Nie te parę tysięcy, których brak jest w stanie wyrównać jednym telefonem do swoich kontrahentów w Europie Zachodniej, powiazanych z nim tajnymi umowami. Kipiel nad Wisłą go przypędziła. Robole przestali się bać nadzorców, domagają się rozliczenia.

Cheryl na pewno dzwoniła do mnie nieobecnego w biurze i nie wie, co z wleczeniem. W nozdrzach miałem jej imponujące gniazdko pachnące Heleną Rubinstein. Gniazdko — a nest. Out there in the west... Przechwyciłem nagią myśl: Uwiemy sobie gniazdko. Na Zachodzie jest uwiemy. Nie rozumiem, jak — mając taką kobietę — mogłem się dotąd nie zdecydować. Szybko do Cheryl.

— Potrzebuję dalszych trzydziestu tysięcy funtów. Mam zobowiązania na piśmie, podjęte w imieniu firmy — siedziałem na całego — a w Anglii nie ma z tym żartów. Muszę je mieć jeszcze dziś. Trzydzieści tysięcy.

CDN.

Wolne od przejawów pruderi i zainteresowanie dla spraw seksu i życia erotycznego jest charakterystycznym znakiem obywatelskości dawnych Indii. Zainteresowanie to, tłumaczone między innymi swoistą bujną witalnością populacji hinduskiej, a zatem czynnikami biologicznymi i środowiskowymi, znajduje odzwierciedlenie już w najstarszych przekazach mitologicznych.

W epoce średniowiecza tradycyjnie obecny w kulturze indyjskiej seksualny symbolizm i śmiały erotyzm uległ znacznej intensyfikacji. Skrytykowane się bowiem wówczas wyobrażenie, iż cały wszechświat powstał w wyniku pewnego rodzaju aktu seksualnego, w efekcie cielesnego zjednoczenia się boga z boginią. W związku z tym niektóre sekty religijne wprowadziły rytualne stosunki płciowe jako szczególnie ważną formę kultu. Na murach świątyni rozpowszechniły się zaś śmiecie, realistycznie rzeźbione wizerunki par złączonych w intymnym zbliżeniu. Najświeższym zabytkiem takiej nasyconej erotyzmem rzeźby jest XIII-wieczna świątynia Surji, boga słońca, w Konaraku.

Szczególnie interesujący przejaw zainteresowania hinduskiego średniowiecza tajemnicami życia erotycznego stanowią traktaty dydaktyczne poświęcone sztuce miłości. Najstarszy z nich „Kamasutra” autorstwa Watsjajana Mallanagi, pochodzi prawdopodobnie z IV w. Wiemy jednak, że dzieła tego typu powstawały już wcześniej. Spośród traktatów późniejszych najbardziej znane są: „Ratirahasya” („Sekret miłości”) Kokkoki z XII w., „Pañcasajaka” („Piątka strzał”) Dżotirishwari z XIV w. oraz „Anangaranga” („Areny miłości”) Kaljanamalli z XVI w.

Pojawiające się w tytule dzieła Watsjajana słowo „kama”, oznacza rozkosz, przyjemność, rozumianą nie tylko erotycznie. „Kama” jako dążenie do osiągnięcia satysfakcji zmysłowych i przeżyć hedonistycznych stanowi — według tradycji hinduskiej — jeden z trzech głównych celów ludzkiego życia (dwa inne to: „dharma” — zdobywanie zasług religijnych i „artha” — osiągnięcie bogactwa uczciwymi sposobami). Cel ten wartościowano wprawdzie niżej od pozostałych, lecz powszechnie przyznawano mu pełną autonomię i prawomocność. Za najwyższą zaś spośród wszystkich dozwolonych człowiekowi przyjemności uznawano rozkosz płciową. „Kama” to także imię boga miłości, hinduskiego Erosa. Przedstawia się go jako urodziwego młodzieńca zaopatrzonych w luk, którego cięciwa tworzą pilane miodem pszczoły oraz w pięć kwiatowych strzał, wzniciających pożądanie. Jego małżonką jest bogini Rati (Rozkosz), symbolem — krokodyl, zwierzę faliczne, „wierzchowcem” — papuga. Towarzyszy mu kukłuka, zwiastunka wiosny. Boski Kama jest patronem „szczęśliwiejściu czterech sztuk” bezpośrednio bądź pośrednio związanych ze sztuką miłości — m. in. sztuki tańca, ubioru, zdobienia ciała, stosowania pachnidła, masażu. Pod jego opieką znajduje się też oczywiście sama „ars amandi”, w wersji hinduskiej wielce finezyjna, bogata w przeszczoty i pozycje o oryginalnych nazwach: „kropka”, „senur rubinów”, „zajęczy trop”, „rozszczepiony bambus”, „lotos”, „bączek”, „kołyska”.

Liberalny, swobodny stosunek Hindusów do spraw życia erotycznego („Kamasutra” miał studiować nawet dziewczęta, które nie osiągnęły jeszcze dojrzałości) sprawił, że dość tolerancyjnie odnosili się oni także do zjawiska miłości sprzedanej, prostytucji. Prostytucja w dawnych Indiach znajdowała się pod ochroną panujących władców. Od kobiet uprawiających nierząd pobierano podatek — dwudniowe zarobki w każdym miesiącu. Systematycznie kontrolując je, równocześnie chętnie korzystano z ich usług jako agentek tajnej policji. Pozycja społeczna prostytutek była mocno zróżnicowana. Obok nierządnic ubogich i taniach, działały kurtyzany zamożne, wykształcone, cieszące się sławą podobną do tej jaka była udziałem słynnych heter greckiego antyku — Aspazji czy Frynę. Taką kurtyzaną była Ambapali z miasta Wajśala, która, według legendy, gościła w swoim domostwie nawet samego Buddę. Niektóre „eleganckie” prostytutki stawały się stałymi konkubinami bogaczy i możnowładców. Osobną kategorię stanowiły „dewadasi”, prostytutki świątynne, przez Europejczyków zwane bajaderami. Rewanżowały się one mężczyznom swoimi wdziękami za ofiarowane bóstwu i jego kapłanom hojdy oraz datki pieniężne.

„Od stworzenia świata miłośnicy łącząc się z mężczyznami folgują namiętności i zdobywają środki do życia. Oddanie się z namiętności zwiemy przyrodzoną, zaś dla pieniędzy jedynie — wynaturzoną. Lecz i w tym drugim wypadku należy także stwarzać pozory, jakby o przyrodzone oddanie chodziło. A to dlatego, że mężczyźni ufają jedynie kobietom zakochanym. I aby to osiągnąć, należy okazywać brak zachłanności, nie próbować zdobywać środków dla zapewnienia sobie przyszłości innymi niż właściwe sposobami. Niechaj tedy miłośnica zawsze przyzodobiona na królewski trakt wygląda. Niechaj oglądania godna, lecz nie narzbyt obnażona będzie — niby towar sprzedany. (...) Mając odwiedzających wielu i codziennie duże korzyści, niechaj się miłośnica z jednym jeno nie łączy. Zwiążesz kraj, czas, sytuację, własne zalety i zadowolenie własne, a także to, czy mieni się być gorszą, czy lepszą od innych miłośnic, niech za noc zapłatę usiła” — tak pisze autor „Kamasutry” Watsjajana.

Dwaj inni starohinduscy autorzy — Damodaragupta i Kszemendra — poświęcili sprzedanej miłości całe traktaty, ujęte w formie lekcji, jakich doświadczone mistrzyni udziela młodej adeptce, ucząc ją panowania nad zmysłami, sercem i „siekawką kochanka: „Kut-tanimata” („Lekcje stręczycielki”) i „Samajamatrika” („Pouczająca matkę”). O twórcy pierwszego z tych dzieł, Damodaragupte, nie wiemy nic ponad to, iż żył w VIII w. i był ministrem jednego z królów Kasmiru.

Autor drugiego utworu Kszemendra (ok. 900—1065), także pisarz kasmirski, jest postacią o lepiej udokumentowanym życiorysie. Działal na dworze króla Ananty i jego syna Kalasi, był erudyta, człowiekiem o encyklopedycznej wiedzy, bardzo płodnym autorem popularnych skrótów klasycznych dzieł epickich („Mahabharaty”, „Ramajany”, „Brihatkathy”) oraz oryginalnych utworów poetyckich i prozatorskich, takich jak m. in. „Narmamala” („Girlanda żartów”, sa-

tyra na stan urzędniczy) i „Deśopadeśa” („Pouczenie o kraju”).

Bohaterką dzieła Damodaragupty jest piękna Malati z Benares, „klejnot pomędzy kurtyzanami, ucieleśnienie mocy boga miłości, cudowna dziewczyna o szerokim, kusząco wysklepionym tonie”. Warto pamiętać, że ideał urody niewieściej był w dawnych Indiach odmienny zarówno od klasycznych, jak i od współczesnych kanonów europejskich. Hinduska piękność to kobieta o grubych udach, szerokich biodrach i bujnych piersiach, za to bardzo szczupła w talii. Malati, usłyszawszy słowa pewnego przechodnia, iż nawet najsłodziej wyposażone przez naturę sprzedajne ślicznotki powinny uczyć się sztuczek i forteli zapewniających swobodne panowanie nad sercami kochanków, udaje się na lekcje do starej Wira-kali, niegdyś wspaniałej hetery, dziś — zręcznej stręczycielki. Mistrzyni przyjmuje adeptekę komplementami:

— Twoja kibić jest tak kształtna i zgrabna, że swym widokiem najbardziej opornych może zmusić do wykonywania rozkazów boga miłości i pogryźć ich w śmiertelny zapamiętaniu. Zarysowana na twym wspaniałym tonie złotawa linia owłosienia jest jak cięciwa łuku, z którego bóg miłości wypuszcza strzałę, raniąc w sposób nieuleczalny. (...) Twoje bujne łono zachwyca jak złoto-srebrna tka i czaruje mężczyzn swym magicznym wdziękiem

Hinduska piękność — to kobieta o grubych udach, szerokich biodrach i bujnych piersiach, ale za to bardzo szczupła w talii.

Jak uczono sztuki miłosnej w dawnych Indiach

TOMASZ MISIAK

tak mocno, że może wzbudzić śmiertelny płomień miłości nawet w zimnym sercu najbardziej światobliwego z ascetów.

Stwierdza jednak, że chcąc osiągnąć w sztuce sprzedanej miłości sukces — tzn. zdobyć majątek — warto skorzystać z mądrości osoby doświadczonej i oprzeć się w postępowaniu na jej radach.

Na czym polega sekret sukcesu w profesji kurtyzany? Przede wszystkim na wyborze odpowiedniego kochanka — bogatego i wpływowego, lecz zarazem niezbyt inteligentnego, zaślepionego wysokim mniemaniem o samym sobie. Takiego mężczyznę sprytna „pośredniczka miłości” powinna — pochlebstwami i złecznym zachwalaniem — zachęcić do posmakowania miłosnych delikcji. Najlepiej, by przekonała go, iż hetera jest autentycznie zakochana, że wręcz choruje z niezapokojującej namiętności, odpierając jednak z kwitkiem wszystkich innych adoratorów.

Kiedy amant zjawi się już w domu rozkoszy, dziewczyna powinna przywitać go wstając, składając ukłon, odstępować mu swoje miejsce i frezdlą szaty ścierać pył z jego stóp, tak, aby mimochodem ukazać „kuszące wdzięki pacy, brzuch, ramiona i pierś”. Następnie inicjatywę przejmie rajfurka, która zaprowadzi kochanka do miłosnej alkowy, oświetlonej złotymi lampami, ozdobionej kwiatami, wypełnionej wonią kadzideł i perfum, wyposażonej w kuszące łożo osłonięte okazałym baldachimem. Tam, po dokonaniu niezbędnych ustaleń, pozostawi mężczyznę sam na sam z jego wybranką.

A oto jakich rad udziela swojej słuchaczce mistrzyni, jeśli chodzi o przebieg miłosnego preludium i doprowadzenie do spełnienia:

„Kiedy rajfurka wyjdzie, zabierając ze sobą służącą, a kochanek sechne się do ciebie zbliżyć — odgrywaj przez chwilę skromność. Widząc, że piorunuje cię rozplamienionymi spojrzniętami i z trudem już panuje nad sobą — broń się troszeczkę przed jego atakami, odpięraj piszczoty, nie dopuszczaj go od razu do swego łona. A kiedy w końcu pozwolisz mu podjąć miłosną igraszkę — pokaż, że rozrastająca namiętność odbiera ci rozum, mowę i dech w piersiach, po czym oddaj mu się cała, bez granic. Bacz tylko, by wszystko — miłosne ogledziny, klapy czy masowanie — odbyło się w swoim czasie, nie za prędko, ale i nie za późno. Niech popłyną z twej krtani krótkie, płomienne westchnienia niemocy, niech włoski na twym ciele zjeżdżają się, a ono samo niech pokryje się potem. Niech, pobudzając do dalszemu roznamietaniu samca, towarzysząc jego kłopotom roznamietanie chrząknięcia. Gdy jego awargi będą cie ssać — wydawaj gardłowe, nieartykułowane okrzyki, gdy jego paznokcie będą szarpać twoje ciało — sycz boleśnie, gdy jego dłoń wymierzy ci klapsa — jęcz! Łącz wszystkie te dźwięki w jeden miłosny hymn z harmonijnym naśladowaniem odgłosów ptaków i zwierząt. Dodaj słowa jęklliwe i niewyraźne, niech zabrzmią namiętnie, szamotliwie skargą: «Nie tak mocno, nie tak mocno, bezlitosny potwór! Nie wytrzymam, daj mi chwilę wytchnienia!».

furką, z której będzie wynikało, iż powodowana miłością wciąż odrzuca likier, wielce lukratywne propozycje innych mężczyzn. Wówczas kochanek popadnie w miłosne zaślepienie, pozwoli omotać się bez reszty i przekonany o bezinteresowności wybranki roztrwoni na jej kaprysy całe swoje mienie. Gdy to nastąpi, należy z nim zerwać, aby poszukać sobie nowej ofiary. Taka jest normalna kolej rzeczy.

Utwór Kszemendry, rozpoczynający się poetką inwokacją do boga Kamy, to opowieść o kurtyzanie imieniem Kalawati, „jaśniejącej urodą silniejszą niż promień księżyca na wieczornym niebie”. Ma jona kłopot — nagle zmarła jej opiekunka („mateczka”), zaś tam, „gdzie brak zręcznej rajfurki bróbra najpierw, czujna jak tygryś, czyha na kochanków, a potem skrzętnie liczy, co jedzą, co piją i ile płacą”, klienci stają się szybko nadto zuchwali. Przyjacieli, uliczny cyrulik Kanka, poleca Kalawati nową opiekunkę, kobietę o przebogatym, awanturczym życiorysie, „wspaniałe babisko, któremu nieobce jest żadne oszustwo, złodziejstwo ani kurewstwo”. Nowa rajfurka rozpoczyna pracę od udzielenia podopiecznej szeregu rad. Między innymi powiada:

— Tak, są na tym świecie różni ludzie, także na tyle głupi, że chyba w ogóle nie mają zwyczaju myśleć. A raczej — myślą wciąż, ale tylko o żarciu, chlaniu i pospiesznej obłapce. Zaniedbując wszystkie inne sprawy, przez całe swoje życie nie mają w głowach innych problemów, jak tylko smarowanie gardła i zatapanie kufasa w babiskim przyrodzeniu. I ci właśnie głupcy walą do nas jak w dym, bez opamiętania, nie wiedząc, iż po solidnej obróbce nie śniemy nigdy o niczym innym, jak o tym, aby ich zgubić, wyssać do cna i zniszczyć im przyszłość. Tak więc, moja najdroższa córko, młodość możesz pożytkować na przedsięwzięcia różnego rodzaju, bylebyś pamiętała o tym, że trzeba wciąż szukać jeleni i brzo pod opiekę ich trzozy.

Udzielając uczennicy lekcji taktyki miłosnej, mistrzyni wylicza osiemdziesiąt form męskiej miłości (m. in. miłość byka, ogiera, kameleona, labednia, wróbla, szaleńca, upiory) i charakteryzuje je pokrótce od strony — jak powiedzielibyśmy współczesnym językiem — psychosocjologicznej. Wiedza na temat oddziaływań miłosnego temperamentu mężczyzny ma ułatwić młodej kurtyzanie dowolne zjednywanie sobie kochanków i rozbywanie się ich w stosownej chwili.

Po teorii przychodzi kolej na „sprawdzenia praktyczne”. Pojawia się odpowiedni amant — młody, naiwny, bogaty syn kupiecki, który w toku przeprowadzonej przez Kalawati, jej rajfurkę i lebskiego cyrulika intrygi zostaje pozabawiony nie tylko posiadanych kosztowności i gotówki, ale i spodziewanego spadku po ojcu. Wzięty na lep urózków pięknej nierządnic, po krótko trwającej siłance zmuszony jest opuścić dom rozkoszy jako nędzarz.

Stosunek dawnych Hindusów do sprzedanej miłości wydaje się dziwnie niejednoznaczny, ambiwalentny, podobnie jak stosunek do kobiety, która według określenia A. L. Bashama, „była zarazem bóstwem i służką, świętą i ładaczką”. Prostytucja, chociaż w swoisty sposób szanowana i sławiona, była też niejednokrotnie surowo potępiana. Ostrzegano przed niebezpieczeństwami, jakie mogą wynikać z kontaktów z kurtyzanami — wokół prostytutek nierazko gromadziły się ludzie żyjący na granicach bezprawia: złodzieje, oszuści, rzeźmienszki; posunięto się nawet do stwierdzenia, że zabójca prostytutki nie popełnia zbrodni i nie powinien być ścigany przez prawo.

Niejednoznaczność wymowę mają też — widziane z dzisiejszej perspektywy — traktatki Damodaragupty i Kszemendry. Tyleż w nich moralizatorskiego potępienia dla pięknych kurtyzan, ile podziwu dla ich urody i... przebiegłości. „Jak dobry poeta słowem — pisze Kszemendra — tak hetera operuje wdziękiem”.

Spoglądając na utwory Damodaragupty i Kszemendry z perspektywy kilkunastu stuleci i innych całkiem tradycji kulturowych, możemy śmiało, jak się wydaje, odrzucić moralizatorski, a przyjąć czysto literacki punkt widzenia. Wówczas niechybnie zwrócimy uwagę na rozliczne „smaczki” tych śmiałych obyczajowo arcydzieł: na język poetycki i subtelny, choć gdy trzeba niewolny od dosadności, na kunsztowne, przechodzące od liryzmu do pikanterii opisy urody niewieściej, na pełne raz komizmu, kiedy indziej znowu ironii czy sarkazmu anegdoty i facecje, na celne spostrzeżenia i oceny odnoszące się do ludzkiej, czytaj: męskiej natury. Oczywiście obok plusów są i minusy — wąta i schematyczna fabuła, narzbyt nlekiedy mentorski ton. Jednak przenikająca całość aura egzotyki i erotyki skutecznie tuszuje wszelkie słabości tekstu, czyniąc ze starohinduskich traktatów o kurtyzanie pełną uroku lekturę także dla współczesnego czytelnika.

OD REDAKCJI. Traktaty Damodaragupty i Kszemendry w przekładzie K. Zagórskiej i T. Misiaka ukaza się niebawem nakładem Wydawnictwa „RES POLONA”



Mys. Janusz Szymański-Glanc



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporter-
skiego dyktanda wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników,
którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcyj-
nuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czy-
telnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw które
utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

10 maja — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

Zachować ich dla pamięci

Dyrektorzy

Założycielem i pierwszym dy-
rektorem zgierskiego Gimna-
zjum był Stefan Teofil Pogo-
rzeński. W 1924 roku, gdy od-
szedł do pracy w łódzkim ku-
ratorium, jego miejsce zajął
Zygmunt Władysław Łazarz —
syn Michała i Karoliny z Sa-
barów. Wiadomo o nim, że był
zapalonym szachistą i przy-
zwolonym człowiekiem. Zmarł w
Zgierzu w 1935 roku. I to —
niestety — wszystko, co o nim
wiadomo.

Mało też wiadomo o trzecim
dyrektorskim zgierskiego Gimna-
zjum. Był nim Władysław Mich-
na. Urodził się w Wysokiej,
leżącej w powiecie Łanckim. U-
kończył studia na Wydziale fi-
lologicznym Uniwersytetu Ja-
giellońskiego. W czasie pierw-
szej wojny światowej walczył
w armii austriackiej, dostał się
do rosyjskiej niewoli i znalazł
się na Syberii. Wstąpił tam do
5 Dywizji Syberyjskiej Wojska
Polskiego. W 1920 roku powró-
cił do Polski.

Powrócił zakażony tyfem.

leżał w obozie izolacyjnym w
Deblinie. Później wyjechał do
Wrocławia, gdzie uczył języka
polskiego w tamtejszej szkole
średniej. Gdy w 1933 roku sta-
nowisko dyrektora Gimnazjum
im. Stanisława Staszica w Zgie-
rzu opuścił Zygmunt Władysław
Łazarz, Władysław Michna zajął
jego miejsce. Sprawował to sta-
nowisko do 1939 roku. W listo-



Władysław Michna

KOBIETY SA... ODWAŻNIEJSZE

Jak zwierzył się „Dzienniko-
wi Łódzkiemu” Zbigniew Mróz
ze sklepu z bronią gazową i
sax-towarem, kobiety są od-
ważniejsze. Przychodzą do skle-
pu z gotowym zamiarem kupie-
nia tego, co chcą kupić. Nato-
miast mężczyźni kluczą, niby
to oglądają broń, wychodzą, a
później kupują to, co sobie
wcześniej upatrzyli.

Interes się rozwija. „CA-
MAX”, który takie sklepy pro-
wadzi, zamierza założyć je po-
za Łodzią. Nie boi się umiar-
kowanej konkurencji.

„Camaxowi” życzymy powo-
dzenia, a panów wzywamy: —
Więcej odwagi!

ZENEK P.

padzie 1939 roku aresztowali go
Niemcy i umieścili w obozie w
Oświęcimiu, a następnie prze-
býwał w obozie w Dachau i
Mauthausen-Gusen. Powrócił
chory. Zmarł w 1949 roku.

Byłoby pożytecznym, gdyby
życiorysy zgierskich nauczycieli
można było uzupełnić. Może
ktoś w tym pomoże?
BOGDA BEJM



Zygmunt Łazarz

Kto się z czego
może śmiać?

Horodniczy w znanej „sztuce
Nikolaja Gogola „Rewizor”
zwraca się do widowni z pyta-
niami — Z kogo się śmieciecie?
Z samych siebie się śmieciecie.
— Tak śmiech z samych siebie
jest zdrowy, oczyszczający. Ale
są ludzie, którzy nie lubią, gdy
się z nich śmieje. Ostatnio nie-
którym bardzo się naraziła
Olga Lipińska inicjując nową
edycję znanego, popularnego i
lubianego kabaretku. Profesor
dyktando Z. Lipiński ze Szcze-
cina zażądał, aby Olga Lipińska
przesłała „kompromitować
współnie (niestety) nazwisko”.
Wielu krytykom kabarecki Olgi
Lipińskiej bardzo się nie podo-
bał. Okazuje się, że nowa wia-
da jest nie tylko poza kryty-
ką, ale i poza żartami. Satyry-
cy będą mieli teraz ciężki los.
Przypominam jednak, że był

już taki czas, kiedy najbezpie-
czniej było kpić z imperiali-
stów i kelnierów. I jak się
skończyło?

ZENEK P.

Dziewczyna spotkana
o zmierzchu.

Nie wiem kiedy, ani jak to się
stało, ale od miesiąca wciąż o
niej myślę, widzę wokół jej
oczy marzącą, zmysłową, obie-
cującą i chłodną. Niebieskie z
odcieniem zieleni. Kiedy na
mnie patrzy, odnoszę wrażenie,
że widzi mnie podwójnie, tego
kogoś już poznała i tego kto-
rego dopiero pozna.

Czy to znaczy, że ją ja ko-
cham? Kocham życie tak jak
leci, dzień po dniu, w słońce
i pogodę. Cieszę się każdą jego
chwilą, nawet kiedy przynosi
mi ból. A ona jest piękna.

Piękna jak życie. Powabna,
smaczna, pachnąca.

Myslałem, że mam to już za
sobą, pomyliłem się. Okazuje
się, że, żeby kochać wszystko
to co nas otacza, świat w któ-
rym żyjemy, wstąpić w ten, w tę
bezbolesność, można tylko przez
tę małą miłość, do dziecka,
do dziewczyny, do kochanki, żony,
matki, ojca. Kto nie odczuje
jej w sobie za młodu, ten ni-
gdy do tej wielkiej miłości nie
trafi.

Nareszcie dotarłem do sedna.
nie wrócę tam dokąd nie po-
ra mi wracać i nie dlatego, że
się tego powrotu boję, nie nie,
mam dość odwagi i tyleż roz-
sądku, by dla tej wielkiej mi-
łości wyrzec się tej małej.

Wczoraj zobaczyłem nie tylko
jej oczy, zobaczyłem ją całą,
przyszła do mnie znikąd, była
smutna, a ja jej wcale nie po-
cieszyłem.

KAROL OBIDNIAK

Spotkałem znajomego.

— Niebezpiecznie i drogo jest podróżować
kolejnymi — powiedział zamiast powitania.

— Dlaczego?

— Nie tak dawno temu podróżowałem. Ku-
piłem bilet drugiej klasy, ale zapragnąłem je-
chać wygodniej, pierwszą. Zgodnie z regula-
minem zgłosiłem to konduktorowi. Nie mogąc
doczekać się jego wizyty ułożyłem się wygod-
nie w pustym przedziale i zasnąłem. Sen mia-
łem czujny, skoro obudziło mnie otwieranie

Koleją bywa drogo i niebezpiecznie

drzwi. To usłuszny konduktor zawiadomił mnie,
że niebawem przyjdzie. Wyjąłem więc z torby
szaszetkę, położyłem ją na stoliku pod oknem
i... znów zasnąłem. Obudziłem się ze świad-
omości czegoś znikającego. Okazało się, że
chodziło o moją szaszetkę z dokumentami i
pieniężkami.

— Dużo tego było?

— Trochę, ale innym zginęło więcej.

— Skąd wiesz?

— Konduktor mi to opowiadał.

Calkiem niedawno podróżowałem do stolicy
służbowo. Kupiłem nieopatrznie bilet tylko
w jedną stronę. Z rozkładu jazdy dowiedziałem
się, że „Telimena” jest „częściowo z miejsca-
mi rezerwowanymi”. Bez niepokoju wsiałem
do drugiego w kolejności wagonu, wykazując
zadowolenie ze znalezienia wolnego miejsca.
Zadzwoniłem moją szaszetkę zamieniając się w nie-
pokój, jak zaczęli się pojawiać pasażerowie z
miejscówkami i usuwać z miejsc tych bez
miejscówek. Powrócił jednak, gdy pociąg tu-
szyl. Błogi nastrój rozwił konduktor. Na jego
pytanie o miejscówkę nie mogłem odpowie-
dzieć twierdząc. Zaproponował zapłatę za
nią. Zaproponowałem opuszczenie miejsca. W
odpowiedzi na to konduktor stojąc w drzwiach
poinformował: — Miejsca opuszczać nie wolno,
trzeba za nie zapłacić.

— Skąd miałem wiedzieć, że ten wagon jest
z miejscówkami? — spytałem głupio.

— Na wagonie jest numer.

— Jaki?

— 43.

— I co to oznacza?

— Ze jest z miejscówkami.

Na Dworcu Centralnym na 5 minut
przed odjazdem pociągu, nie pozostało nic
innego jak — wraz z niemałym tłum-
kiem niezadowolonych ludzi pobiec na peron,
gdzie stał już pociąg do Łodzi i konduktor
rozdał druczki z „poświadczaniem o zgło-
szeniu braku ważnego biletu na przejazd”.

— Ile to będzie kosztowało? — spytałem z
nadzieją w głosie.

— Dodatkowo pół normalnego biletu — od-
powiedział zadowolony konduktor.

— No więc, ile cię to kosztowało?

— Nic.

— Jak to nic?

— Nie znalazł mnie — odpowiedział złośli-
wie szaszetka zaby.

JERZY CECHOWSKI



Jarosław Grzelka

Punkt widzenia.

Może ja się wtrączę

W ostatnich dniach na łamach „Dziennika
Łódzkiego” poprowadzona została, przez pod-
pisującego się pseudonimem „Jerg” publicystę,
kampania zarówno przeciwko władzom Polite-
chniki Łódzkiej, jak i organizacji zwaną
„Solidarność” w tej uczelni. Autor chce wyka-
zać, jak fatalnie zachowała się Politechnika
jako całość w sprawie obecnego wiceprezden-
ta miasta Łodzi p. mgr. inż. Grzegorza Palki w
okresie stanu wojennego.

Mimo że moje nazwisko nie padło w tej —
zupełnie dla mnie nie do przyjęcia — polemice,
czuję się w obowiązku oświadczyć, że za
prowadzoną w 1984 roku w Senacie Politechniki
Łódzkiej walkę o powrót p. Grzegorza Palki do
pracy w uczelni odpowiadam ja, a nie wywołani do tablicy z imienia i nazwiska
panowie Władysław Kotelko i Marek Golu-
biewski. Przyjmując odpowiedzialność, biorę
również na siebie odium za negatywny wynik
naszych starań. Tak więc — od strony Związ-
ku — to ja powinienem się wstydić, a nie
panowie Władysław Kotelko i Marek Golu-
biewski.

Jeżeli już operujemy nazwiskami, przyjemnie
by mi było dowiedzieć się, kto się ukrywa
pod pseudonimem „Jerg”, którym sygnowane
były oba artykuły w „Dzienniku Łódzkim”.
Może on jeszcze nie wie, ale stan wojenny jest
już skończony i chyba nie wypada występować
w tej sprawie, bądź co bądź — o przynajmniej
w roli ukrytego za drzewem snajpera, który na-
wet nie bardzo wie do kogo powinien strzelać.

W czasie kiedy rozgrywały się boje o po-
wrót pana Grzegorza Palki na uczelnię, byłem
najstarszym z przedstawicieli pomocniczych
pracowników nauki do Senatu PE i wziąłem
na siebie obowiązki koordynowania całej ak-
cji, prowadzonej na terenie Senatu przez ko-
legów związkowych. Akcja była, znalazła swoje
odbicie w protokołach z trzech kolejnych po-
siedzeń, nie przyniosła jednak pozytywnego re-
zultatu. Mogłbym złożyć wszelkie wyjaśnienia,
ale wobec tonu, w jakim atakowana jest Polite-
chnika przez anonimowego prokuratora, nie
mam zamiaru się z niczego spowiadać. Nie
nazywam się Azor ani Burek, któremu wszadza
się nos w to co napaskudził i monituje: —
Przepraszam Pana!

Gdybym spotkał pana Grzesia na uczelni,
gdzie intensywną pracą naukową stara się na-
robić stracony czas, to bym może i przeprosił
za moją nieudolność, która go tyle kosztowała.
Ale prezydenta akurat łatwiej przeprosić niż
nie przeprosić.

Byłem współautorem oświadczenia Komisji
Zakładowej „Solidarności” w PE wydrukowa-
nego w „Dzienniku Łódzkim” i to ja upierałem
się przy stwierdzeniu, że pan Grzegorz Palka
nie ma wiele wspólnego z artykułem anonim-
owego „Jerga”. I nadal się przy tym upieram,
chociaż już słabiej.

Uważam, że „Solidarność” PE w sprawie
pana Palki zrobiła bardzo dużo. O ile mi wia-
domo, to właśnie p. Władysław Kotelko zor-
ganizował akcję podpisów o uwolnienie go z

więzienia, natomiast kto organizował akcję
pomocy finansowej dla rodziny — tego nie
wiem, bo się nie chwalił. Sprawa pana Grze-
gorza nie była w owym czasie jedyną, którą
należało się zająć. Jedne akcje się udawały,
inne nie. Do tej pory nikt z zajmujących się
tymi sprawami nie czekał na podziękowania,
jak również nikt z tych, w których sprawie
nie udało się nic zdziałać, nie wysyłał sekun-
danta z żądaniem przeprosin. Ufano sobie, że
każdy zrobi to, co będzie mógł. To była inna
anonimowość niż obecnie pana „Jerga”.

Sądze, że wobec wysokiego stanowiska, ja-
kie obecnie zajmuje pan Grzegorz Palka, spo-
łeczeństwo Łodzi powinno być w pełni poin-
formowane i znać stanowisko wszystkich stron.
Nieminiejsze nie może się to odbywać w ten
sposób, że ktoś stoi za parawanem i bez żad-
nej osobistej odpowiedzialności mota intrzygę.

Oświadczam, że w tej sytuacji żadnych wy-
jaśnień nie złożę ani nie będę odpowiadał na
żadne zarzuty. Jeżeli „Jerg” odkryje twarz,
mogę stanąć nawet przed kamerami telewizji
i pogwarzyć z nim o tych ciekawych sprawach.
Przypuszczam, że ówczesny rektor prof. Jerzy
Kroń również nie miałby nic przeciwko temu.
To byłoby nawet bardzo zabawne.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI
(st. wykładowca w Politechnice)

OD REDAKCJI. Nie jest to jedyny przypadek ata-
kowania w gazecie ludzi z imienia i nazwiska przez
osoby ukrywające się pod pseudonimem. Poza tym
od lat na łamach „Głosu Robotniczego”, a teraz na
łamach „Głosu Porannego” jeden z dziennikarzy pod-
pisuje swoje teksty literkami Jerg. Wszystko wskazu-
je, że jest to „Dzienniku Łódzkiego” i Jerg z
„Głosu Porannego”, to nie ta sama osoba. W stosu-
waniu kryptonimów też powinna obowiązywać jakaś
zasada i... dobre obyczaje.

Rozmyślenia pani woźnej.

Nóż

1. Gdy gromadziło się dostatecznie dużo pta-
ków, Lech dawał mi znak, żebyśmy wypuścili
węgielnia. Wzbił się do góry, szczęśliwy i wol-
ny, kropka tęczy na tle chmur, po czym wla-
dywał w czekające brunatne stado. Przez mo-
ment ptaki były zbite z tropu. Malowany ptak
krążył z jednego końca stada na drugi, daremnie
próbując przekonać krówników, że jest jednym
z nich. Ale ci, oszołomieni jaskrawymi kolorami,
przyglądali mu się z niedowierzaniem. Gdy
uporczywie usiłował zająć miejsce w szy-
ku, spychali go coraz dalej i dalej. Wkrótce
widzieliśmy, jak kolejno odrywają się od sta-
da i atakują go zawzięcie. Jeszcze chwila i
wielobarwny kształt zaczynał tracić wysokość
i spadał na ziemię. Takie sceny rozgrywały się
często. Kiedy w końcu odnajdywałem malowa-
ne ptaki, zwykle nie były. Lech dokładnie
ogłądał i liczył otrzymane przez nie ciocy. Z
barwnych skrzydeł syczała się krew, zmywa-
jąc farby i znacząc ręce łowcy.

2. To w zasadzie główna scena powieści Jerze-
go Kosińskiego „Malowany ptak”. Zawiera
swoim przesłaniem i wnioskach wszystko, co
Kosiński chciał powiedzieć o nienawiści i
zbrodni. „Malowanego ptaka” nie znać nie wy-
pada; powieść krąży po czytelnikach, w biblio-
tece jej nie uswiadczysz, trzeba się zapisać
na listę kolekcjonistów. Modny „Malowany
ptak”. Poprzedzony w latach sześćdziesiątych
propagandą nagonki, że to powieść antypol-
ska. Obiecał, bez przesady, cały nieomal świat,
humaczony na trzydzieści języków, łączny na-
kład ponad trzy miliony egzemplarzy, głosz-
ąc pozycję naszego czasu.

3. O „Malowanym ptaku” słyszałem przeróżne
uważi, opinie, zdania. Jedne wypowiadane
głośno, na użytek publiczny. Drugie, szeptan-
e, wprost do ucha, na użytek prywatny.

Wspaniała literatura, coż za pióro, mistrzo-
stwo formy, symbolika, przeobrażająca wizja
świata — to głośno.

Najbardziej amoralna książka, jaką w życiu
czytałem, wymierzona przeciwko wszelkim za-
sądom i dekalogom, dokumentacja psychopaty
o okrucieństwach, zbrodniach, zbroczeniach, sa-
dizmach, zwyrodnieniach. Kalająca wiarę, re-
ligię i Kościół. Hańba dla nas, Polaków. Tak-
kie książki nie powinno się wydawać; to po-
liczek wymierzony w nasz naród. Cynizm po-
sunięty do perfekcji; uczynił jedynym spra-
wiedliwym i ludzkim Niemcem, który zamiast
zabić, wykonać rozkaz, wypuszcza na wolność,
daje życie.

4. To prawda, że powieść Kosińskiego czyta
się z narastającym protestem w gardle i to-
mtem serca, zamierzającym od przerażenia.
To prawda, że jest to od początku do końca
opowieść symboliczna o „wizji świata, opa-
nowanego przez impuls niszczycielski”, pogażo-
nego w totalnej zbrodni i totalnej nienawiści,
„bunkier wypełniony mordującymi się szcze-
rami bez nadziei ucieczki”. To też prawda, że
jedyna, mniej więcej ludzka twarz, twarz znu-
żona, twarz zmęczona należy do prostego nie-
mieckiego żołnierza; który według przyjętych
schematów powinien mieć twarz mordercy i
bestii. To też prawda, że Kosiński, wprowadza-
jąc wielość postaci, poza tą jedną, nie wpro-
wadza żadnej innej, która nie wzbudzałaby
protestu i odruchu przerażenia.

5. Przypominam sobie pewne spotkanie autor-
skie z zeszłego roku, na którym — już w
trakcie tzw. dyskusji — wstała młoda dziew-
czyna i powiedziała mniej więcej tak: — Żyje-
my w czasach, które śmiało można nazwać od-
humanizowanymi. W takich czasach moralna
rola pisarza i jego dzieła praktycznie równają
się zeru. Sienkiewicz, gdyby żył teraz, i wy-
skoczył ze swymi trylogiami, pisanymi ku po-
kolepszeniu serc, wypadłby na zwykłego idio-
tę. Różne pokrzepienia serc i temu podobne
historijki zwyczajnie się przeżyły, albo, ina-
czej ujmując, nie wytrzymują konkurencji z
literaturą komiksową, gdzie gwałt i przemoc. O-
czywiście, zaistniał casus Isatury, białej niewol-
nicy, ale to sukces raczej wątpliwy intelek-
tualnie, dowodził nie tyle potrzeby serc, co
prymitywizmu odczuwania. A przecież pisarz
musi w jakiś sposób docierać do czytelnika.
Moim zdaniem — jako czytelnika właśnie —
pisarz powinien nim brutalnie potrząsnąć.
Obrazić nawet. A nawet wbić nóż w jego su-
mienię.

6. Pod symbolem zbrodni i nienawiści, jakim
posługuje się Jerzy Kosiński w „Malowanym
ptaku”, można by w każdej chwili podłożyć
działające się rzeczywiste fakty. Najbardziej —
jeśli już skorzystam z określenia swego zna-
jomego — „amoralna” fikcja pozostaje tylko
i wyłącznie fikcją literacką; życie jest nie-
stety, bogatsze w swoich możliwościach czy-
nienia zła od wyobraźni pisarza. Nawet tak-
tego jak Kosiński. Bo w moim osobistym odbio-
rze i odczuciu „Malowany ptak” będąc opo-
wieścią o motorze życia; nienawiści, jest w
swoim założeniu, w swojej antytezie opowie-
ścią przeciw nienawiści. Jest głębokim woła-
niem do ludzi o przerwanie tego pochodzą zła
i zbrodni, który wciąż sunie i sunie przez
świat. Jest głębokim moralitetem w obronie
dobra, które w człowieku powinno przeważać i
zniszczyć zło. Siła tej opowieści Jerzego Ko-
sińskiego to właśnie nie innego, jak ów „nóż,
wbijany w sumienia” czytelników.

Przynajmniej w moje wbił się mocno i ka-
zał zastanawiać się nad sensem życia.

EWA OSTROWSKA

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

ZAGŁADA ŻYDÓW W SZYDLÓWCU

W styczniu 1940 r. zaczęto organizować dzielnicę żydowską na północy Łodzi, „getto”. W skład jej wchodziły okolice ulic Łagiewnickiej, Brzezińskiej i Bolesława Limanowskiego.

Niektóre rodziny żydowskie próbowały wydostać się z Łodzi, mając się różnych sposobów, aby przedostać się do „Generalnego Gubernatorstwa”, gdzie panowała jeszcze względna swoboda. Przy pomocy harcerzy z „Szarych Szeregów” (8 i 18 ŁDH) opuściło Łódź kilka rodzin żydowskich, próbując się przemieścić do Warszawy, miast i miasteczek Kielecczyny, na Lubelszczyznę i inne tereny. Niektóre z tych rodzin zatrzymały się w małym miasteczku Szydłowcu, odległym o 30 km na południe od Radomia i 15 km na północ od Skarżyska Kamiennej. Przed rokiem 1939 ludność miasteczka wynosiła 11 tys. osób (w tym 7.200 Żydów). Ludność żydowska zajmowała się handlem, rzemiosłem i garbowaniem skór. W okresie wojny liczba mieszkańców wydatnie wzrosła, ponieważ znaleźli w nim schronienie Żydzi — uciekinierzy z Łodzi oraz Polacy wysiedleni z Obornik połączonych.

W czerwcu 1941 r. z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej mieszkający w Szydłowcu Żydzi odzyskali nadzieję na przeżycie. Lecz wiosną 1942 r. Niemcy uznali Szydłowice jako „otwarte getto dla Żydów”. Dzielnicę żydowską nie została otoczona murem ani drutem kolczastym.

Względna swoboda „otwartego getta” trwała zaledwie do jesieni 1942 r. W nocy z 22 na 23 września 1942 r. Szydłowice zostały otoczone gęstym kordonem Ukraińców w służbie niemieckiej, żandarmerii niemieckiej i policji granatowej. Spędzano Żydów na plac koło rzeki miejskiej. Zginęło około 100 Żydów, przeważnie starzy i niedołężni (chorzy). Z placu kolumnami liczącymi około 1000 osób popędzono ich pod eskortą na odległą od miasta stację kolejową. Załadowano grupami do wagonów towarowych. Wysłano do obozów zagłady w Majdanku i Treblince. W czasie przejścia do stacji kolejowej przez las kilku młodym chłopakom udało się uciec z kolumny. Wysłano wówczas na zagładę 16.300 Żydów.

19 grudnia 1942 r. sprowadzono do Szydłowca ponownie około 5000 Żydów, umieściwszy ich tym razem w północnej dzielnicy miasta na przedmieściu Podzamcze. Przesłano tam osiedlono drutem kolczastym.

W piątek 8 stycznia 1943 r. getto zostało ponownie otoczone kordonem policji granatowej i żandarmerii, do których w niedzielę, 11 stycznia dołączyły uzbrojone formacje ukraińskie. W środę, 13 stycznia 1943 r. rozpoczęło się ponowne wysiedlanie i likwidacja getta żydowskiego.

Masowej likwidacji Żydów dokonano w Szydłowcu jeszcze po raz trzeci. Była niedziela, 21 marca 1943 r. Spotkałem się z kolegami po porannym nabożeństwie na ulicy. Ktoś zauważył, że od strony Radomia nadjechał samochód niemiecki, a za nim drugi i trzeci. Samochody skręciły w wąską uliczkę prowadzącą pomiędzy starymi cmentarzami żydowskimi. Odróżniono wnętrza samochodów, a znajdujących się w nich więźniów popędzono w kierunku nowego cmentarza żydowskiego. Wykorzystując krótkie zamieszanie udało się kilku Żydom wyskoczyć z ciężarówki i zniknąć pomiędzy zabudowaniami ulicy Jastrzebskiej. Pościg, zorganizowany dość niemiarko nie dał rezultatów. Całą grupę popędzono na nowy cmentarz żydowski i tam wybito ją ogniem karabinów i pistoletów maszynowych.

MIECZYSLAW KOZAK

JAK PRZECIWDZIAŁAĆ BEZROBOCIU?

„Dziennik Łódzki” z 19.04.1980 r. podał informacje o 30 tysiącach bezrobotnych, zarejestrowanych w województwie łódzkim, piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim. Nie jest to jednak liczba odzwierciedlająca faktyczne bezrobocie. Bezrobotnym jest nie tylko ten, kto pozostaje bez pracy, jest zarejestrowany w urzędzie zatrudnienia i korzysta z „zasiłku dla bezrobotnych”, ale również ten, kto formalnie będąc zatrudnionym, zmuszony jest pracować cztery dni w tygodniu (wolne płatki i soboty), wykorzystując urlopy wypoczynkowe lub korzystać z urlopów bezpłatnych i w rezultacie otrzymuje on zasiłek dla bezrobotnych w formie miesięcznego wynagrodzenia. Sytuacja taka zastąpiła jako rezultat wprowadzenia w życie reformy gospodarczej, która rozwijała zasłone dynamicznej, szalenie spowijająca dotychczasową gospodarkę socjalistyczną. Z perspektywy kilku miesięcy należy stwierdzić, że nie przewidziano wszystkich skutków wcielanej w życie reformy. Do dziś brzmią mi w uszach słowa ministra Jacka Kuronia przewidującego konieczność przekwalifikowania się do zawodów poszukiwanych. Rzeczywistość okazała się bardziej nieprzyjazna, pozbawiony pracy ma niewielką szansę na jej podjęcie, chyba że jest szwaczka lub wygra konkurs na dyrektora przedsiębiorstwa. Wszystkie działy gospodarki narodowej przeżywają głęboki kryzys, we wszystkich zawodach jest nadmiar rąk do pracy.

W każdym zakładzie pracy precyzyjnie można określić liczbę osób zbędnych, zarówno spośród pracowników bezpośrednio jak i pośrednio produkcyjnych. Kto jednak ma personalnie wskazać osobę do zwolnienia, kto ma monopol na pracę? Czy jest to obecna kadra kierownicza? A może to właśnie ona powinna odejść, dając miejsce pracownikom zajmującym dotychczas niższe stanowiska, posiadającym predyspozycje do kierowania, a będąc sroga nomenklatury mogącym wnosić nowe wartości, nowe sposoby myślenia. Metody działania nomenklatury czyli tych, którzy piastują stanowiska w aparacie administracyjnym i gospodarczym są w większości przypadków zachowawcze. Motorem ich działania jest chęć utrzymania statusu posiadania; boją się wszelkich zmian i reform, gdyż widzą w nich koniec swojej władzy.

Patrząc z ekonomicznego punktu widzenia, z punktu widzenia przeważających właścicieli w zakładach pracy powinni zostać ludzie sorawni fizycznie (młodzi, zdrowi) zdyscyplinowani, dobrzy fachowcy, a więc wysoko wydajni. Wszyscy pozostali powinni odejść, jest to jednak niehumanitarny, nieludzki sposób myślenia, poza tym osoby te w większości są chronione przez obowiązujące prawo. Jaką więc znaleźć receptę, aby fala zwolnień zbil-

żająca się nieuchronnie w wyniku likwidacji sztucznego zatrudnienia nie spowodowała wybuchu niezadowolenia społecznego.

Sytuację na rynku pracy pogorszy za chwilę młodzież, której dziesiątki tysięcy opuszcza mury szkół i uczelni. Skąd brać środki na zasiłki dla tych nowych rzesz bezrobotnych? Jakże trudne zadanie i niewdzięczna rola mają związki zawodowe „Solidarność” — które jeszcze wczoraj ze świętym oburzeniem protestowały przed niepopularnymi decyzjami rządu, godzącymi w interesy ludzi pracy. A dziś? Reformy wprowadza rząd akceptowany i popierany przez „Solidarność”. Szefami wielu resortów są ludzie wyłonieni z szeregów czołowych działaczy związkowych. Czy należy ich krytykować, czy też udzielić pełnego poparcia i gdzie w tej grze umieścić interes ludzi pracy?

JERZY PIASECKI
Zgierz

TRZEBA LICZYĆ SIĘ Z FAKTAMI

Adam Ochocki, wbrew temu co twierdził w swej odpowiedzi („Odgłosy” nr 6/1980), pomylił się i to zasadniczo. Gazeta „Łódzka”, o której pisałem, od 28 lipca 1925 r. miała tytuł „Ilustrowana Republika”. Przypomnę, że A. Ochocki jak wynika z jego wspomnień, urodził się w 1913 r., a karierę dziennikarską rozpoczął w 1930 r. Gdy więc rozpoczął pracę w dziennikarstwie interesująca nas gazeta łódzka już od pięciu lat nosiła tytuł „Ilustrowana Republika” i go do końca nie zmieniła. Natomiast tytuły „Nowa Republika”, „Młoda Republika” i „Łódzka Republika”, gazeta ta nosiła od 14 do 22 lipca 1925 r. (czyli przez 9 dni). A więc nie było tak, jak to napisał w swej odpowiedzi A. Ochocki. Jeśli ma on, lub ktokolwiek inny, w tym względzie wątpliwości, to polecam wydaną przez Polską Akademię Nauk w 1967 r. książkę Wiesławy Kaszubiny pt. „Bibliografia Prasy Łódzkiej 1863—1944”, gdzie odnośnie informację znajdują się na s. 178. A także polecam roczniki znajdujące się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Łodzi (sygnatura P.50415), w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Łodzi (G. 12) i w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie (06212; z tym, że udostępnia się tylko mikrofilm).

Jan Grobelniak nigdy nie był redaktorem odpowiedzialnym „Ilustrowanej Republiki”. W 1930 r., gdy A. Ochocki rozpoczął pracę dziennikarską, gazeta nie miała redaktora odpowiedzialnego. Pojawił się on dopiero od początku 1931 r. i był nim Wacław Smulski. Pq nim w 1937 r. redaktorem odpowiedzialnym był Stefan Dymek. Natomiast Jan Grobelniak był redaktorem odpowiedzialnym „Expressu Ilustrowanego” w 1930 r. i do 1936 r., gdy redaktorem odpowiedzialnym tej gazety został Stefan Pietrzak.

Nigdzie nie napisałem, że Jan Grobelniak pełnił funkcję redaktora odpowiedzialnego „Ilustrowanej Republiki” przed samą wojną, jak przypisuje mi to A. Ochocki. Odwrotnie wykazałem, że od 1933 r. nie istniało w Polsce to pojęcie prawne. Ponieważ Adam Ochocki powołuje się w swej odpowiedzi na swoją książkę „Reporter przed konfesyjonałem” (Łódź 1980 r.), przeto tytułem przykładał przytoczę kilka nieścisłości, co uświadomi, że wspomnienia należy weryfikować z faktami.

Na s. 26 swojej książki pisze A. Ochocki o tygodniku satyrycznym „Czerwony Kos”, że wychodził krótko w latach dwudziestych. Rzeczywiście „Czerwony Kos” wychodził w 1924 i 1925 r., ale wznowiony został i wychodził jeszcze przez dwa lata w 1931 i 1932 r., tj. gdy A. Ochocki już pracował w wydawnictwie „Republika” (przyjmując tę nazwę jako umowną). Redaktorem odpowiedzialnym był wówczas Jan Grobelniak. Adam Ochocki winien przypominać sobie (wiedzieć) o drugim okresie wydawania „Czerwonego Kosa”. Ostatecznie mógł zapoznać się z tymi rocznikami w Bibliotece Uniwersyteckiej w Łodzi, sygnatura P.51017.

Od 1936 r. chodziłem do III-go Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego w Łodzi, które mieściło się przy ul. Pierackiego nr 11/13. Podaje ten adres dlatego, że A. Ochocki ulicę tę nazywa „Ewangelicką” (dzisiaj Roosevelta) na s. 147 i 230 (na ostatnim miejscu odnosząc do czasu wojny). Gdy rozpocząłem naukę w tym Gimnazjum, to ta ulica już wtedy nazywała się „Pierackiego”, choć ongi nazywała się „Ewangelicka”.

Na s. 200 pisze A. Ochocki: „Latem 1934 r. miasto obiegła wiadomość, że dyrektor (Filharmonii) Strauch powiesił się na galerii sali Filharmonii...”. To tragiczne zdarzenie (śmierć dyr. Alfreda Straucha) miało miejsce 5 czerwca 1934 r. (a więc nie latem). Natomiast miasto nie musiało obiegać wiadomość, gdyż zdarzenie to bardzo szczegółowo opisane zostało w łódzkiej gazecie „Głos Poranny” z 6 czerwca 1934 r. (nr 152, strona 8; nekrolog na stronie 7).

Na s. 101 pisze A. Ochocki o „szwajcarskim koncercie Ericksona”. Koncert Ericksona (prawidłowa nazwa) był koncertem szwedzkim.

Na końcu książki opublikowane zostało m.in. zdjęcie autora (p. A. Ochockiego) z grupą dziennikarzy i z Janem Kiepurą. Z wyjątkiem H. Smigacza, wszyscy są w kapeluszach. Zdjęcie pochodzi z 1938 r., a A. Ochocki napisał, że nie pamięta „dlaczego wszyscy włożyli kapelusze”. Jednak A. Ochocki zapomina. Otóż w czasie wojny Jan Kiepusa wyłuskał. Dlatego albo chodził w peruce, albo fotografował się tylko w kapeluszu.

Wspomnę teraz o paru bledach prawnych, jakie wprowadza A. Ochocki. Na s. 28 pisze, że Maurycy Ignacy Poznański mocą intercyzy sędował swój udział i wpływy w „Republiki” na swoją żonę, celem zmniejszenia podatków. Otóż zgodnie z art. 207 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego (z 1825 r.) tzw. intercyzy mogły być zawarte jedynie w formie aktu notarialnego przed zawarciem małżeństwa i nie były ważne, jeżeli nie zostały ujawnione w akcie małżeństwa (art. 208 tegoż Kodeksu). Tak więc Maurycy Poznański nie mógł zawierać intercyzy z żoną.

Dalej, według art. 11 ustawy o państwowym podatku dochodowym, w związku z art. 192 KCKP (p. wyżej), dochód małżonków podlegał doliczeniu i suma tych dochodów podlegała opodatkowaniu. A więc, gdyby nawet udział żony M. I. Poznańskiego był jej własnością sprzed zawarcia małżeństwa, to i tak nie miało to wpływu na opodatkowanie, a w szczególności nie następowało zmniejszenie podatku dochodowego.

Materiał, jaki nadesłałem do „Odgłosów” w październiku 1980 roku, ukazał się w nr 6/90, zapatrzyłem w tytuł „Ścisłość obowiązuje, również we wspomnieniach”. Redakcja „Odgłosów” opublikowała ten materiał (usuwaając, eliminując, pierwszą część) i nadała jej tytuł „Czy Adam Ochocki pomylił się?”, czym już podała w niej wątpliwość moje ustalenia oparte na prawie i na badaniu roczników „Ilustrowanej Republiki”. Nie uważam, aby było to najczystsze. Odpowiedź p. Adama Ochockiego nie bazuje na faktach, tylko na wspomnieniach, jak wykazuje myślenie utrwalałone i myślenie przedstawione. Zaczyna się od słów: „Nie pomyliłem się”, co nie jest zgodne ze stanem faktycznym. Chyba p. Adam Ochocki nie dopuszcza myśli, że jego wypowiedzi podlegają weryfikacji ze źródłami drukowanymi i z prawem.

Chcę być dobrze zrozumiany. W dalszym ciągu publikacje p. Adama Ochockiego o przedwojennej Łodzi uważam za interesujące. Jednakże jestem zdania, iż muszą one być w zgodzie z faktami. Gdy np. zostanie wznowiona książka „Reporter przed konfesyjonałem”, to wiele podanych informacji winno być zweryfikowane. Fakty to fakty.

LESZEK ŚLUGOCKI

OD REDAKCJI: Bardzo nam przykro, ale nie jesteśmy w stanie wszystkich listów publikować możliwie szybko. Niektóre, polemiczne, ośborne, sila rzeczy muszą czekać dłużej w kolejkach. Tak było z listem Leszka Ślugoćkiego. Poza tym przypominamy, że redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skróków

oraz zmiany tytułów. Nie zawsze tytuł, jaki sobie wymarzy autor listu jest w stanie zainteresować Czytelników, a w końcu oni decydują o życiu pisma.

Zgadamy się z p. Leszkiem Ślugoćkim, że przede wszystkim trzeba liczyć się z faktami, ale urok wspomnień polega właśnie na tym, że zdecydowanie różnią się one od pracy naukowej. Wspominając zawsze trzeba pozostawić pewną dozę dowolności, subiektywizmu, domniemywań. Właśnie przez to wspomnienia są tak poszukiwane przez czytelników.

KTO KOGO?

W liście z Grabowa podpisanym przez Waldemara Antosikę — kierownika Gminnego Ośrodka Zdrowia, Czesława Cieślaka — przewodniczącego Prezydium GRN w Grabowie i czternastu pracowników GOZ zarzuca mi się, że piszę nieprawdę, tendencyjnie, przez co oszukuję Czytelników. Zanim przejdę do meritum wyjaśnię, że tytuły obydwu publikacji pochodzą od redakcji i dużym nieporozumieniem ze strony moich adwersarzy z Grabowa jest odczytywanie ich jako też reportażu mojego autorstwa.

Sprawa następna — na pytanie pana Antosika odpowiedziałem, że szukam prawdy a nie sensacji, jak próbuje mi improwizować kierownik GOZ. A że, również w Grabowie, prawda bywa sensacyjna, to już inna sprawa.

Wyjaśnienia, kiedy dr Cz. Krawczyk zrezygnował z pracy w Grabowie i gdzie później pracował nie mają związku z tem artykułu „Grabów: — poculi się oszukanii”, bo nie pisałem o karierze zawodowej dr Cz. Krawczyka.

Kategorycznie protestuję przeciwko podważaniu autorytetu moich rozmówców i informatorów, w tym osoby poprzedniego kierownika GOZ, który w swoim środowisku jest człowiekiem powszechnie szanowanym, o czym zapewne wie i pan Antosik, i jego współpracownicy, i przełożeni.

Twierdzenie, że kierownikiem GOZ nie może zostać ginekolog jest autorstwa dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kole, ale pan Antosik wołał udąć, że tego nie wie. Nie wiedziałem o konsultowaniu się wicewojewody konińskiego z przewodniczącym GRN i naczelnikiem gminy w sprawie obsadzenia stanowiska kierownika GOZ. Wiem natomiast, że GRN nie dała legitymacji ani dyrektorowi ZOZ, ani wojewodzie, ani tym bardziej naczelnikowi gminy — człowiekowi skompromitowanemu sprawą działek budowlanych, do zmieniania swoich uchwał. Zdumiewająca jest dla mnie zmiana powodów, dla których dr Cz. Krawczyk nie został kierownikiem ośrodka w Grabowie. Kiedy rozmawiałem z pracownikami GOZ dowiedziałem się, że jedną przyczyną nieprzyjęcia Cz. Krawczyka do pracy był brak kompletnych dokumentów.

Nie wiem, dlaczego autorzy listu z Grabowa zarzucają mi selektywne wypowiadanie i faktów sami nie przytaczają moich słów w całości. Na pytanie, czy przydzieliliby mieszkańcom palaczkowi odpowiedzialność — ani jemu, ani pracownicy socjalnej.

Gdyby teraz zjawiał się stomatolog i chciał natychmiast zamieszkać w Grabowie, to musiałby poczekać dwa tygodnie, bo pani Nowakowska ma zawarowany w umowie 14-dniowy termin opuszczenia mieszkania, a nie natychmiastowo. Jak w liście z Grabowa próbuje się wmawiać Czytelnikom. Czy pani Anna Nowakowska opuści 30 czerwca 1990 roku mieszkanie przeznaczone dla stomatologa nie omieszkam sprawdzić.

O stomatologach zatrudnionych w ośrodku jego kierownik powiedział, że praktycznie żaden z nich nie pracuje, bo choroby, zwolnienia, kawalki etatów...

Zdumiony jestem podpisem przewodniczącego Prezydium GRN, próbującego występować w roli perypatetyka i obrońcy prawdy, gdy tymczasem jego uczciwość jest wątpliwej proveniencji, bo jakże może być inaczej, gdy ktoś funduje sobie telefon na koszt społeczeństwa.

Kto kogo oszuka? — kończy się list z Grabowa. No właśnie! BOGUMIL A. MAKOWSKI

DŁACZEGO NIE NALEŻY PIĆ ALKOHOLU W MIEJSCU PRACY?

W Polsce według danych ZG Społecznego Komitetu Przeciwalcoholowego przeszło milion ludzi jest uzależnionych od alkoholu. Źródła Episkopatu Polski podają od 2 do 2,5 miliona osób. Ponadto mamy około 5 milionów ludzi zbyt często sięgających do kieliszka. Wśród nich jest 30 procent ludzi młodych. Czyż w świetle tych danych można pozostawić sprawę picia wódki w miejscu pracy samej sobie? Na pewno nie.

Około 70 tys. osób pije codziennie alkohol w miejscu pracy. Powyższe 70 tys. przemnożone przez 240 dni roboczych daje 17 milionów przypadków picia alkoholu rocznie w Rzeczypospolitej. A jak wygląda statystycznie związek między nietrzeźwością a dyscypliną pracy, wydajnością i jakością. Otóż okazuje się, że w ogólnej absencji w pracy absencja nietrzeźwych jest znaczna i dochodzi do 50 procent.

Szacunkowo rzecz biorąc co dzień zjawia się u nas w pracy około 70 tysięcy osób nietrzeźwych. Skromnie tylko licząc do tej grupy dochodzi 30 tysięcy skacowanych. Powstała więc sytuacja, w której każdego dnia w Polsce 100 tys. osób wykonuje swą pracę niedbale, mało wydajnie i mało oszczędnie. W opracowaniach fachowych przeważają opinie, że osoby nietrzeźwe i skacowane oprócz niskiej wydajności i jakości zysują w pracy więcej surowca, materiałów pomocniczych i energii.

Niektórzy mówią, że alkoholizm w miejscu pracy — to kropla w powodzi spraw i problemów, jakimi żyje gospodarka. Ale z tych kropel powstają morza i oceany.

mgr JAN MEKWIŃSKI

„DZIENNIK ŁÓDZKI” INFORMOWAŁ

Red. Juliusz Cyperling zatelefonował do „Odgłosów” z wyjaśnieniem, że on sam w „Dzienniku Łódzkim” już 10 lutego 1980 roku przekazał Czytelnikom wiadomość o odejściu Jacka Zaroskiego ze stanowiska dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego. Jak z tego wynika, pan Czesław Zieliński — wyróżniający się niebywałą skrupulatnością w wyłapywaniu różnych nieścisłości — tym razem przeoczył tę informację. Za nieporozumienie w imieniu naszego Czytelnika i swoim przepaszamy!

REDAKCJA — CZYTELNICZY

WOJCIECH JARZĘBINSKI, KAROL JEZIOŃSKI, EUGENIUSZ KLIMCZAK, działający z upoważnienia Tymczasowej Komisji Regionalnej NSZZ „Solidarność” Taksówkarzy Ziemi Łódzkiej. Kwitujemy list adresowany do redaktorów naczelnych „Dziennika Łódzkiego” i „Tygodnika Solidarność”, w którym zawarta jest ostra krytyka redaktorów A. Becka i P. Jedrasa. List ten powinny wydrukować te pisma, które są jego adresatami. Rozumiemy trudną sytuację taksówkarzy. Zresztą nie tylko oni przeżywają spadek popytu. Staje się to już zjawiskiem powszechnym i każdy musi się przystosować do nowych, rynkowych warunków. Dotyczy to również prasy. Natomiast nie możemy zgodzić się, żeby jakakolwiek grupa — nie wyłączając dziennikarzy — pozostawała poza wszelką krytyką. Z tym wszakże, że krytyka ta powinna opierać się na argumentach, a nie na zarzucaniu komuś „glupoty” i „wypisywania bzdur”.

PILSUDCZYCY ZAPRASZAJĄ

Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego w Łodzi zaprasza na uroczystości rocznicowe śmierci Marszałka J. Piłsudskiego, które rozpoczną się 13 maja, br. o godz. 13.30 w Kuchli Garnizonowej przy pl. Wolności.

Szef wezwał mnie do siebie, posłał z biciem serca, bo to z żadnym, nawet najbardziej wyrozumiałym szefem nigdy nie wiadomo, a Szef powiada: Anno-Mario, mam pomysł! Trzeba w „Odgłosach” robić jakiś specjalny kącik tylko dla kobiet. Jesteś kobietą, wymyśl coś.

Sam pomysłu Szefa z tym kącikiem, czemu nie? Wcale niezły, sfeminizować tygodnik w tematyce nie zaszkodzi; ale stwierdzenie Szefa, że ja, Anna-Maria, jestem kobietą, wprowało mnie w pełną zadumę nostalgii. W dzisiejszych czasach być kobietą to naprawdę wielka sztuka, chyba w czasach Niny Andrycz łatwiej było być damą.

Pani Nino — zapytała pewna dziennikarka z minionej epoki w pewnym wywiadzie telewizyjnym, przeprowadzanym również w epoce minionej: — jak pani udaje się ciągle pozostawać damą? — Na co Nina Andrycz z miłym uśmiechem: — Rzeczywiście, proszę pani, coraz trudniej te-

tak zwaną „od szynki”, wtedy na kości gotuję zupę na dwa dni, a mięso mielę na kotlety mielone, wzbogacone bulką objętościowo, i obiadów mam, a obiadów, że ho, ho!

Córka moich znajomych, absolwentka historii sztuki, której oferowano pracę za około 30 dolarów miesięcznie, schowała swój dyplom głęboko, zapakowała walizkę, córeczkę i wyjechała do Holandii. Jest tam od roku. Mieszka w siedmiopokojowym mieszkaniu, ma pralkę, telewizor kolorowy i wideo, rzecz jasna; pracuje jako sprzątaczką, pięć godzin dziennie pięć razy w tygodniu; za godzinę pracy otrzymuje osiem dolarów, czyli dziennie zarabia czterdzieści, a więc miesięcznie... Mój Boże, wolę nie obliczać. I jeszcze pisze w swoich listach, że tam, w Holandii, praca jest szczytem i nikt jej nie upokarza — z tego powodu, że sprząta.

No tak. Powracając na ulicę Czerwony Kapturek, na której już stojąc, z tym bolącym nieścisłym zębem i wyrzutami

bo na przykład w dawnym pałacu Branicich w Białymstoku od lat urzęduje Akademia Medyczna. To jednak już nie mój kłopot, jeśli zaś chodzi o świetle pamięci hrabiny Branicą — tę przedwojenną — to ona raczej umarłaby niż dopuścić się poufałości z kimś nie ze swej sfery.

Bo tak: zdarzyło się jej kiedyś postać swój osobisty powóz na stację po utytułowanego, równego sobie rodem gościa. Gość zawiódł, nie przyjechał, natomiast żelazna kolejka powrócił rządcą majątków hrabiny Braniciej. No i nieścisły skorzystał ze środka lokomocji stanowiącego własność Jasniew Wielmożnej pryncipalowej. Nie wiem, co stało się z rządcą, wiem za to, co stało się z obiciami powozu, które on skalał. Hrabina poleciła je wszystkie zerwać i powóz obić nowymi. A kiedy indziej hrabina postanowiła zatrudnić „człowieka” na swego sekretarza. Zgłosił się młody, bardzo przyzwoicie odziany student. Dopuszczono go na

Uwaga — bury niedźwiedź z patelnią!

Obywatel w eterze...

Rozmowa z JERZYM PŁOKARZEM — prezesem ZG Stowarzyszenia Użytkowników Radiotelefonów Pracujących w Paśmie Niestrzeżonym „PL — CB RADIO”.

— Coraz więcej na ulicach widzi się samochodów „uzbrojonych” w długie, dodatkowe anteny. Czy ma to być tylko zabawa, oryginalna, bo w eterze, polegająca na wzajemnym ostrzeganiu przed policyjnymi patrolami?

— Zupelnie nie, choć i w naszym slangu przyjęło się podobne do amerykańskiego określenie: „buri niedźwiedź z patelnią”, czyli — policja z radarem. Myślę, że popularyzacja radia obywatelskiego nie może mieć lepszego celu czyli idei, jak współpraca z instytucjami odpowiedzialnymi za ochronę naszego życia, mienia, ochronę naszego bezpieczeństwa na drogach. Współdziałamy więc ze strażą pożywną, pogotowiem ratunkowym, „drogowką”, a także wszelkiej maści służbami miejskimi. Stanowimy nie tyle elitarnie, jakby niektórzy chcieli, co szalenie solidarnie i ofiarne w niesieniu pomocy środowisku. Przypadki odholowania z drogi kolegi wzywającego pomocy, grupowego wręcz odzwołu na wszelkie słyszalne w eterze wołanie o ratunek — są na porządku dziennym.

— Paradoxe staje się fakt, iż przy powszechnym braku telefonów wazna oferta ma realne szanse zdobycia równie powszechnego aplauzu.

— Oceniamy, iż dziś na pewno posiada radiotelefony w kraju około 150-160 tysięcy ludzi. Ale chcemy tę ideę rozpowszechnić między innymi na wsi, gdzie szczególnie uciążliwa jest telefoniczna pustynia. A czemu nie wykorzystywać na wsi radiotelefonu, by wezwać weterynarza czy mechanika do uszkodzonego kombajnu?

— A ile to kosztuje?

— Za masowym wręcz używaniem radiotelefonów przemawia nie tylko niska roczna opłata (8 tysięcy złotych...), ale przede wszystkim prostota użytkowania i koszt zainstalowania najprostszego, a skutecznego urządzenia. Jeden radiotelefon to 90 marek zachodniomiejscowych i antena czyli 100 tysięcy złotych.

— I już „wchodzimy na fale”?

— Oczywiście, jeśli chcemy zawiadomić małżonkę, by wstawiła ziemniaki, bo właśnie jedziemy w kierunku domu, trzeba także zainstalować drugi taki komplet.

— Złotychy twierdzą, że cała zabawa jest niewiele warta ze względu na bardzo ograniczony zasięg.

— Jednym z punktów programu jest współpraca z zagranicznymi członkami „CB-Radio”. Na zasadzie fali odbitej, bez żadnych dodatkowych urządzeń. Możemy zwłaszcza w porze nocnej swobodnie rozmawiać na bardzo dalekie odległości, powyżej 1500 kilometrów (nie mniejsze, bowiem dla nas martwa przestrzeń to właśnie odległości między 100 a 1500 kilometrów). Normalna, przyziemna łączność praktycznie w dzień sięga 30-40 kilometrów, w nocy, gdy brak zakłóceń przemysłowych wzrasta do ponad 50, a między urządzeniami stacjonarnymi sięga i 100 kilometrów. Czyli chyba niemało...

— I te kilkadziesiąt osób przekrzykuje się na kilku kanałach?

— Dlaczego przekrzykuje? Mamy do dyspozycji 23 kanałów, wkrótce będzie ich — 40. Tradycyjnie kanałem wywoławczym jest numer 23, po czym przechodzimy na inny, umówiony. Za wyjątkiem kanału dziewiątego, który, tradycyjnie, uznawany jest za międzynarodowy kanał ratunkowy. Członkowie naszego stowarzyszenia złożyli się na osobny radiotele-

fon działający na tej samej fali dla łódzkiego pogotowia ratunkowego. Chcemy jeszcze podobną inwestycję zasilić straż pożarną. Warto przy okazji wspomnieć, że znakomicie układa się nam współpraca z funkcjonariuszami „drogowki”, z którą, przy udziale Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego, szkolimy ratowników drogowych.

— A policjanci z „drogowki” nie czują do was awersji z powodu uprzedzenia kolegów o zastawionych przez nich, radarowych pułapkach?

— Może pana zaskoczę, ale — nie. Choć żartobliwie grożą mi palcem, gdy wyprzedzając „radar” już nadaje na swojej fali, gdzie czyha „niedźwiedź”. Tak naprawdę zdają sobie sprawę, że każdy taki komunikat powoduje ostrożniejszą, wolniejszą jazdę i tuż tam kierowców znajdujących się w sąsiedztwie. A o to przecież chodzi!

— Rozwiązanie się bardzo prętnie, pomysłów wam nie brakuje, zabawa w eterze wleaga ponoć niesamowicie.

— To prawda, obywatelska fala — jak ktoś napisał — pełna jest zgiełku, a niektórych kolegów i koleżanki tak wciągnęła idea porozumiewania się w eterze, że panie, sam słyszałem, prowadzą wymianę... kulinarnych doświadczeń. Generalnie jednak zgadzamy się chyba, że jest to tak zwana „idea z przyszłości”. Czyż nie jest to jedyna możliwość kontaktu ze światem dla ludzi kalekich, chorych, unieruchomionych w domach, a wciąż pełnych sił, spragnionych działania i najbardziej ludzkiego z pragnień — porozumiewania. Jako „CB-Radio” organizujemy faktycznie dziesiątki imprez dla swych członków i zwolenników: bale okolicznościowe, pikniki, rajdy, zabawy samochodowe. I nie boimy się „konkurencji” klasycznych środków łączności. Zachodnie doświadczenia dowiodły, że nie są w stanie zastąpić „towarzysztwa w eterze”. Nam marzy się jeszcze wyposażenie w radiotelefony hoteli, moteli, stacji benzynowych; zastosowanie, z korzyścią dla wszystkich, może być naprawdę szerokie.

— Aby obraz waszej działalności nie był jednak zbyt różowy...

— Jest to jedna z naszych fatalnych cech: zepsuć, zniszczyć, ośmieszyć to, co komuś innemu się udało... Grupa łódzkich „dowcipniści” obrała sobie za punkt honoru zniszczenie, sprostowanie sympatycznych idei „CB-Radio”. Mamy dla przykładu swój kanał muzyczny, ze swobodnym „koncertem życzeń”. Oni włączają się w trakcie rozmów, bluźnią, grożą, sypią wyzwiskami. Być może, nauczy ich czegoś pierwsza sprawa w sądzie, która będzie właśnie finałem takiej głupiej „zabawy” w eterze, a jednym z zarzutów, by posłużyć się terminologią prawniczą, były słyszalne przez wszystkich „bezpowne groźby”...

— Gdyby ktoś zaprzagnął wstąpić w wasze szeregi, to...

— To zapraszamy do Zarządu Głównego naszego stowarzyszenia, przy ulicy Kopcińskiego 57 w Łodzi...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Jedno danie Anny-Marii

Przepis na naleśniki

raz być damą. — A dlaczego? — zadała inteligentne pytanie dziennikarka. — Bo widzi pani — odpowiadał z miłym uśmiechem Nina Andrycz — żeby być damą, sama dama nie wystarczy, muszą być jeszcze dżentelmeni.

I damy, i dżentelmeni, i sama Nina Andrycz to pojęcia z zupełnie innego czasu, sprzed naszej obecnej ery. Choć w naszej erze nie brakuje pań przebranych za damy: te kapelusze, te pierścienie na każdym palcu łącznie z kielichem, te marmurkowe spodnie i tureckie bluzki w wykutym siodłku. Są również i takie panie, które w prawdziwych etolach z prawdziwych norek, a może i szynszyl — nie znam się na futrach, niestety — ze sznurami pereł wokół szyi z pełnym poświęceniem własnościami rozlewają bieda-zupkę. Nie tak dawno przeczytałam wywiad z taką właśnie i dowiedziałam się, że całe swoje życie (tę nie podał) przemarzyła o tym, aby znaleźć narzeczonego do dzielenia się z biednymi swoimi niewyżłomkami: marzyła, marzyła, no i wymarzyła, może już teraz spokojnie resztę otrzymaną w kasie „Pewaxu” przy zakupie perfum Heleny Rubinstein, przeznaczyć na biedaków. No i dama być, a jakże. Dama w etoli i w perłach rozdająca datki to jest to. A jednak — choć aktorka — jak daleko jej do Niny Andrycz sprzed naszej ery.

Dżentelmenów też się produkuje ostatnio masowo: mnożą się w postępie geometrycznym nieczym australijskie króliki. Co sunąty bezzęlestnie mercedes, audi, volvo, mazda czy toyota, to za kierownicą dżentelmeni! Wytworni w mowie, wytworni w manierach i wytworni w każdym calu. Z takim jednym to nawet miałam raz zaszczepić osobiste.

Spotkanie nastąpiło na ulicy Czerwony Kapturek. Jest taka w Łodzi, w osiedlu segmentów za Dworcem Kaliskim. Swego czasu przyjmował tam pewien znany łódzki lekarz stomatolog, leczący zęby bezboleśnie dla zębów, lecz wyjątkowo boleśnie dla kieszeni właściciela zębów. Zarabiał średnio około 70 dolarów na miesiąc, utrzymując siebie, syna i psa; świadczenia: komorne, gaz, elektryczność, telefon, spłata emerytury zabierają mi około 25 dolarów; cała reszta, aż 45, pozostaje mi na tak zwane życie. No i dobra, trudno, ale żab tak mnie bolał piekielnie, że chociaż raz w życiu, bez bólu, z przyjemną muzyką, z uśmiechem pana doktora, który nie przycisnę mnie kołanem do fotela, żebym się mu spod wiertła nie wyrwała, i psiknie tym zagranicznym środkiem znieczulającym, kiełek nie kupuje, kapek nie kupuje, do fryzjera nie chodzę, coś mi się od życia należy, chociaż ten żab, za który zapłać ceną dwóch kilogramów schabu. Co ja plotę, przecież ja schabu w ogóle nie kupuję, bo sam schab to jeszcze nie cały obiad jeszcze ten schab trzeba w jajeczku, jeszcze w bułeczce tartej i na suchą patelnię też nie rzucę, kupuję ja ekonomicznie, z rozmysłem,

sumienia, że jestem wyrocznia matka, pozbawiająca swoje własne dziecko przez dwa tygodnie kotletów mielonych, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam numeru segmentu, w jakim przyjmuje pan doktor. Matko święta! Wydałam na przejazd tramwajem w jedną stronę prawie 25 centów (to działa się przed kolejną podwyżką naszej łódzkiej komunikacji), i nie wiem, gdzie mam pójść. Ale oto widzę: lśniąca volvo podjeżdża, zatrzymuje się, wysiada zeń dżentelmen w każdym calu, od stóp do głowy, srebrzącej się nobilita siwizną; spojrzenie ma intelektualisty, okulary w złotej (chyba?) oprawce. Pytam: — Przepraszam pana uprzejmie, może pan orientuje się, gdzie przyjmuje tu doktor taki a taki? Dżentelmen unosi dłoń, błyska sygnetem wielkości średniej dwudziestozłotówki: — Tam, po lewo, po tych schodkach.

Schodkowy dżentelmen. Ciokawe, w jakim biznesie robi? Wokulski też robił w biznesie, całkiem zresztą podejrzanym moralnie, co nie przeszkodziło mu w końcu dostać się na salony. No, ale Wokulski, poza biznesem i rulonami złotych imperiałów, był herbownym szlachcicem. Szlachetka powiedźmy, gwoli ścisłości. Więc go nawet sama prezesowa z Zasławia w obronie przed sądem o parweniuszostwo brata. I to z jakim żarem! „Wokulscy są tak dobrą szlachetą jak Starscy, a nawet Zasławscy!” Twierdziła też, że „urodzenie jest najmniejszą zastawą tych, którzy się rodzą”. Wyjątkowo nastawiona tolerancyjnie hrabina; dziś by pasowała, do tej naszej ery, może nawet i „schodkowego dżentelmena” zaprosiłaby do swego stołu. Na Zjeździe Ziemianstwa w Warszawie wydarzył się precedens o wiele znaczący: dopuszczono do grona aktor Franciszka Trzeciaka, a on z chłopów, rozkulaczonych, bo rozkulaczonych, ale kulak to też chłop. No i proszę, aktor Franciszek Trzeciak grzmiał od mównicy, że nam się, ziemianom, rewindykacje należy.

Będzie z tym duży kłopot,

pokoje. Hrabina zlustrowała kandydata przez lorgnon, raczyła odczuwać się osobiste:

— Angielski on posiada?

— Posiada, pani hrabino.

— Francuskim on włada?

— Włada, pani hrabino.

— To niech on siada.

— Nie może, pani hrabino.

— Dlaczego on nie może?

— Bo dupa go boli, pani hrabino.

Na tym anegdota się kończy, bo pani hrabina zemdlała i trzeba było medyka, żeby ocucił solami trzęwiącymi. Stąd wniosek, że pani hrabina mimo wszystko nie życzyłaby sobie żyć w naszej erze.

— To jak? — zniecierpliwili się Szef. — Pomysłisz nad tym kącikiem dla kobiet? Rozumiesz. Taka pogawędka, jak kobieta z kobietą.

Upór Szefa w nazywaniu mnie „kobietą” sprawił, że poczułam się jak kobieta. Mimo paltoła sprzed lat siedmiu (za dwa tysiące złotych), kapek sprzed pięciu za trzysta (złotych, nie tysięcy), i braku wyidealizowanej fryzury na głowie. A może po prostu wyglądam bez tej fryzury, w swoim starym palcie i także samo starych kapekach jak wszystkie inne zwykłe kobiety, śpieszące się po pracy łódzki ulicami do swoich domów, aby w nich smażyć naleśniki. Oszczędnościowe, oczywiście. Podaję przepis: jedno jajko rozmiar 23, do którego dodajemy cukier i szczyptę soli, wlać mnóstwo wody zagrzanej mlekiem, dosypać mąki, kupionej taniej na rynku, smarować patelnię skórą od słoniny i smażyć. Oszczędność głównie w tej skórze od słoniny; można ją wykorzystywać, mocniej przyciskając, do kolejnego smażenia oszczędnościowych naleśników.

ANNA-MARIA

OGŁOSZENIA DROBNE

SPRZEDAM działkę budowlaną Listy Łódź 8, skrytka nr 8. Konopka.

POLIGRAFICZNE. Bolesława 13, tel. 84-12-67.

18439-g

18410-g

REDAKCJA „ODGŁOSÓW”

POSZUKUJE

AKWIZYTORA OGŁOSZEŃ

GWARANTUJEMY:

- wysokie zarobki
- ciekawą pracę
- poznanie wielu interesujących ludzi

OCZEKUJEMY:

- operatywności
- solidności.

Bliższe informacje: redakcja „Odgłosów”, Sienkiewicza 3/5, XIII p., tel. 36-80-99, godz. 12-16.

WESTA Z WESTĄ
BEZPIECZNIEJ

Wszelkie informacje:

SIEDZIBA PRZEDSTAWICIELSTWA Łódź ul. Traugutta 12 tel. 87 09 97 87 07 12

PUNKTY AKWIZYCYJNE

Łódź ul. Nowotki 8 tel. 32 56 61

Łódź ul. Piotrkowska 189 tel. 36 69 94

Ubezpieczenie
podróży zagranicznych

WESTA-COLONIA zapewnia państwu opiekę lekarską na obszarze całej Europy zachodniej Wszelkie koszty regulują przedstawicielstwa COLONIA KRANKENVERSICHERUNG AG na danym terenie

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 9.V.90 R. PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Nasza piątka” — film oby-
czajowy NRD
10.55 Domator
11.50 Uroczysta Odprawa Wart
przed Grobem Nieznanego Żołnierza
13.00 Po sześćdziesiątce
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: SOS
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
18.00 Program lokalny
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
19.30 Wiadomości
20.05 Studio sport — Finał Pu-
charu Zdobywców Pucharów
21.50 „Adam Bień z Ossali” —
film dok.
22.45 Wiad. wiecz.
23.05 J. angielski

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Zwierzęta wokół nas
18.00 „Mare i Sophie” — odc. 11
franc. ser. pt. „Rozwód podstępem”
18.30 Magazyn „102”
19.00 Express gospodarczy
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 „Jonasz i Melchiora” —
czech. film fab.
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” — odc. ser.
TVP
22.20 Telewizja nocą
23.05 Komentarz dnia

CZWARTEK 10.V.90 R. PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Uwodziciel” — odc. 1 ang.
ser. kryminal.
10.20 Program dnia
10.25 Dla młodych widzów:
Kwant oraz film z serii „Ordyni”
17.15 Teleexpress
17.30 Błizes
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Kupić nie kupię? — mag.
19.30 Wiadomości
20.05 „Uwodziciel” — odc. 1 ang.
ser. kryminal.
Wartka akcja, która toczy się w
latach trzydziestych, interesująca
fabuła, a także znakomita oprawa
plastyczna — to główne zalety
szesnastodniowego serialu, którego
bohaterem jest młody uwod-
ziciel, wszelkimi metodami sta-
rający się zdobyć władzę i pie-
niądze.
21.00 Interpelacje
21.50 Sport
22.10 Pegaz
22.55 Wiad. wiecz.
23.15 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla matury-
stów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie” — odc. ser.
TVP
18.00 „Katastrofy” — „Wulkan
— wrota piekieł” — odc. ser. dok.
18.30 Program na tydzień
19.30 Zielone kino — „Mieć
miłość”
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reportażowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Spisek na życie papieża”
— cz. 1 dok. fabularyzowanego
prod. włoskiej.
Po czterech latach polscy widzo-
wie będą mieli okazję obejrzenia
paradoksalnego obrazu, który
wywołał tyle zamieszania w „blo-
ku”. Film składa się z trzech
części. Bedziemy świadkami tego
szalonego śledztwa i procesu. W
film wpleciono 70 min. dokumen-
talnych kronik.
23.05 Komentarz dnia

PIĄTEK 11.V.90 R. PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Siedmiu głodnych” —
czech. komedia satyryczna
Siedmiu grubasów przebywa
na kuracji odtuszczenia, gdzie
panuje surowy reżim. Niestety,
kuracjom dopisuje apetyt...
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Ram-
bini
16.50 Dla dzieci: Okienko Pan-
kratego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Terce — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 „Bunt na „Bounty” — am.
film fab.
W 1787 r. brytyjski transporto-
wiec przewoził sadzonki drzewa
chlebowego (taniego pokarmu dla
Murzynów) na Jamajkę. Statkiem
dowodził ambitny i bezwzględny
kapitan. Rejs stał się dla załogi
prawdziwą torturą...
22.40 Sport

22.50 Weekend w Jedynce
22.55 Wiad. wiecz.
23.05 Rzeczpospolita samorządna
— Sejmik

PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla matury-
stów
17.25 Program dnia
17.30 Wzroczkowa Liśca Przebo-
jów Manka Niedzwieckiego
18.00 „Dobra nadzieja” — odc. 7
franc. ser.
19.00 Express gospodarczy
19.20 Antena Dwójki
19.30 Program publ. kulturalnej
20.00 Magazyn — Piatek
21.30 Panorama dnia
21.45 Z głębin majowego dnia
22.20 „Spisek na życie papieża”
— cz. 2 włosk. filmu dok.
23.40 Komentarz dnia

SOBOTA 12.V.90 R. PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działo
8.20 Na zdrowie
8.40 Złamo — program redakcji
katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i
młodzieży oraz film z serii „Heidi”
(13)
10.30 Wiadomości
10.40 „Eddz starożytna” — rep.
11.00 Telewizyjny informator
11.10 Militaria, obronność, nowo-
czesność
11.35 „Poza rok 2000” — austral.
film dok.
12.05 Wędrowni dalekie i bliskie:
„Niech zginie potwór”
12.45 „Śladami zagłady królest-
wa Czarnów” — film dok.
13.10 Smak życia
13.55 Nad Niemnem, Piną i Pry-
pęcią: Nowogródek
14.20 „Dziś i jutro z Pawlaka” —
polski film fab.
16.20 Rewizja nadzwyczajna
16.40 Pani minister pyta... pr.
z udziałem Izabelli Cywińskiej
17.15 Teleexpress
17.30 Bułki
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Producent” — ameryk.
komed. obycz.
21.35 Telew. Inform. Wydawn.
22.10 Szała — progr. rozrywk.
22.55 Telegazeta
23.05 „Pasaż” — franc. film
science fiction

PROGRAM II

13.00 Czas akademicki
13.30 Bariery
13.55 Program dnia
14.00 Film dok.
14.30 Spektrum
14.45 Zwierzęta świata: „Kraina
tygrysa” — ameryk. film dok. (1)
15.25 Meandry architektury
15.45 Nowości z Francji
16.00 Czysta i piękna (5)
16.30 Dźwięczna mieszka
17.25 Punkt widzenia
18.30 „Odeon” na antenie Dwójki
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Festiwal muzyki — Łańcut
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mussolini — historia nie-
znana” — odc. 4 ameryk. ser.
22.50 Zaproszenie do Teatru Stu
w Krakowie na „Kolejną na
cztery ręce”
23.30 Alfabet Kisiela
23.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 13.V.90 R. PROGRAM I

7.00 Witamy o miódnej
7.30 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarstwie
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Tele-
ranek oraz film z serii „Emil z
Lionnebergi”
10.30 Wiadomości
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przy-
rody” — odc. 10 ser. przyrodn.
11.05 „Szalony” — „Skarby Zie-
mi Świętej” — film dok.
11.45 Koncert żywych
12.20 Kraj za miastem
12.55 Teatr dla dzieci: E. No-
wacka — „Małgosia kontra Małgo-
sia” — cz. 1
13.50 Morze — mag.
14.10 Spiewać każdy może
14.50 Sportowa niedziela
15.55 „Angielska limuzyna” —
odc. 3 franc. ser. „Jak miło poma-
rzyć”
16.50 Antena

Coś z życia



17.15 Teleexpress
17.30 Premie i premiery
18.30 Studio sport
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Modrzewiejska” — odc. 1
ser. TVP pt. „Początek”
21.25 7 dni — świat
21.55 Sportowa niedziela
22.05 „Obwarte granice” — Kon-
cert galowy z Wiednia
23.35 Życie jest fraszka
23.45 Telegazeta

PROGRAM II

8.40 Kalejdoskop
9.10 Przegląd tygodnia
9.45 „Modrzewiejska” — odc. 1
ser. TVP
11.05 Koncert żywych
11.30 Jutro poniedziałek
11.50 Program dnia
11.55 Formuła I
12.00 PKF
12.20 „Mojesz — prawodawca”
— odc. 5 ser. ameryk.
13.05 Formuła I
13.25 Maciej Niesiołowski — Z
batuta i z humorem
13.45 Formuła I
14.00 Kino familijne: „Autostra-
da do nieba” — odc. 11 ameryk.
ser.
14.50 A to Polska właśnie — rep.
15.25 100 pytań do...
16.05 Być tutaj — gawęda prof.
W. Zina
16.20 Wydarzenie tygodnia
16.50 Bliżej świata — przegląd
telewizji satelitarnej
18.20 „Spisek na życie papieża”
— odc. filmu dok. prod. włosk.
19.30 Galeria Dwójki — Krzysz-
tof Pruszkowski
20.00 Festiwal muzyki — Łańcut
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mojesz — prawodawca”
— odc. 5 ameryk. ser.
22.30 Dziecko szczęcia, czyli Je-
remi Przybora — „Lato” cz. 2
23.00 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 14.V.90 R. PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolat-
ków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV — Nasza Klasa
— St. J. Witkiewicz — „Matka”
21.40 Kontrapunkt
22.10 Sport
22.30 Wiad. wiecz.
23.50 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Ojczyzna — polskojęzyczna
17.45 Czarno na białym — prze-
gląd PKF
18.30 Program rozrywk.
19.30 Życie muzyczne
20.00 Festiwal muzyki — Łańcut
21.00 Auto-Moto Fan Club
21.30 Panorama dnia
21.45 „Szczególni ludzie” — am.
film fab.
23.20 Komentarz dnia

WTOREK 15.V.90 R. PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Bluebell” — odc. 1 ang. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Kino Tik-Tak: „Gumisie”
— odc. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Spotkania
18.00 Program lokalny
18.45 Klinika zdrowego człowieka
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. Jackiem
Kuroniem
20.15 „Bluebell” — odc. 1 ang.
ser.
21.15 Listy o gospodarce
21.50 Sport
22.10 „1945—89” cz. 3 filmu dok.
22.30 Wiad. wiecz.
23.20 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Dokoła świata
18.00 „Klub szczepion” — no-
wela TV
18.30 Program publ.
19.10 Modlitwa wieczorna
19.30 Studio sport
20.00 Non Stop Kolor — mag.
21.00 Wywiady Irenei Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Crimen” — odc. 3 ser.
TVP
22.45 Komentarz dnia

Komu na tym tak bardzo zależy?

W Kielcach podczas występu zespołu żydowskiego „Nuje Tag” z Zaporozia grupa mło-
dzieńców w wieku od 16 do 18
lat wrzuciła do sali koncerto-
wej świecę dymną. Uszkodzili
oni samochód tego zespołu tiu-
kając szybę i zrywając tablicę
rejestracyjną. W Łodzi podczas
dni kultury żydowskiej zrywa-
no afisze, pojawiły się obraża-
jące Żydów napisy na murach.
Takie napisy — to nie nowe-
go. Komuś bardzo na tym zale-
ży, aby w świecie utrwalono
się przekonanie, że Polacy są
z urodzenia antysemitami, że
w Polsce dzieci z mlekiem
matki wysysają antysemityzm.
Komu tak na tym bardzo za-
leży?

Ludzie, którzy znają się na
turystyce, a szczególnie pie-
szej, dobrze wiedzą, że wybie-
rając się w podróż należy się
do niej właściwie przygotować.
Potrzebne są mocne, ale wy-
godne buty, luźny, ale ciepły
ubiór i wygodny plecak. Wy-
bierając się w taką podróż nie
należy obciążać się balastem,
bo to przeszkadza. My wybie-
ramy się przecież do Europy
wspólnej i nowoczesnej. Nie
pojedziemy tam wygodnym i
szybkim samochodem, furma-
ką też nie bardzo, pozostaje
nam wytrwały marsz. Wybiera-
jąc się w taki marsz trzeba
odrzuć wszystkie balasty. U-
przedzenie do Żydów jest ta-
kim balastem, który zresztą
w tej nowoczesnej Europie nie
bardzo będą rozumieć. Można
więcej podejrzewać, że podsyca-
nie balastu antysemityzmu le-
ży w interesie tych, którzy nie-
chętnie będą masterować do
nowoczesnej Europy. A więc
zwolenników konserwatywno-
ści cienioly!

Zerują oni na niewiedzy
młodych ludzi. Problem sto-
sunku Polaków do Żydów nie
jest nowym. Bolesław Prus
już w 1875 roku pisał, że
„Żydzi dlatego tylko przejmują
nas obawą i wstrętem, że
ich zupełnie nie znamy i nie
staramy się poznać”. W 5 lat
później pisała Eliza Orzeszko-
wa: „Co my wiemy o Żydach?
Z jakich punktów widzenia
zapatrujemy się na nich? Na
jakich podstawach operujemy
sądy o nich? Pytania te zmuszają
usta do uśmiechu, bo
przywzrostu do pamięci setki
tysięcy twierdzeń i sądów,
wydawanych o Żydach, a któ-
re zdają się ubiegać ze sobą
o pierwszeństwo w dziedzinie
dzieciństwa i płytkości ludz-
kich”. Delikatnie powiedziane,
ale mimo 110 lat, jakie od tej
publikacji upłynęło, jej war-
tość nie straciła swej aktual-
ności. A przecież przez te 110
lat tyle się w historii Polski
wydarzyło!

Nie ma już narodu żydow-
skiego, jaki był to obok Pola-
ków w latach dwudziestych i
trzydziestych. Pozostali tylko
po nich bezimienni cmentarze,
popioły i pył. Pozostali pom-
niki, które mają nam przypo-
minać czasy masowych mor-
dów. Są jednak obok nas lu-
dzie, którym to nie nie przy-
pomina. Niewiedza i ciemnota
pozwala im wypisywać ohydne
hasła na murach. Komu na
tym tak bardzo zależy?

W rozmowach o różnych lu-
dziach działających publicznie
pada pytanie: — Czy on też
pochodzi z Żydów? — Zwró-
ćmy uwagę na ludziom w me-
tryki stał się „podstawowym
kryterium” oceny ludzi. A
przecież powinno się ich oce-
niać na podstawie tego, co ro-
bia i jak robią, a nie na
podstawie pochodzenia. Taką
formę oceny ma brydżki ro-
dowod. Komu znów tak na
tym zależy, aby był nadal sto-
sowany, choćby nawet tylko
w prywatnych rozmowach. No,
komu?

WITOLD BOROWY

Dwoistość

Przyzwyczaj się już do tego
ustroju, było mu w nim do-
brze, w pracy zaszedł dość da-
leko, pełnił odpowiedzialne sta-
nowisko i wierzył, że system
stworzony w jego kraju po
ostatniej wojnie na pewno nie
upadnie. Cierpiał, co prawda,
na pewną chorobę podobnie
jak większość ludzi żyjących
obok niego, ale i do niej mo-
żna było jakoś przywyknąć.
Tym bardziej, jeśli chciało się
żyć w spokoju. — „Tylu ludzi
w końcu wokół zachowywało
się podobnie, dlatego więc ja
miałbym być inny” — myślał.

Raz w książce jednego ze
zbuntowanych pisarzy przeczy-
tał: „Tu wszyscy są chorzy,
jedni na cynizm, tępa głupotę
albo po prostu na niekierowność,
a inni dali się wrobieć, pozwoli-
li żeby im spreparowano pa-
kraczną szczerość, odwagę, fan-
tazję i ukochanie swobody,
ale za to sprawnie i bezwsty-
dnie zaczynają się kłamać, gdy
liczba oczu i uszu wzrasta, tu
już nie ma żadnych konfliktów,
żadnej zdrady w brzuchu, kie-
dy się kłami i co innego my-
śli na użytek własny i co inne-
go publicznie deklaruje”.

Ten fragment i nie tylko
ten z owej książki trochę nim
wstrząsnął, ale szybko wytu-
mował sobie, że artyści zaw-
sze wszystko widzą wyolbrzym-
nione i dlatego potem przery-
sowują rzeczywistość. — „Tak
że to przecież nie jest” —
myślał.

Tymczasem dwoistość, bo tak
się nazywa owa choroba, roz-
wijała się dalej.

I nagle, dość zresztą nieo-
czekiwanie, w kraju doszło do
wielkich zmian. Komunizm u-
płynął. On jednak najpierw nie
mógł w to uwierzyć, a potem
nic z tego, co się działo za ok-
nem nie mógł zrozumieć. Cią-
gle wydawało mu się, że to ja-
kiś zły sen, który za chwilę
minie i dlatego nie ma się
czym przejmować. Czasem po-
jawiały się skryte myśli: „zam-
knąć się gdzieś, wyjechać naj-
lepiej i przeczekać ten zły
czas... niemożliwe przecież, że-
by to długo trwało, albo mo-
że udawać lepiej, że nie się
nie stało, że wszystko jest po
staremu... cholera, że też jesz-
cze tyle lat zostało do emery-
tury, szczęśliwi ci, co mogą
odejść, ci nie muszą się już ni-
czym przejmować... tak lekko,
ot tak po prostu oddać wła-
dzą... trzeba być nie lada wa-
riatem... a może zdecydowanie
przejść na tę drugą stronę...
ale kto mi uwierzy, a poza
tym jakoś nie mogę... nie mo-
gę i koniec... cholera, a tak
ładnie się zapowiadało, a teraz
co, człowiek musi się zastana-
wiać, czy nie straci pracy i ro-
bić najprzeróżniejsze wolty, by
jakoś się utrzymać... mójmy
nadzieję, że jeszcze dożyję cza-
sów, kiedy to się zmieni... w
komunizmie co prawda też tak
do końca nie było najlepiej,
ale przynajmniej wszystko było
jasne... a teraz tylko bałagan,
bałagan i jeszcze raz bałagan”.

I w ten sposób choroba zwa-
nia dwoistością dalej spokojnie
się rozwijała. Bo oto znowu
myślał co innego, a robił w
pracy to, co mu kazali. I tak
naprawdę wszystko pozostało
bez zmian, chorąm nie dane
jest być wyleczonym.

TOMASZ
A. WŁODKOWSKI

Golebie i synogarlice

Okna mojego mieszkania wy-
chodzą na północ i na połud-
nie. Nie mogę więc, jak Pan
Bóg przykazał, otworzyć się
na Europę. Sąsiedzi mieszkają-
cy w pionie z oknami na Za-
chód otwierają te okna jak
mogą najszerzej i opowiadają
ze zdziwieniem, że wpada
przez nie mnóstwo kurzu, ha-
lasu i przeciągu, a nie wpa-
dają dolary. Może nie wystar-
czy otwierać okna? Może trze-
ba jeszcze na oścież otworzyć
wszystkie drzwi w tamtą stro-
nę. A najlepiej otworzyć wszy-
stko, co się da i wyjść z do-
mu.

„Otwieranie się na Europę”
i „konieczność zaistnienia w
Europie” — to dwa zwroty
najmodniejsze dziś zwiastują-
ce w kręgach tak zwanych inte-
lektualnych. Skoro więc nie
mogą otworzyć się dosłownie
na Europę, to przynajmniej
kręcąc galkami radioaparatu i
chwytając zachodnie fale. Na
wielu z tych fal napływają do
nas głosy w naszym rodzimym
języku. Któż dziś nie mówi po
polsku „Głos Ameryki” z Wa-
szingtonu, „Radio BBC” z
Londynu, radio francuskie z
Paryża, zachodniemieckie z
Kolonii, watykańskie z Rzymu,
kanadyjskie z Montrealu, al-
bańskie z Tirany i chińskie
z Pekinu. Oczywiście także
Moskwa i nieporównywalna z
niczym sławetna „Wolna Euro-
pa”.

Otwieramy się na Europę, o-
ferujemy się Europie, lasimy
się do Europy. Słyszycie, że eu-
ropejskie państwa zapowiadają
zlikwidowanie wiz dla obywateli
Czechosłowacji i Węgier.
Czesi, Słowacy i Węgrzy będą
mogli pojechać wszędzie bez
wiz i zaproszeń. Jednocześnie
ostatni kraj, jaki Polaków
wpuszczał do siebie bez wiz —
Austria — zamierza tę wizę
wprowadzić. Wygląda więc na
to, jak gdyby właśnie przed
nam Europa nie — zanadto się
otwierała.

Ala nie. Kręcąc galkami dzie-
ł, chwytam radio kolonijne i
słyszę artykuł napisany przez
pana Huberta Koszyka, prze-
wodniczącego przesiedleńców
śląskich. Pan Koszyk był nie-
dawno w Polsce, po powrocie
do RFN opisuje jak zderzasto-
wane środowisko naturalne
znalazł na Górnym Śląsku.
Przecież wiy, Polacy, pisze pan
Koszyk, nigdy nie dacie sobie
rady z poprawą tego środowi-
ska. „Przecież tym musi się za-
jąć Europa, musicie zrozumieć
wreszcie, że nie granice są
sprawą najważniejszą”. Inaczej
mówiąc, według pana Huberta,
obojetne w jakich granicach
znajdzie się Górny Śląsk, wa-
żne jest, że jak przyjdzie tam
Europa, a konkretniej, Niemcy,
to od razu powietrze i woda
staną się czyste jak kryształ.

Kręcąc dalej i łapiąc radio Pa-
ryż. Czytają mi właśnie arty-
kuł pana Andrzeja Zamojskiego
opublikowany w prasie an-
gielskiej (tytułu pisma nie za-
pamiętałem). Artykuł poświęco-
ny jest perspektywom politycz-
nym Polski. Nie ma tu — co
tu kryć — za dużo optymizmu,
ale jest to artykuł znakomity
i gdyby znał go nasz postoi-
wie i politolog do dyskusji
w naszym Sejmie na temat po-
lityki zagranicznej wyglądała-
by zapewne inaczej. Swoją arty-
kuł kończy Andrzej Zamojski
komentarzem dotyczącym hu-
raganowej batalii podjętej
przez polską dyplomację w
sprawie naszych granic zachod-
nich. Owa batalia, według po-
lisko-angielskiego publicysty,
zdegustowała zachodnich me-
dów stanu, wywołała wiele,
pełnych rezerwy, wypowiedzi,
spowodowała nienadzwyczajne
przyjęcie naszego premiera w
Ameryce. Ale, kończy swój ar-
tykuł pan Zamojski, „Polacy
dostaną wreszcie te swoje gra-
nice i zapewne nie poza tym”.
Żadnych przyrzeczeń ani zobow-
wiązań.

Wylącam radio i otwieram
okno na południe. Na parapie-
cie gołębie przepychają się z
synogarlicami. Słońce świeci.
Świat jest piękny.

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

Odezwał się sztab. Rozmowę przełączono na kwatery Grzmilasa. Z ulgą usłyszał jego niski głos o zaspiewie kresowym:

— Melduje się dowódca okręgu Pierwszego, generał Stanisław Grzmilasa.

— Nikt nas nie słyszy?

— Chyba nikt — odpowiedział bas generała.

Naczelny odniósł wrażenie, że wyczuwa w tym głosie jakieś nieznane nutki. Może była to wina techniki.

— Postawisz okręg w stan pogotowia — powiedział. — Otoczysz Siedzibę czołgami i rozmieścisz posterunki przy wszystkich wejściach. Nikt nie ma prawa opuścić gmachu. Przejmiesz także kontrolę nad łącznością, obsadzisz ich radiostacją swoimi ludźmi. Do działań przystąpić natychmiast. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, Rafał.

Naczelny powinien był zwrócić uwagę na niestosowną formę, na to „zrozumiałem, Rafał” zamiast „rozkaz, towarzyszu Naczelny”, ale myślał już o czym innym.

— Włącz telewizor — powiedział. — Gdy zacznie przemawiać, komandosi wkroczą na salę konferencyjną. To musi być zsynchronizowane co do sekundy.

— Tak, tak, Rafał.

Teraz dopiero Naczelny zareagował. Lecz nie powiedział nic. Rozłączył się z generałem i długą chwilę patrzył w okno. Potem wezwał do siebie komendanta i radiooficera.

Marat obejrzał w telewizji nabożeństwo dedykowane męczennicy Annie Genowefie. Celebrował sędziwy dostojnik, który kilka dni temu odbył z szefem przejażdżkę konną. Kamera zatrzymała się na twarzach wykrzywionych bólem, na drżących wargach, spłakanych oczach, uniesionych wysoko ramionach z palcami ułożonymi w „V” — symbol zwycięstwa. Po nabożeństwie lektor poinformował krótko, że fala strajków objęła prawie cały kraj i że przywódcy akcji protestacyjnych zaproszeni zostali na spotkanie z kierownictwem, do którego dojdzie w przerwie trwającej właśnie konferencji.

W ten sposób Lucjan Marat dowiedział się, że trwa konferencja.

Nikt nie zadzwonił, nie zadepeszczał. Konsola była martwa, mrugały tylko światełka kontrolne, sygnalizujące gotowość. W gabinecie pachniało sandałowym drzewem. To byłby koniec, stwierdził Lucjan Marat, jeżeli niczego nie przedsięwzię.

Postanowił, że znajdzie się na konferencji. Jeszcze dziś. Za każdą cenę. A kiedy tam się znajdzie, niech spróbują nie wypuścić go na mównicę. Ma swoich ludzi, teraz zapewne spakowanych, przetranszowanych jego nieobecnością. Gdy go zobaczą na sali, dostaną skrzydeł.

Przebrał się w strój sportowy, z dolnej szuflady biurka wyjął broń i schował do tylnej kieszeni spodni. Był to miniaturowy pistolet

„Beretta”, sześciopalcowy, włoski, kaliber 6,35. Marat nie wiedział, do czego mógłby mu być potrzebny, nigdy w życiu nie oddał strzału z takiej broni, ale mając ją przy sobie, odbezpieczoną, poczuł się pewniej.

Z palacu wyszedł niepostrzeżenie. Niespiesznym krokiem przebiegł park na tyłach, minął zabudowania gospodarcze i dworek, w któ-

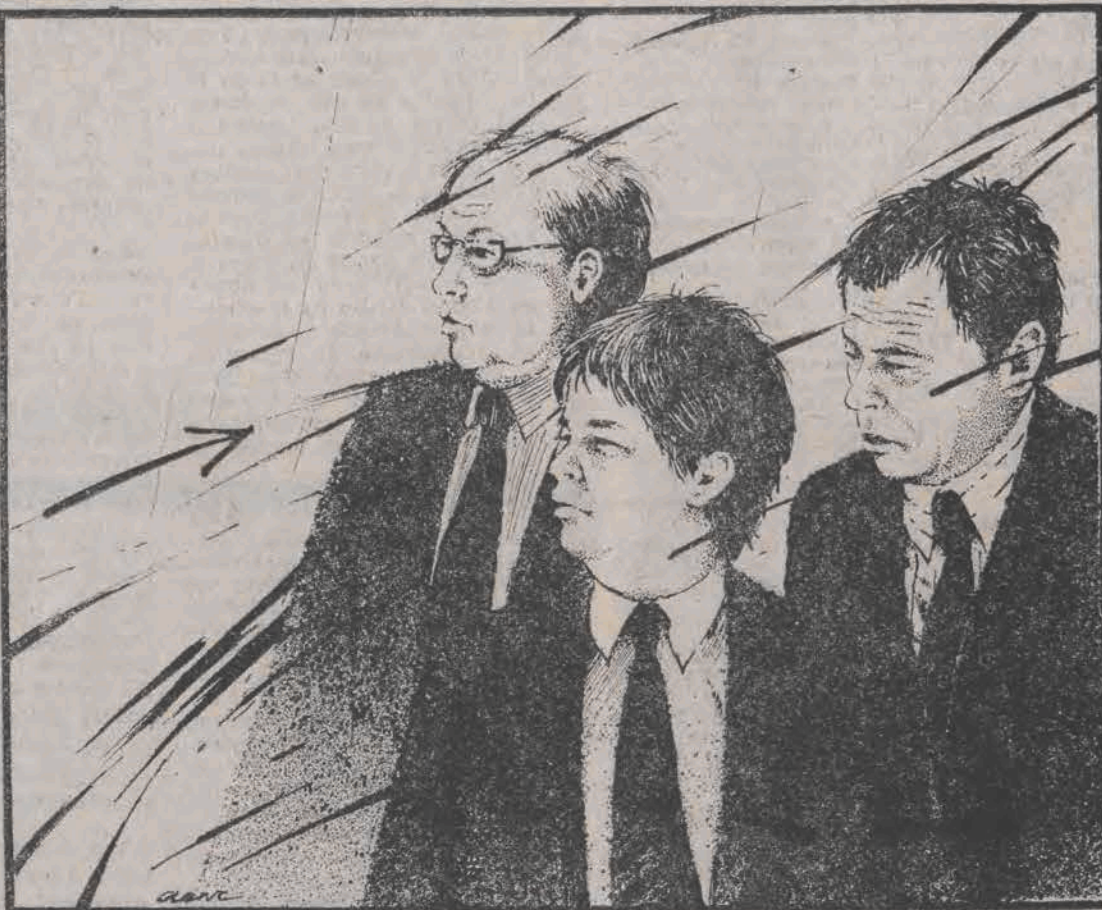
rym mieszkała się komendantura. Zbliżył się do garaży.

— Zostawiłem w wozie papiery — powiedział do dyżurnego tonem rozkazującym. — Otwórzcie, muszę zabrać.

Dyżurny poderwał się, zasalutował. Wdusił przycisk i garażowe wrota powędrowały w górę. Marat już trzymał w ręku kluczyki.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (23)



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Szybko podszedł do swego peugeota, otworzył drzwi, siadł za kierownicą.

Obrócił kluczyk w stacyjce. Starter zatrajotał, ale silnik nie odpowiedział miarowym buceniem. Był martwy. Niemożliwe, pomyślał Marat, po raz pierwszy zdenerwowany, czując, że drży mu podbródek, to absurd. Wóz jest sprawny... Starter obracał coraz wolniej, a kumulował już się wyczerpywał. Komputerowy wskaźnik na tablicy rozdzielczej nie sygnalizował żadnego uszkodzenia. Co jest, u diabła?

Przed maską pojawiła się sylwetka dyżurnego. Mówił coś. Marat dał wreszcie spokój zmaltretowanej stacyjce.

— Co z wozem? — zapytał.

— Właśnie mówię, że nie ma paliwa — powiedział dyżurny.

— To zatknięcie.

— Nie mamy paliwa w Ośrodku. Zabrakło, nie dostarczyli, droga nieprzejezdna.

— Głupstwo — uśmiechnął się Marat. — Chciałem tylko sprawdzić, czy nie przerywa.

Mieli to usunąć na przegładzie.

Właściwie nie liczył, że uda mu się stąd wyjechać autem. Spróbował dla spokoju sumienia i po to, żeby nie było podejrzeń. Nie wyszło — zrezygnował. Zameldowano, odnotowano.

Spacerowym krokiem ruszył ścieżką w kierunku jeziora. Zerwał po drodze kilka stokrotek, pożywił się jeżynami, posłuchał ptasiego świergotu. Zdjął płócienną kurtkę, przetrząsnął przez ramię. Słońce znikowało w obłoki, powiał wiaterek.

Nad jeziorem, idąc ku przystani, Marat rozczepił się kilkakrotnie, aby sprawdzić czy nie jest śledzony. Nikt za nim nie szedł. Kamery, fotokomórki i czujniki sejsmiczne odbierały go w pasie tolerancji dzięki przepustce magnetycznej wpletej w kłopotliwą kurtkę.

Wszedł na pomost. Spośród kilkunastu łodzi zacumowanych rzędem wybrał niedużą, z błękitnego plastiku, który nie odda się od lustra wody. Złoczył wiosła, zdjął z pacholka pełną linę.

Płynął wolno, starając się nie robić hałasu. Rozebrał się do kąpielówek, ubranie włożył do schowka na dziobie. Jezioro ciągnęło się kilometrami, sięgało do Zalewa i Madyt. Granice Ośrodka wytyczała metalowa sieć i tablice ostrzegawcze. Parę razy Marat widział wędkarzy, przemyskających łódkami pod siecią nie opodal półwyspu; po stronie Ośrodka ryby ponoć brały lepiej. To miejsce Marat pamiętał. Nie wątpił, że warty wiedzą o wędkarskich wypadach, ale przyzwyczaili się, znając miejscowych, przynajmniej oczy. Był to więc obszar o obniżonej czujności.

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem słownej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, którą napisał w 1935 r. podczas odsiadki wyroku za działalność przemysłową i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny

światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbójniczego” i „W imieniu organizacji”. Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej”. Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich”. Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

15 stycznia, 1942 roku.
Folwark Burki.

Wykryłem ja wielką tajemnicę pani Józefy. Zawsze dawałem się: skąd ona ma wiadomości z całego świata? A teraz wiem. Okazało się, że ma ona radio. I to jeszcze jakie! Takie, że zagranicznych stacji można słuchać.

Pewnego razu pani Józefa pojechała do miasteczka. Ona prawie każdego tygodnia jeździ tam z sąsiadami. Wówczas ja sam zostałem w domu jako gospodarz. Gdy ona odjechała, zacząłem dla dokładnie wszystko przetrząsnąć. Nie szkodzi wiedzieć: co ona ma i gdzie chowa? Ale długo nie podejrzano znaleźć nie mogłem. Wreszcie w pewnym miejscu, w kuchni za piecem, zauważyłem obłożone cegły. Wyjąłem ja jedną cegłę i poświeciłem do środka. A w skrytce tamtej aparat radiowy stał i duża bateria. Mnie nawet strasznie się zrobiło, bo był rozkaz władz, żeby odbiorniki radiowe oddać. A za słuchanie zagranicznych audycji mają być bardzo surowe kary nakładane, a nawet kara śmierci. Najlepiej było u nas w Związku Radzieckim. U nas nikt nie zabraniał słuchać zagranicznych stacji. Co prawda nikt ich i nie słuchał, bo ludność takich aparatów odbiorczych nie posiada. Więc wszystko w porządku.

Bardzo to mi się nie podobało. W razie wsspy to i ja mogę przez tę burzującą zagnęć. Nie mogę ja zrozumieć: jak to można występować przeciw rozkazom władz! Rzecz jasna, że władze te są niemieckie. Ale są to władze, a jeśli coś rozkazują, to należy wykonywać posłusznie. Bo kto obcej władzy nie słucha, ten i swojej nie uszanuje!

Długo ja o tamtym radiu

myślałem. Wreszcie postanowiłem ja, że będę udawać, iż nie wiem. A w razie czego to tak i powiem, że nie wiem. Wiedziałem, że zameldowałbym natychmiast. Od tego czasu zacząłem ja bardzo nieufnie odnosić się do pani Józefy. Okazało się, że i ona jest zatwardziała reakcyjnista. Okropne to jest, że Polacy żadnego poszanowania dla władz nie mają i nie uznają porządku publicznego!

Teraz jestem ja legalnym członkiem i nikogo się nie obawiam. Pani Józefa wyrobiła dla mnie w gminie dokumenty. Powiedziała mi, że to ja sporo kosztowało, ale teraz możemy żyć bez obawy, bo wszystko jest w porządku. I jak ona tego dokonała, pojęcia nie mam. Ale posiadam ja teraz metrykę i sześciomiesięczne zaświadczenie, wydane na podstawie metryki. Nazywam się teraz Jan Burko, urodzony w 1919 roku we wsi Dokudowo, lidzkiego powiatu. Poza tym mam ja zaświadczenie z PKU o niezdolności do służby wojskowej i jeszcze jedno, z gminy tutejszej, o tym, że jestem zatrudniony w charakterze robotnika rolnego w folwarku Burki. Słowem: wszystko w porządku. Pani Józefa wyuczyła mnie trochę mówić po polsku i już nieźle sobie w tym języku porozumiewam się. A narodowość moja jest wymieniona: Białorusin.

Na początku stycznia pani Józefa powiedziała mi, że Związek Radziecki podpisał „kartę atlantycką”.

— Co to jest — spytałem.

— Jest to — powiedziała — bardzo ważny dokument polityczny, którym się gwarantuje nienaruszalność terytorialną poszczególnych państw. W ten sposób nawet małe narody są zabezpieczone od zabioru ze strony państw silnych i agresywnych.

Powiedziałem ja jej, że to rzeczywiście bardzo dobrze. Ale wiedziałem, że nie w tym dobrego nie ma, bo jest to jedynie wybieg kapitalistów, żeby utrzymać w rękach to, co zrabowali innym narodom. Polska, na przykład, zrabowała tę część Białorusi, a także Ukrainy, która powinna być należeć do szczęśliwej rodziny narodów Związku Radzieckiego. Ja patrzę na tę pani Józefę, jak na trochę głupawą, bo ona tak bardzo wierzy w te podpisy, karty i umowy, jakby nie rozumiała wcale: czego są warte? Hitler w 1939 roku podpisał umowę z Związkiem Radzieckim, a w 1941 roku na ten sam Związek podstępnie napadł. Tak samo jest i z tą „kartą atlantycką”. Pewnie ktoś chce kogoś oszukać i dymną zasłonę puszcza.

Przed świętami Bożego Narodzenia pani Józefa kupiła dla mnie nowe, dobre buty. Specjalnie po to na rynek pojechała. Dala też przynosić dla mnie ubranie jednego ze swych synów. I teraz wyglądam ja bardzo elegancko. Nigdy w życiu tak pięknego ubrania nie miałem. Mimo to bardzo mi się nie podoba, że eksploatuje ona moją pracę jako dziedziczka. Co prawda to i ona pracuje. Nawet więcej jak ja ma roboty, bo i krowę doi, i świnię karmi, i gotuje, i pierze, i chleb piecze, i w gospodarstwie co trzeba robi. Jest zajęta od rana do nocy. Ale jest to przecież burżujka, która w przyzwoitym ustroju socjalistycznym powinna być zabita od razu. Więc przykro mi pracować dla niej. Nie po to ja w szkołach byłem, komсомолец stałem się i oficerski stopień mam. Ale muszę cierpieć, dopóki sytuacja nie zmieni się na lepsze.

Kilka razy jeździłem ja z nią do miasteczka na targ. Musiałem ja kartofle i zboże

sprzedawać, żeby były pieniądze na wydatki gospodarcze. Konia ona od sąsiadów pożyczła, bo swojego nie ma, ponieważ władze radzieckie jej konie zarekwirowały. Bardzo ona na to narzekała i powiedziała, że takim postępowaniem tylko gospodarstwa niszczy i sami sobie szkodzi. Nie może zrozumieć tego, że jej konie i krowy gdzie indziej są więcej potrzebne. A może nawet wzięte są do pracy nad obroną Związku Radzieckiego. Rzeczywiście bez konia trudno się obejść. Ale państwo musi być na pierwszym miejscu. Bo ona sobie poradzi. Burżuj z każdej sytuacji się wykreśli. Sama powiedziała mi niedawno, że pieniądze na kupno konia zbiera, bo inaczej wiosną nie damy sobie rady z pracą w polu. Okazało się, że za władzy radzieckiej sąsiedni chłopci pomogli jej ziemię zorać. Głupi są ci polscy chłopci, że pomagają dziedziczce. Jeszcze ja ich nie poznałem. Ale ciekaw jestem zobaczyć: jak oni żyją. Bo tamci, których w miasteczku na rynku widziałem, bardzo są zamożni. Ubrani są dobrze. Wszyscy mają skórzane buty. A u jednego nawet zegarek zauważyłem. A może to nie są chłopci, lecz dziedzice. Jestem więc ciekaw: kogo oni eksploatują, żeby tak rozkosznie żyć i ubierać się? Te sprawy chcą ja koniecznie zrozumieć, bo jest bardzo dla mnie niewyrażna. Zauważyłem ja nawet młodych chłopaków z sąsiedztwa, którzy często na rowerach w kierunku miasteczka jeżdżą, więc spytałem pani Józefę:

— Kto to są ci, co rowerami rozjeżdżają?

A ona powiedziała: Wygodniej im ja małymi aparatami rowerami do miasteczka jeździć, jak wozem. Niektórzy chłopcom władze sowieckie nie zdążyły rowerów odebrać, bo dobrze je schowano. A jest to duża wyгода. Ja dwa rowery miałam: męski i damski. To mnie, jak pierwsza partia waszych żołnierzy przyszła, odebrano je.

Tak: zdumiewający to kraj. Nawet chłopci rowerami jeżdżą. I skąd oni je wzięli? Pani Józefa mówiła mi, że w sklepach sprzedawano rowery na spłaty. Dobrze się żyło reakcjonistom w tej kapitalistycznej Polsce.

A pewnego razu miałam ja bardzo straszna przygodę i myślałem, że zginę. Ogromnie

przestraszyłem się i nigdy w życiu tego nie zapomnę. Otóż pojechałem ja z panią Józefą do miasteczka na targ. Pani Józefa sprzedała dość szybko owies i ječmień, potem kupiła co było potrzebne dla gospodarstwa. A ponieważ konia miałem pożyczonego od sąsiadów, nie chciała ona długo w miasteczku marudzić. Więc zaraz pojechaliśmy z powrotem. Jedziemy sobie i rozmawiamy. Ja po stronach patrząc i wszystko uważnie obserwując. Domy wszędzie ładne. Pewnie w każdym nawet podłoga jest. W oknach są firanki i kwiaty. Więc to wszystko mnie interesowało. Minęliśmy miasteczko i wówczas zauważyłem ja z dala jakiś wojskowy oddział. Spytałem ja pani Józefę:

— Kto to może być?

A ona zupełnie spokojnie powiedziała:

— Niemcy. To ich kawalerijskie oddziały drogi patrolują. A czasami autami jeżdżą.

Jak posłyszałem ja „Niemcy”, to poczułem, że serce mi w piersi zatrzymało się. Stało i nie działa. Ot i już... Myślałem nawet, że umrę. My dalej jeździmy, a Niemcy naprzeciw nam wala. Ja nawet chciałem zeskoczyć z wozu i uciekać. Ale gdzie tam uciekać! Dogonią, bo przecież są konno. I teren był niewygodny do ucieczki. Poza tym straciłem ja zupełnie władzę w rękach i nogach.

Zrównaliśmy się z Niemcami. Oddział ich był mały. Może ze dwudziestu konnych. Ale jaki oddział! Na pewno najlepszych kawalerzystów z całej hitlerowskiej armii wybrali. Konie duże, syte, aż lśniły. Nigdy takich w Rosji nie widziałem. Upstrzą na nich bliższy okuciami i wszystko z dobrej skóry. Chłopy jak lwy. Ubranie na nich porządne, siwego koloru. Ubrani są potężnie. Nic dziwnego, że tacy żołnierze zwyciężają. Pewnie nawet mięso jedzą codziennie, a nie, jak nasi żołnierze, śmierdzącą rybę. I to nie zawsze dają. Bo czasem po tygodniu i dłużej tylko spleśniałe suchary są, co po wiele lat w składach leżały.

Otóż zrównali się oni z nami. Mnie dech w piersi zaparko i tylko patrzę na nich. Chciałem oczy zamknąć, ale powiek poruszyć nie mogłem. A na plecy mnie jakby ktoś pod koszulę śniegu nasypał. „Przepadłem — pomyślałem ja. — Zarabia mnie za polską

burżujską sprawę. I nikt w Związku Radzieckim się nie dowi: jak bohaterką śmiercią zginiałem!”

Jeden z kawalerzystów przy nas się zatrzymał i coś do mnie powiedział po polsku. Ale ja go nie zrozumiałem, bo język jego był jakiś dziwny. Ale pani Józefa zaraz zaczęła do niego coś po niemiecku mówić. To on do niej uśmiechnął się nawet i jeszcze coś powiedział. A ona mu śmiało i głośno odpowiedziała. I nawet tak samo przedko trąkotała jak i on. Widzę: Niemiec na mnie głową skinął i o coś spytał. Pani Józefa na mnie spojrzała i powiedziała coś. A ja siedząc zupełnie zdrtętniał.

Wreszcie zostawił nas tamten Niemiec i pojechał przedko swych kolegów dopędzić. Wówczas i my w drogę ruszyliśmy. Po pewnym czasie Józefa spytała mnie:

— Czego tak bardzo przestraszyłeś się?

— Wcale — powiedziałem — nie przestraszyłem się. A nawet całkiem przeciwnie: zgłowałem się.

A ona powiedziała: — Nawet Niemiec to zauważył i spytał, co tobie jest? Powiedziałam mu, że chory jesteś i że ciebie do miasteczka do doktora wiozłam.

— To ja ze złości tak zmieniłem się na twarzy i zbladłem. Bo bardzo mi się chciało tamtego Niemca porządnie zbić za to, że tak podle napadł Polskę w 1939 roku. Ale bałem się, żeby tym nie narazić pani na przykrość.

A ona na to powiedziała: — Nic. Trzeba jeszcze powien czas przecierpieć. I na nich koniec przyjdzie. Anglija na pewno nas od tej zarazy hitlerowskiej wyzwoli.

— Tak. Cóż nadzieja na Churchilla! — powiedziałem ja i dodałem: — Ale pani po niemiecku gada jak Niemka! — Bardzo dobrze nie mówię. Ale potrafię wszystko powiedzieć i zrozumieć, bo w gimnazjum tego języka uczyłam się. Po francusku ja lepiej mówię.

Ogromnie to mi podejrzane się zdaje! Czy nie jest ona angielską agentką? Bo i radio potajemnie słucha. I obce języki zna. I taka śmiała. Bardzo to wszystko jest podejrzane! Muszę ja z nią ostrożny być.

C.D.N.